

Wybory: nauczki z powtórki ■ Gaza: rozstrzelany konwój ■ Papież plotkuje Pratchett, fantazja i furia ■ Psychologia naszych błędów ■ Duchy Bałtyku

Kraków 10 – 16 kwietnia 2024 nr 15 (3901)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Radosław Sikorski Polskie ambicje





BYĆ JAK ADAM KARAS

**Wystawa
otwarta od
13 kwietnia!
MuFo Rakowicka
ul. Rakowicka 22A**

MUZEUM FOTOGRAFII W KRAKOWIE - INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

KS. ADAM

Boniecki: Kościół ma przyszłość

NIESPODZIEWANE ZJAWISKA W KATOLICYZMIE francuskim mogą się wydać mało prawdopodobne, marginalne czy wręcz fabrykowane w celach promocyjnych. A jednak: we Francji trwa mało hałaśliwy proces aktualizacji chrześcijaństwa, czy wręcz katolicyzmu, o czym pisze w tym numerze ks. Andrzej Muszala. Wygląda na to, że w statystykach właśnie zaczynają być widoczne jego owoce: gwałtownie rośnie liczba katolickich chrztów dorosłych i młodzieży.



Zmiany postępują powoli, bo wiara to nie moda, którą można zmieniać co roku i na którą można łatwo wpływać. Są w Kościele mody, te rzeczywiście zmieniają się szybko. Proces oczyszczania religii z historycznych nalotów trwa długo i wiele kosztuje. Dlatego to, o czym pisze ks. Muszala, mnie nie dziwi, choć nie dociera do ludzi zaabsorbowanych zaskakującymi swoją skalą nadużyciami. Błąd grozący gorliwym polega na tym, że wstrząśnięci i przejęci złem w instytucji Kościoła, przestają dostrzegać dobro.

Francuskie przemiany dają do myślenia nad drogami Kościoła u nas. Tamtejszy Kościół cierpliwie, za sprawą wybitnych ludzi, takich choćby, jak kard. Jean-Marie Lustiger – by wymienić najbardziej znany przykład – karczował chrześcijańską puszcę i wprowadzał zmiany: system formowania kapłanów, organizację opieki duszpasterskiej przy drastycznym niedoborze księży, stopniowe budzenie świadomości ludzi świeckich, zrozumienie, że błędem była klerykalizacja Kościoła, który nie został przecież założony jako klerykalna instytucja.

Chodzi tu o zmianę sposobu myślenia, zmianę ról społecznych w Kościele, o naruszenie postrzegania tego, w co

się wierzy i czego wiara wymaga od człowieka. Dobra Nowina już od dawna zdaje się nie być żadną nowiną, stała się sposobem na wygodne życie. No i mamy skutki. Ale mamy też (na szczęście!) świętych dziwaków – za jakich się zwykło uważać ludzi w rodzaju np. ks. Jana Zieł. Takich, którzy nie pasują nigdzie, rażą, denerwują. I są... poważani.

U nas zmiany też następują. Z jednej strony mamy wizję coraz bardziej bolesnego braku księży, z drugiej postępującą laicyzację, czy raczej postępującą jej ujawnianie się w społeczeństwie. Niewiele dotarło do nas z doświadczeń Francuzów, niewiele z doświadczeń innych krajów, może dlatego, że lubiliśmy zawsze odgrywać rolę najwierniejszych. Autorów wychodzących na spotkanie przemian w religijności nie ma wielu, utożsamienie wiary z klerem okazało się fatalne w skutkach. Kiepska znajomość podstaw wiary i kiepska na ogół edukacja religijna (zarówno u nauczających, jak i u nauczanych) nie sprzyja przemianom, o których czytamy w doniesieniach z Francji.

Myślę czasem, jak to będzie za dwadzieścia lat. Jedni głoszą koniec chrześcijaństwa, inni jego oczyszczenie i uzdrowienie. Papież Franciszek w miarę sił i zdolności wciąż jest czynny i przy wszystkich zastrzeżeniach do poszczególnych wypowiedzi trudno nie uznać, że jego pontyfikat będzie stanowił punkt (jeśli można tu mówić o punkcie) zwrotny. U Franciszka to jest piękne, że rozpoczyna mnóstwo procesów licząc, że poprowadzi je Duch Święty. Tak patrzy człowiek wierzący. Patrzy na swój czas z ufnością w Boga, bo ludzkie poczynania mogłyby go doprowadzić do rozpaczy.

© P

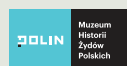
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Pokażmy, że pamiętamy!

Z okazji 81. rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim, którą będziemy obchodzić 19 kwietnia, dziś w numerze naklejki – żonkile, symbol tej rocznicy.

Ks. Adam Boniecki jest ambasadorem akcji Żonkile, organizowanej przez Muzeum POLIN, a „Tygodnik” towarzyszy jej od wielu lat.

#ŁączyNasPamięć



23 Wstrząsy na prawicy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sprawa Funduszu Sprawiedliwości i choroba Zbigniewa Ziobry mogą przyspieszyć zmiany w Zjednoczonej Prawicy. Czy dojdzie do rozvodu PiS z Suwerenną Polską?

**42 Ślepa siła**

MAREK MATUSIAK

Atak na konwój humanitarny w Gazie to nie jednostkowy wypadek. Lekarze bez Granic mówią o „schemacie celowych ataków”.

45 Ostatnia droga Damiana

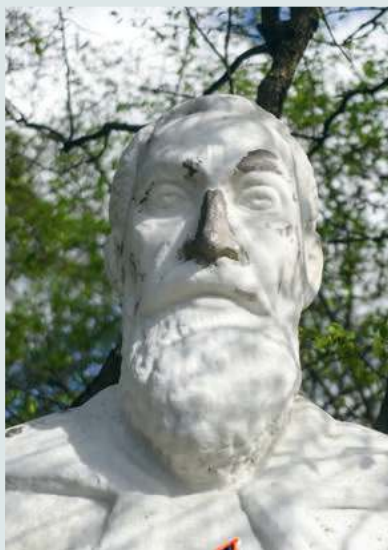
ANTONINA PALARCZYK

Był jednym z tych Polaków, którzy w lutym 2022 r. ruszyli na pomoc Ukraińcom. Był w Ukrainie, Turcji i Gazie, gdzie zginął: Damian Soból.

**36 Pani Dusza**

ANGELIKA MARIA MAŁEK

Wyprzedziła polską teologię feministyczną o dwie dekady. Oto nieznana historia krakowskiej rzeźbiarki z pracowni Xawerego Dunikowskiego.

**64 Humor i furia**

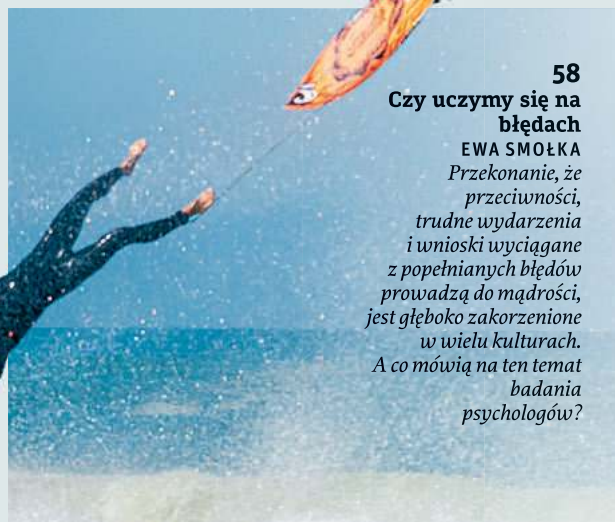
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Przez dwie dekady Terry Pratchett niepodzielnie rządził brytyjskimi księgarniami. Właśnie ukazał się po polsku zbiór jego młodzieńczych opowiadań.

**58****Czy uczymy się na błędach**

EWA SMOŁKA

Przekonanie, że przeciwności, trudne wydarzenia i wnioski wyciągane z popełnianych błędów prowadzą do mądrości, jest głęboko zakorzenione w wielu kulturach. A co mówią na ten temat badania psychologów?

**78****Deszczowa kraina**

ROZMOWA Z PAULEM SCRATONEM, REPORTEREM

Bałtyk ma w sobie coś niesamowitego i niepokojącego. Jest zupełnie inny niż Morze Północne czy Irlandzkie, które znam z dzieciństwa. Nie tak powinno wyglądać i pachnieć morze...



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wybory: nikt się nie cieszy
PIOTR ŚMIŁOWICZ**8-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ**29 Tygodnik czytelników**

■ ■ KRAJ

20 Na drugie sto dni
STEFAN SĘKOWSKI:
*Ekipe PiS jest z czego rozliczać.
Jednak nie zastąpi to mocnego
przyspieszenia reform***23 Wstrząsy na prawicy**
PIOTR ŚMIŁOWICZ**26 Dobrze wyjść na czytaniu**
SYLWIA GÓRA:
*Wybór książki to często pierwsza
decyzja, którą osadzeni mogą
samodzielnie podjąć w więzieniu*

■ ■ WIARA

32 Wiosna nad Sekwaną
KS. ANDRZEJ MUSZAŁA:
*W zsekularyzowanej Francji
gwałtownie wzrosła liczba osób
proszących o chrzest katolicki***36 Pani Dusza**
ANGELIKA MARIA MAŁEK**39 Franciszek i tajemnice
konklawe**
EDWARD AUGUSTYN:
*Opowieść o szlachetnym
kardynale, ratującym Kościół
przed nieuczciwym i niegodziwym
wyborem papieża, to część projektu
medialnego, którego celem jest
naprawa wizerunku Franciszka*

■ ■ ŚWIAT

42 Ślepa siła
MAREK MATUSIAK**45 Ostatnia droga Damiana**
ANTONINA PALARCZYK

TEMAT TYGODNIKA

12 Plan Sikorskiego

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Sto dni w roli szefa MSZ kończy sporem z Izraelem po śmierci polskiego wolontariusza w Gazie. Wcześniej zdążył stać się symbolem nowej ofensywy Polski na arenie międzynarodowej, jednak jego własne ambicje wykraczają znacznie poza kierowanie dyplomacją.



■ FELIETONY ■

30 TOMASZ STAWISZYŃSKI
41 WOJCIECH BONOWICZ
76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZNA OKŁADCE: RADOŚŁAW SIKORSKI, LUTY 2024 R.
FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTERRedaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI**47 Wielki renesans wielkiego
narodu**MARIA WIŚNIEWSKA:
*Jak Xi Jinping przekonuje do siebie
społeczeństwo?***50 Diabeł Woland w putinowskiej
Rosji**WOJCIECH KONOŃCZUK:
*Reżyser, który krytykuje napaść
na Ukrainę, za państwowe pieniądze
nakręcił w Rosji antyreżimowy film***52 Wszystkie łodzie Indii**MAREK RABIJ: Premier Narendra
Modi odniesie zapewne trzecią z rzędu
wygraną. O czwartą może być już
trudno

■ ■ HISTORIA

54 Nikifor naszej literaturyALEKSANDRA RADECKA:
*Jan Papuga, niesyty wrażeń łazik,
mile morskie zamieniał w książki*

■ ■ NAUKA

58 Czy uczymy się na błędach
EWA SMOŁKA

■ ■ KULTURA

64 Humor i furia
WOJCIECH BRZEZIŃSKI**68 Pawilon**PIOTR KOSIEWSKI: *Oświęcim ważny
dla zainteresowanych twórczością
najgłośniejszego z żyjących malarzy***71 Książki wczesnego ostrzegania**ROZMOWA Z MONIKĄ WOLTING,
LITERATUROZNAWCZYNIĄ:
*Czy literatura może z wyprzedzeniem
sygnalizować konflikty i kryzysy?***74 Kolekcja chwil**ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Perfect Days” Wima Wendersa**75 Dar i przekleństwo**LEKTOR o książce „Duchy domu.
Czerniowce w żydowskiej pamięci”

■ ■ ZMYŚŁY

78 Deszczowa krainaROZMOWA Z PAULEM SCRATONEM,
REPORTEREM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ Senegal: Cud demokracji [Strona Świata]

Senegalczyki pokazali Afryce, że aby wymienić elity polityczne,
niekoniecznie trzeba czekać na pucz młodych oficerów
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

➤ Rodzinne czarne skrzynki [Co obejrzeć w weekend]

Xavier Dolan opowiada o zerwanej komunikacji wśród bliskich
– **ANITA PIOTROWSKA** o serialu „Noc, której obudził się Laurier”
TygodnikPowszechny.pl/weekend

Tvoja pierwsza prenumerata na stronie 63

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

NIKT SIĘ NIE CIESZY

PiS nie osunął się w otchłań, a koalicji rządzącej nie poniosła atmosfera jesiennego zwycięstwa. Na dodatek wciąż iskrzy między Trzecią Drogą a Lewicą.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

POWYŻEJ:

Prezydent Warszawy Rafat Trzaskowski i premier Donald Tusk z zespołem sztabu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Warszawa, 7 kwietnia 2024 r.

GDY PISZĘ TE SŁOWA, ZNANE SĄ TYLKO sondażowe wyniki wyborów samorządowych, jednak zasadnicze wnioski nie powinny się zmienić po ogłoszeniu przez PKW oficjalnych danych. Pierwszym z nich jest konstatacja podobna do tej z jesieni. Co prawda w głosowaniu do sejmików PiS zdobył najwyższe poparcie, wyprzedzając nieznacznie KO, ale to tylko statystyka. Jeśli zejdziemy niżej, okaże się, że partia Jarosława Kaczyńskiego wygrała tylko w sześciu sejmikach, KO zaś w dziesięciu. PiS-owi skurczy się więc polityczny stan posiadania w porównaniu z rokiem 2018, kiedy zresztą zdobył w całej Polsce ponad pół miliona więcej głosów. Spadło mu też lekko procentowe poparcie w porównaniu z wynikiem z 15 października.

DAWNA PARTIA WŁADZY może się jednak cieszyć, gdyż osiągnęła rezultat lepszy, niż się spodziewano. Widać wyraźnie, że Prawo i Sprawiedliwość nie osuwa się wcale w otchłań i wciąż pozostaje najsilniejszym ugrupowaniem politycznym w Polsce, z wiernym elektoratem zwłaszcza na wsi. Zarazem nie zmienił się główny problem – PiS nie ma dziś żadnych sojuszników.

Wszystkich chyba zaskoczyła frekwencja, do urn w niedzielę poszły tylko dwie trzecie wyborców w porównaniu z liczbą głosujących jesienią. Wygląda na to, że były wśród nich głównie twarde elektoraty wszystkich formacji. I nie po raz pierwszy okazało się, że najbardziej zdyscyplinowanych sympatyków ma PiS.

Elektorat ten jest na tyle wier-ny partii Kaczyńskiego, że nie zaszkodziło jej szczególnie odcięcie od swobodnego dostępu do publicznych mediów, które wcześniej całymi latami stanowiły instrument topornej propagandy. Tradycyjne media nie są więc już dzisiaj miejscem, w którym przesądza się o wyniku wyborów, i to powinno być istotne odkrycie dla całej sceny politycznej. Choć nie bez znaczenia była też zapewne decyzja sztabowców PiS (podpowiedziana podobno przez wracającego do łask Jacka Kurskiego), żeby nie bojkotować „nielegalnie przejętych” TVP oraz Polskiego Radia.

WYBORY POKAZAŁY ZARAZEM, że PiS ma jeszcze słabszą niż w 2018 r. bazę w największych miastach. Wybory w Warszawie, wygrane w pierwszej turze przez Rafała Trzaskowskiego, to spektakularna porażka kandydata PiS Tobiasza Bocheńskiego, który musi się już pożegnać z marzeniami o kandydowaniu na stanowisko głowy państwa. Podobnie słabo nominacji PiS wypadli w innych dużych ośrodkach – w Krakowie czy Wrocławiu – gdzie w przeciwieństwie do sytuacji sprzed 5,5 roku nie weszli nawet do drugich tur.

Porażka jest jednak zbyt mało dotkliwa, by napędzić oddolne ruchy podważające na prawicy przywództwo Kaczyńskiego, któremu udało się zatrzymać trend spadkowy po 15 października. Dlatego na perspektywę wyborów europejskich PiS może patrzeć z większym optymizmem niż pod koniec roku.

ZWOLENNICY RZĄDU mają za to mieszane odczucia. Co prawda, gdyby przełożyć sondażowe wyniki z niedzieli na rezultat jesien-nych wyborów do Sejmu, koalicja KO, Trzeciej Drogi i Lewicy zyskałaby kilku posłów kosztem PiS, ale zazwyczaj nowa władza płynie na fali po wyborach. Rozczarowanie sugerowała zresztą mina Donalda Tuska podczas wieczoru wyborczego; jego ugrupowanie dostało zadyszki, co jest pokłosiem wielkich oczekiwań rozbudzonych programem „Sto kon-

krétów na sto dni”. Dla większości wyborców od początku było wiadome, że realizacja obietnic jest niemożliwa w trzy miesiące, niemniej pojawiły się już objawy pierwszego rozczarowania powolnym tempem reform, który rząd próbuje przykryć rozliczeniami afer z epoki PiS.

PONIŻEJ OCZEKIWAŃ wypadła Trzecia Droga, choć jej liderzy podkreślają, iż wynik pokazuje stabilną pozycję ugrupowania oraz przede wszystkim, że TD trafiła do Sejmu tylko dlatego, że Tusk pomógł jej jesienią. Fakt, obecny wynik jest zbliżony do tego z wyborów parlamentarnych, ale zwłaszcza dla PSL, które lokalnie szło zwykle znacznie lepiej niż centralnie, to nie jest sukces. Może to zaciążyć na współpracy PSL z Polską 2050, choć mało prawdopodobne są przetasowania już przed wyborami europejskimi – mimo że w nich bardziej naturalna dla PSL byłaby współpraca z PO, partnerem z Europejskiej Partii Ludowej.

Wybory samorządowe pokazały również, że stanie na uboczu głównego sporu politycznego na razie nie przynosi spodziewanego efektu Konfederacji. Widać jednak tendencję wzrostową, więc nie można wykluczyć, że z czasem strategia ta będzie się bardziej opłacać. Konfederacja (w koalicji z częścią Bezpартijnych Samorządowców) zyska też na roli języczka u wagi przy formowaniu większości w kilku sejmikach.

LEWICA Z KOLEI nie ma się w ogóle czym pocieszać. Wypadła słabo, choć nie na tyle, by weryfikować jej pozycję w koalicji. Ostrzy sobie na to zęby Trzecia Droga, co widać było zwłaszcza w konfrontacyjnej mowie Władysława Kosiniaka-Kamysza. Na pocieszenie został lewicy dobry wynik Magdaleny Biejat w Warszawie, co spowoduje wzmocnienie Partii Razem. To jednocześnie dobry punkt wyjścia do ubiegania się przez Biejat o nominację prezydencką w 2025 r. Inna sprawa, że dołączą lewica musi najpierw odzyskać kontakt z elektoratem, jeśli chce, by jej kandydatkę traktowano poważnie. ©P



Lekcja godności

MAREK KĘSKRAWIEC

JESZCZE NIGDY W HISTORII III RP NIE PADŁY TAK OSTRE słowa pod adresem Izraela. „Buta i arogancja” ambasadora Jakowa Liwnego – aby użyć określenia ważącego zazwyczaj słowa Władysława Kosiniaka-Kamysza – połączyła cały świat polskiej polityki. Czy ostra reakcja Warszawy na zabójstwo polskiego wolontariusza w Gazie to dowód na odradzający się nad Wisłą antysemityzm? Przeciwnie – nasza polityka zagraniczna normalnie, a my wyzbywamy się kompleksów.

Antysemityzm w Polsce jest faktem, ale prawdą jest również, iż na tle narodów postkomunistycznej Europy przeprowadziliśmy wyjątkowo głęboki i odważny rachunek sumienia. Zmierzyliśmy się ze smutną prawdą o szmalcownictwie i Jedwabnem, z antyżydowską histerią końca epoki Gomułki, zarazem przyjmując latami krytykę z Zachodu, nawet jeśli pochodziła z państw, w których antysemityzm był problemem marginalnym głównie dlatego, że Żydów wygnano z nich setki lat temu.

Nie mam wątpliwości, że jeszcze nie raz ludzie pokroju Grzegorza Brauna przypomną o demonach naszej przeszłości. Jego prowokacje nie zmieniają jednak prawdy o tym, iż Żydzi mogą się w Polsce czuć bezpiecznie. Nikt nie napada na izraelskie wycieczki w Oświęcimiu i na krakowskim Kazimierzu, a mediów nie zdo-bią zdjęcia zniszczonych synagog i cmentarzy.

Mamy prawo oczekiwać, że po niemal 80 latach od końca II wojny światowej strona izraelska zacznie traktować nas jak równych sobie partnerów.

Zwłaszcza że od lat staramy się prowadzić politykę niekonfrontacyjną, a jeśli popełniamy błędy, jak PiS przy ustawie o IPN, to się z nich wycofujemy. Tym samym przyzwyczailiśmy jednak Izrael do uległości i być może nastał czas, by z tym skończyć. Bezczelność ambasadora Liwnego, który po ataku na konwój humanitarny powtarza frazesy o tragicznej pomyłce i zarzuca polskiemu politykom antysemityzm, a słowa „przepraszam” używa dopiero po wymuszonej wizycie w MSZ – to policzek dla państwa, które po ataku Hamasu lojalnie wspierało Izrael i przez niemal pół roku milczało, nawet wówczas, gdy cały Zachód już się zorientował, że odwet oznacza całkowitą ruinę Gazy i wygnanie z niej bezpowrotnie 2 mln Palestyńczyków.

Ambasador Liwno – który w przeszłości wyrażał zrozumienie dla putinowskiej wersji historii II wojny światowej – zrobił Polsce egzamin z asertywności. Szkoda, że w ogóle musieliśmy go zdawać. ©P



JĘDRZEJ WITKOWSKI, SZEF CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ:

Ukraińskie dzieci lubią polską szkołę i dobrze się w niej czują

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Wiceministra edukacji Joanna Mucha zapowiedziała wprowadzenie od pierwszego września obowiązku szkolnego dla ukraińskich dzieci. Co to oznacza? **JĘDRZEJ WITKOWSKI:** To fundamentalny krok i polityczny sygnał, że polski rząd zaczyna brać odpowiedzialność za prawo do edukacji tysięcy ukraińskich dzieci. Do tej pory uczniowie pobierający lekcje online w systemie ukraińskim tkwili w „próżni odpowiedzialności”.

Choć formalnie obejmował ich polski obowiązek szkolny. Tylko formalnie. Do zwolnienia z tego obowiązku wystarczyło oświadczenie rodzica, iż jego dziecko uczy się zdalnie. Teraz nadal będzie można realizować z terenu Polski ukraińskie nauczanie online, ale równocześnie dziecko będzie musiało spełniać obowiązek szkolny w polskiej szkole.

Jesteśmy na to gotowi?

W 2022 roku przyjęliśmy 150 tys. uczniów w ciągu jednego kwartału. To był sukces – nasz system oświaty dowiódł elastyczności. Gdy badamy funkcjonowanie uchodźczych dzieci, dostrzegamy sporo problemów i trudności, ale generalny wniosek jest inny: dzieci ukraińskie lubią tutejszą szkołę, dobrze się w niej czują i uważają ją za mniej hierarchiczną, bardziej otwartą i życzliwą. Pamiętam wypowiedź jednej z mam w czasie naszych badań: „Zapytałam moje dzieci, co chciałyby zabrać z Polski do Ukrainy, i powiedziały: szkołę”. Z reakcji polskiego systemu edukacji możemy być dumni.

Czego jeszcze potrzebujemy?

Po pierwsze, musimy poprawić dostępność asystentów międzykulturowych, ułatwiających uczniom wchodzenie w nowe środowisko –

jest ich za mało. Po drugie, podnieść kompetencje nauczycieli, bo zdecydowana większość z nich już teraz uczy w klasach, w których są dzieci z Ukrainy. Po trzecie, powinniśmy profesjonalizować nauczanie języka polskiego jako drugiego, bo przedmiot ten nie ma nawet podstawy programowej, a także umożliwić uczniom naukę języka ukraińskiego.

O jakiej liczbie nowych uczniów mowa? Wasz niedawny raport wskazywał nawet na 150 tys. ukraińskich dzieci poza systemem. MEN twierdzi, że jest ich 50-60 tys. Nasze szacunki opierały się na numerach PESEL ze statusem „UKR”: pokazują one, że mamy ok. 300 tys. Ukraińców w wieku szkolnym. A że tylko niecała połowa z nich jest włączona w polski system – pozostali muszą być poza nim. Nie wiemy jednak, czy wszystkie dzieci z bazy PESEL nadal są w Polsce – zapewne nie. Pewności co do liczb nie ma nikt.

Chyba powinniśmy mieć bardziej precyzyjne dane: za pięć miesięcy te dzieci trafią do naszego systemu.

Powinniśmy np. wiedzieć, ile dzieci trafi do podstawówek, a ile do szkół średnich – te są przecież, zwłaszcza w dużych miastach, zatłoczone. Wiemy niewiele, bo do niedawna nikt nie próbował zarządzać tą różnorodnością, jaka pojawiła się w polskiej edukacji. Nowy rząd musi to nadrobić. Rozbieżności w danych pokazują, że jesteśmy na początku drogi, ale ważne, że idziemy w dobrym kierunku. ©

DR JĘDRZEJ WITKOWSKI jest socjologiem, politologiem, ekspertem edukacyjnym. Od 2018 r. pełni funkcję prezesa zarządu Centrum Edukacji Obywatelskiej.



Lasy i kasa

KRZYSZTOF STORY

WKOMPONOWANE W ŚCIANĘ DRZWI są ukryte za trzema flagami: Polski, Unii i Lasów Państwowych. Za nimi „strefa relaksu” z kanapą, ściany wyłożono drewnem. W następnym pomieszczeniu: prysznic, toaleta, umywalka. Witamy w gabinecie dyrektora regionalnego Lasów Państwowych w Pile.

Łazienka za 100 tys. zł stała się symbolem Bizancjum, w jakie przerodziły się Lasy Państwowe według wstępnych ustaleń audytu, który od stycznia prowadzi w firmie nowe kierownictwo. Już wiemy, że w las poszło nawet 100 mln złotych i to na rzeczy znacznie groźniejsze niż prywatny kibel dyrektora.

Choćby kilkaset artykułów w przyjaznych władzy mediach, promujących LP i rządzących nimi polityków Solidarnej Polski za nawet 10 mln złotych. Albo konkurs „Drewno jest z lasu” – 11 mln złotych dla kościelnych parafii. Doliczyć można jeszcze etaty dla „krewnych i znajomych” (np. Dariusza Mateckiego), nieruchomości sprzedawane za grosze czy zakup pałacu w Brynku. Oraz czeki na budowę dróg z funduszu leśnego i tysiące billboardów za 65 mln złotych, które miały promować gospodarkę leśną i, zupełnie przypadkiem, miały to robić tuż przed wyborami. Większości tych spraw przyjrzy się teraz prokuratura. – Instytucja, która miała zajmować się zrównoważoną gospodarką leśną, stała się swoistą pralnią pieniędzy dla poprzedniej władzy – powiedział wiceminister Mikołaj Dorożala o wynikach audytu.

Dorożala ma rację: ziobryści, jak nikt wcześniej, zamienili Lasy Państwowe we własny folwark i trzeba to rozliczyć. Tyle że patologie w tej firmie są dużo starsze niż rządy PiS.

Wystarczy zerknąć do starych raportów NIK. Od afer mających początek jeszcze w latach 90. (budowa osiedla Eko-Sękocin z willą dla wicepremiera Kołodki), przez nieprawidłowo wydane 96 mln zł z funduszu leśnego (lata 2005-2008), finansowane pikniki i wystawne kolacje, po lata 2011-2013, kiedy przychody LP spadały, ale pensje zarządu szły w górę – wszystko prowadzi do tezy, że proste rozliczenia nie wystarczą, a Lasom potrzebna jest gruntowna reforma. Zapisana w ustawie, a nie tylko wypowiedziana na konferencji prasowej. Dopóki LP będą „państwem w państwie” z własnym skarbcem i bez jasnych rozliczeń z budżetem państwa – dopóty będziemy słyszeć o kolejnych luksusowych łazienkach. ©

NA PUNKTY

DO DNA

„Niech nikt nie ma złudzeń: to nie był jakiś zwykły rząd i zwykła władza, np. nad spółkami skarbu państwa. To było zbiorowisko kanalii. Dlatego trzeba ich rozliczyć do dna” – napisał na portalu X Bartłomiej Sienkiewicz po tym, jak ujawniono, że podczas kampanii wyborczej 2023 był inwigilowany przez wynajętą za pośrednictwem Orlenu firmę.

GDYBY CHCIAŁ

Chyba nie wszyscy podzielają zapał ministra kultury. „Gdybym chciał, tobym politycznie zgłębował Jarosława Kaczyńskiego” – pochwalił się w rozmowie z TVN wiceszef komisji ds. Pegasusa Tomasz Trela, ale jeśli te słowa przeczytać w kontekście wyników wyborów samorządowych, to obóz posła Treli zwyczajnie nie chce „zgłębować” lidera PiS.

IZBA SPRAWDZA

Co innego Najwyższa Izba Kontroli, która po sprawdzeniu wydatków Kancelarii Premiera z czasów walki z pandemią chce oskarżyć Mateusza Morawieckiego i Jacka Sasina o niegospodarnie, nierzetelne i niecelowe wydanie blisko 200 mln zł. ©P



Czy biskup Jeż stanie przed sądem

ZUZANNA RADZIK

PROKURATURA ZARZUCA BP. ANDRZEJOVI JEŻOWI (na zdjęciu), że pomimo posiadania wiarygodnych informacji o przestępstwach pedofilskich, których mogli się dopuścić dwaj podlegli mu księża, zawiadomił organy ścigania zbyt późno. Zgodnie z prawem powinien był zrobić to niezwłocznie.

Czy biskup tarnowski będzie pierwszym duchownym tej rangi w Polsce, który odpowie przed sądem za domniemane krycie pedofilii? To precedensowe oskarżenie przypomina pozostałym polskim hierarchom, że w tego typu sprawach nie odpowiada ją wyłącznie przed Watykanem i historią, bo ciąży na nich także odpowiedzialność karna.

Niezawiadomienie zagrożone jest karą do 3 lat więzienia. Przypomnijmy, 13 lipca 2017 r. weszły w Polsce zmiany art. 240 Kodeksu karnego, zgodnie z którymi każdy, kto wie o wykorzystywaniu dziecka poniżej 15. roku życia, ma obowiązek zawiadomienia organów ścigania. Prokuratura zarzuca biskupowi zaniechania w sprawach Stanisława P. i Tomasza K. właśnie na tej podstawie.



W odpowiedzi kuria tarnowska przedstawiła harmonogram działań biskupa Jeża i jego delegata ds. wykorzystywania seksualnego osób małoletnich, twierdząc, że obydwa działali zgodnie z kościelnymi i świeckimi procedurami. Rzecznik prasowy diecezji tarnowskiej ks. Ryszard Nowak stwierdza, że „we współpracy z władzami ko-

ścielnymi na wyższych szczeblach, jak watykańska Dykasteria Nauki Wiary, wykonywał on sumiennie obowiązki i podejmował wszelkie niezbędne kroki w sytuacji otrzymania informacji o przestępstwach przeciwko osobom małoletnim”.

W Wielki Czwartek 2019 r. ten sam biskup tarnowski zdystansował się niejako od oskarżeń księży o pedofilię, gdy w kazaniu podczas mszy gromadzącej w katedrze tamtejszych duchownych nawiązał do antysemickiej fałszywki twierdzącej, że Żydzi na kongresie syjonistycznym zaplanowali walkę z Kościołem poprzez robienie afer wokół prywatnego życia księży. Teraz powagę traktowania takich sytuacji oraz rzetelność postępowania biskupa i podlegających mu urzędników diecezji oceni państwowy system sprawiedliwości. ©



Pigułka „po”: wszystkie błędy rządu

MAŁGORZATA SOLECKA

1 MAJA POLKI ZYSKAJĄ DOSTĘP do antykoncepcji awaryjnej bez recepty lekarskiej, choć z receptą od farmaceuty – przewiduje projekt rozporządzenia ministra zdrowia. Weto prezydenta do ustawy udostępniającej pigułkę „dzień po” bez recepty dla osób powyżej 15. roku życia nie było zaskoczeniem. Pytanie, czy dla KO był to kłopot (utrudnienie dla realizacji przedwyborczej obietnicy), czy dar losu (bo przed wyborami można było

grzmieć o obskurantyzmie głowy państwa).

Źle się stało, że prezydent nie zaufał nauce oraz doświadczeniu innych: w zdecydowanej większości państw UE środek, o który w Polsce trwa spór, jest dopuszczony do sprzedaży bez recepty i ograniczeń wiekowych. Ale źle się też stało, że ministra zdrowia Izabela Leszczyna nie wykorzystała wszystkich możliwości przekonania prezydenta. Mogła np. stawiać się na audyencję z klu-

zowymi konsultantami krajowymi – ginekologii i położnictwa, perinatologii, psychiatrii dziecięcej, pediatrii.

Osoby do 18. roku życia zgodnie z polskimi przepisami zawartymi w ustawach (a więc w aktach wyższego rzędu niż rozporządzenie ministra) mogą korzystać ze świadczeń zdrowotnych tylko za zgodą rodziców lub opiekunów prawnych. Aby obejść ten problem, ministra Leszczyna przekonuje, że wywiad przeprowa-

dzony przez farmaceutę i wypisanie przez niego recepty nie jest świadczeniem zdrowotnym, lecz usługą. Problem w tym, że za tę „usługę” ma płacić NFZ – a Fundusz płaci za świadczenia zdrowotne. W dodatku projekt przewiduje, że przed udzieleniem „usługi” farmaceuta musi zweryfikować, czy pacjentka ma prawo do korzystania ze świadczeń zdrowotnych.

Farmaceuci nie palą się do podjęcia ryzyka wystawiania recept dla nastolatek bez akceptacji ich opiekunów. Są obawy, że kształt rozporządzenia i tempo, w jakim ma ono zacząć obowiązywać, unicestwi program pilotażu. ©

Dobrze się czyta w miłym towarzystwie

KSIAŻKI ■ Tuż przed wynikami wyborów samorządowych poznaliśmy najnowsze – niezwykle krzepiące – wyniki badań czytelnictwa. Lekturę co najmniej jednej książki zadeklarowało 43 proc. Polek i Polaków, wyraźnie więcej niż w latach poprzednich. Dobre wieści są takie, że mimo inflacji i wzrostu cen chętniej chodziliśmy do księgarni. Między rokiem 2020 a 2023 podwoiła się także liczba mężczyzn wypożyczających książki z bibliotek i w tej grupie, jak zauważa Biblioteka Narodowa, znaleźli się przede wszystkim młodzi ojcowie. Co ciekawe, wzrost czytelnictwa ściśle łączy się ze zmianami naszych nastrojów: 55 proc. ankietowanych przyznaje, że dzisiaj „często cieszy się na nowy dzień” (w 2022 r. było to 42 proc.), a 46 proc. jest przekonanych, że „ich życie jest pełne możliwości” (odpowiednio 29 proc. w roku 2022).

Choć BN bada zwyczaj czytelników i czytelników powyżej 15. r.ż., na wzrost czytelnictwa wpływają również trendy rynku, który od kilku lat zdominowany jest przez nastolatki. Organizowane z myślą o młodzieży wiosenne targi książki w Katowicach odwiedziło 10 tys. młodych ludzi. Tytuły kierowane do młodego odbiorcy zajmują najwyższe miejsca w aktualizowanych co miesiąc trendach popularnego serwisu Lubimy Czytać. Jak mówi „Tygodnikowi” jego prezesa Izabela Sadowska, miesięcznie serwis odwiedza 200 tys. osób poniżej 18. r.ż. Oceniają książki, nagrywają wideorecenzje albo mierzą czas czytania i biorą udział w różnego rodzaju czytelnickich wyzaniach.

W 2023 r. ponad 26 proc. wszystkich użytkowników aplikacji Empik Go wybierało audiobooki dla dzieci i młodzieży, z czego rodziców zainteresowanych tytułami dla słuchaczy poniżej 18. r.ż. było ok. 14 proc., a rodziców współdzielących lub wykupujących dostęp do aplikacji dzieciom – 18 proc.

Podobne trendy widać w Europie. Z raportu przygotowanego na Targi Książki dla Dzieci w Bolonii przez Włoskie Stowarzyszenie Wydawców dowiadujemy się, że książki dla dzieci i młodzieży (z wyłączeniem podręczników szkolnych) mają 18 proc. udziału w całym włoskim rynku książki. Co najmniej jedną książkę pozaszkolną przeczytało w zeszłym roku prawie 60 proc. dzieci w wieku 11-14 lat.

Z kolei w najnowszym raporcie niemieckiego Stowarzyszenia Wydawców Książek dla Młodych Dorosłych czytamy, że to księgarnia, mimo popularności mediów społecznościowych, nadal jest najważniejszym miejscem kontaktu młodzieży z literaturą, a najczęściej wybieranym formatem jest książka papierowa (tylko ok. 3 proc. młodych Niemców woli czytać na ekranie). Wydatki na książki dla dzieci i młodzieży wzrosły w Niemczech w latach 2019-2023 o 7,4 proc. i wyniosły w zeszłym roku 672 mln euro, przy czym najwięcej czyta młodzież w wieku 16-19 lat (wzrost wydatków na książki o 77 proc.).

Co wpłynęło na to, że młodzi Niemcy tak chętnie dzisiaj czytają? Prawie 80 proc. nastoletnich czytelników i czytelników do sięgania po książki zachęca wspomnienie o głośnym czytaniu przez rodziców i dziadków.

© P. MONIKA OCHĘDOWSKA

Czytelniczki na Targach Książki w Lipsku, 27-30 marca 2024 r.



LEIPZIGER BUCHMESSE / MATERIAŁY PRASOWE

Oczywistości i kontrowersje

KOŚCIÓŁ ■ Watykan ogłosił w poniedziałek Deklarację o godności ludzkiej „*Diginitas infinita*”. Tekst przygotowywano kilka lat, wprowadzając liczne zmiany, także na życzenie papieża. Rezultat jest dziwny – po części banalny, po części bardzo kontrowersyjny.

Tekst ma dwie części – w pierwszej, teoretycznej, dokument streszcza nauczanie Kościoła dotyczące wrodzonej, niezbywalnej, ontologicznej godności każdego człowieka, która jest podstawą jego godności moralnej, społecznej i egzystencjalnej. W części tej nie znajdziemy niczego nowego względem treści dotychczasowych kościelnych dokumentów.

Druga część poświęcona jest zagrożeniom ludzkiej godności. Na życzenie Franciszka znalazło się tu więcej tematów społecznych, takich jak ubóstwo, migracje, różne formy przemocy. W tych fragmentach Deklaracja przypomina zasadniczo papieskie nauczanie. Pewne kontrowersje może wzbudzić fragment poświęcony wojnie, który wskazuje oczywiste zagrożenia, jakie niesie konflikt zbrojny, ale nic nie mówi o tym, jak chronić ludzką godność w sytuacji, gdy zaprzestanie obrony przyczyniłoby się do innych zagrożeń dla ludzkiej godności.

Najwięcej kontrowersji Deklaracja może wzbudzić w kwestii, w której stanowi *novum* w oficjalnym kościelnym nauczaniu – czyli w kwestii teorii gender i praktyki zmiany płci. Uznano w niej, że każda interwencja mająca na celu zmianę płci powoduje „ryzyko zagrożenia unikalnej godności, jaką osoba otrzymała z chwilą poczęcia”. Uzasadnieniem tej oceny jest krytyka teorii gender, jako zaprzeczającej „największej możliwej różnicy pomiędzy bytami ożywionymi – różnicy seksualnej”.

Problematyczność tego rozwiązania polega na nieuwzględnieniu faktów: Istnieją osoby, dla których niezgodność pomiędzy ich poczućmi tożsamości a płcią biologiczną i tym, jak są postrzegane społecznie, stanowi przyczynę ogromnych trudności psychicznych i cierpienia prowadzącego nawet do tendencji samobójczych. Korekcja płci i społeczne uznanie ich tożsamości jest najskuteczniejszym rozwiązaniem ich trudności – może właśnie dlatego, iż jest to uwzględnienie ich osobowej godności.

Nacisk położony na znaczenie biologicznej różnicy płci jest też problematyczny teologicznie. Już św. Paweł pisał, że z Bożej perspektywy „nie ma mężczyzny ani kobiety, wszyscy jesteśmy kimś jednym w Chrystusie Jezusie” (Ga 3, 28). Tekst Deklaracji uświadamia, że zrozumienie tej natchnionej wizji jest jeszcze przed nami.

© P. PIOTR SIKORA



FOTO: NUR / AFP / EAST NEWS

Budowa największej na świecie instalacji fotowoltaicznej Jinta Zhongguang Solar o mocy 100 000 kW + 600 000 kW. Po zakończeniu generowane będzie 1,37 miliarda kWh rocznie. Jiuquan, Chiny, 18 marca 2024 r.

Europa walczy, a Chiny nic nie robią? Nieprawda

KLIMAT ■ Światowa energetyka na dobre otrząsnęła się po dwóch kompletnie różnych wstrząsach: pandemii i pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Unia Europejska już drugi rok obchodzi się bez rosyjskiego gazu: w tę wiosnę wchodzimy z magazynami zapełnionymi w 59 procentach. Tak wysoki wynik oznacza, że bez problemu uzupełnimy zapasy przez zimę. Zawdzięczamy go m.in. dostawom z Ameryki i otwartemu

rurociągowi Baltic Pipe, a przede wszystkim rozwojowi odnawialnych źródeł energii.

Nie ma jednak mowy o powrocie do przeszłości. Transformacja energetyczna ma już charakter globalny. To ważne, bo jak często powtarzają przeciwnicy polityki klimatycznej, Unia Europejska odpowiada za ułamek światowych emisji. W 2023 r. Indie wyprzedziły pod tym względem całą UE, a za jedną trzecią światowej produkcji CO₂ do atmosfery odpowiadają Chiny.

Za to druga popularna teza, przedstawiana jako: „Unia uśmierca własną gospodarkę, by chronić planetę, a Chiny i Indie robią, co chcą”, nie wytrzymuje zderzenia z faktami. Chińczycy od 2021 r. mają

własny system handlu emisjami (wzorowany na europejskim ETS), na potęgę budują nowe źródła energii i od dawna mają mniejszy udział węgla w produkcji prądu niż... Polska. Za to w Indiach (nadal mocno stojących na węglu) nowe inwestycje energetyczne z 2022 r. w 92 procentach produkują prąd z odnawialnych źródeł. W ciągu najbliższych dekad Indie planują też oddać kilkanaście reaktorów jądrowych.

Oczywiście Chinom daleko do ekologicznego wzorca. Prowadzą politykę pełną sprzeczności: w 2023 r. zezwoliły na budowę elektrowni węglowych o łącznej mocy 114 GW, a jednocześnie włączyły ponad 250 GW mocy z odnawialnych źródeł. Na politykę klimatyczną wydają najwięcej na świecie, ale widzą w niej bardziej instrument gospodarczy niż ekologiczny. Prawdą pozostaje, że trzej najwięksi emitenci – Chiny, USA oraz Indie – mają już ustalone daty osiągnięcia neutralności klimatycznej, inwestują w nowe technologie i będą robić to coraz mocniej.

W 2023 r. ludzkość wyrzuciła do atmosfery 37,4 mld ton CO₂ – najwięcej w historii. Wzrost zawdzięczamy temu, że rok 2023 z powodu suszy był katastrofalny dla energetyki wodnej. Ale to może być jeden z ostatnich takich rekordów. Chiny swój szczyt emisji planują osiągnąć jeszcze przed rokiem 2030. Z kolei w rozwiniętych gospodarkach już w zeszłym roku emisje spadły o 4,5 proc. Nie przechodziliśmy przy tym recesji, co tylko potwierdza tezę, że na polityce klimatycznej da się zarabiać. Polska też powinna o tym pamiętać, projektując własne strategie rozwoju. © © KRZYSZTOF STORY

Jak powstają wspomnienia

BIOLOGIA ■ Każdy z 86 mld neuronów w naszym mózgu może stworzyć dziesiątki tysięcy połączeń z innymi neuronami – to w tej złożonej sieci zakodowane są cała nasza osobowość, umiejętności czy życiowe doświadczenia. Od pół wieku i z badań Erica Kandel na ślimakach morskich wiemy, że nabywanie wiedzy prowadzi do strukturalnych i molekularnych zmian w mózgu, których efektem jest rozrastanie się sieci połączeń neuronalnych.

Od tego czasu odkrywamy kolejne mechanizmy biochemiczne związane z powstawaniem wspomnień. W badaniach nad pamięcią neurobiolodzy często przyglądają się strukturze zwanej hipokampem, o której wiemy, że ma związek z uczeniem się – np. w 2000 r. Eleanor Maguire i współpracownicy wykazali, że rozmiar hipokampu u londyńskich taksówkarzy koreluje z czasem, jaki przepracowali w zawodzie (zapamiętywanie skomplikowanej sieci ulic doprowadziło do rozrostu tylnej części tej struktury). Znamy też historie pacjentów, takich jak H.M., którzy po usunięciu hipokampu

nie byli już w stanie tworzyć nowych wspomnień.

W nowym badaniu, opisanym właśnie w „Nature”, Vladimir Jovasevic i współpracownicy analizowali zmiany zachodzące w neuronach hipokampa u myszy, które nauczono strachu przed umieszczeniem w pewnym środowisku (były w nim delikatnie rażone prądem). Badacze zauważyli, że w neuronach dochodzi wówczas do uszkodzeń DNA, którego fragmenty trafiają do wnętrza komórki, powodując reakcję układu odpornościowego i stan zapalny – podobnie jak wtedy, gdy w komórce wykryte zostaną fragmenty ob-

cego DNA, świadczące o infekcji. Naukowcy powiązali ten stan zapalny z obecnością białka TLR9 oraz wykazali, że po zablokowaniu produkcji tego białka myszy przestają uczyć się reagować strachem (zastygając w bezruchu) w miejscach, w których wcześniej rażono je prądem.

Mechanizm uszkodzania i naprawy DNA najwyraźniej odgrywa więc rolę w zapamiętywaniu. To zaskakujące odkrycie, ale dla ewolucji nie ma nic niemożliwego – nawet problem może zostać wykorzystany do stworzenia nowej funkcji.

© © ŁUKASZ KWIATEK

PLAN SIKORSKIEGO

Sto dni w roli szefa MSZ kończy sporem z Izraelem po śmierci polskiego wolontariusza w Gazie. Wcześniej zdążył stać się symbolem nowej ofensywy Polski na arenie międzynarodowej, jednak jego własne ambicje znacznie wykraczają poza kierowanie dyplomacją.

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

JEŚLI LICZYĆ STAŻ W TZW. GMACHU za poprzednich rządów PO-PSL, to Radosław Sikorski, wchodząc w ósmy rok pełnienia funkcji szefa dyplomacji, ma szansę przejść do historii jako rekordzista na tym stanowisku. Jego nowe otwarcie w alei Szucha różni się jednak od poprzedniego. Pracownicy MSZ przekonują, że nie ma już rewolucyjnego zapachu do reform. Dalej opowiada niepoprawne politycznie kawały, ale nie szuka złotych, korporacyjnych rozwiązań, które uzdrowią resort.

– Zmądrzał. Zdystansował się. Zrozumiał, że nie ma sensu walczyć z tymi, którzy zawsze przyznają szefowi rację. Tak, jakby na coś czekał. Tylko że tym razem cierpliwiej i bez robienia wokół siebie zamieszania – opowiada jeden z urzędników.

Tym czymś jest najpewniej próba wejścia w projekt międzynarodowy.

– Można odnieść wrażenie, że minister jest na Szucha chwilowo. Widać to w stylu zarządzania. W zależności od wyniku wyborów do Parlamentu Europejskiego zupełnie prawdopodobnym wariantem jest jego desant do Brukseli na stanowisko komisarza ds. obronności. Mniej prawdopodobne jest objęcie

przez niego Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych – komentuje nasze źródło. – No, chyba że na szefa Komisji Europejskiej będzie wybierał się sam Donald Tusk. Wtedy minister będzie musiał powściągnąć ambicje – dodaje.

Odkąd w polityce europejskiej zaczęły się rozchodzić drogi Paryża i Berlina, a Warszawa wyraźnie ociepla relacje z Francją – sygnalizując np. jej udział w polskich projektach atomowych czy wspólnie lansując zmiany w Zielonym Ładzie i unijnej polityce handlowej (Paryż kwestionuje zapisy umowy o wolnym handlu ze Wspólnym Rynkiem Południa, a Polska zasady handlu z Ukrainą) – szanse Ursuli von der Leyen na ponowną kadencję nie są pewne.

Ambasadorowie między bajki

I Tusk, i Sikorski plotek kadrowych nie komentują. Na pytania w tej sprawie rzecznik szefa MSZ nie odpowiedział.

Ambicje międzynarodowe ministra potwierdza jednak jego polityka. Za granicą niekontrowersyjna. Raczej spokojna i wyważona. Odmienna od tej sprzed 2015 r. Bez głośnych apeli o przywództwo Niemiec w Europie czy nawoływań USA do sprowadzenia do Polski ciężkiej

brygady pancernej. Wszystko, co może budzić skrajne emocje i opinie, jest wyciszane.

W kraju podobnie. Sikorski z jednej strony realizuje retoryczną dintojrę na Zjednoczonej Prawicy, zapowiadając odwołanie 50 ambasadorów. Z drugiej prowadzi tę wojnę tak, by za bardzo nie narazić się prezydentowi. Bo ten – na podstawie przyjętej latem ubiegłego roku ustawy kompetencyjnej – współdecyduje, kto jest polskim kandydatem na komisarza. Współdecyduje, a nie konsultuje. Jeśli więc Sikorski chce poważnie myśleć





*Przed spotkaniem z prezydentem USA Joe Bidenem w Białym Domu.
Waszyngton, 12 marca 2024 r.*

o swojej karierze międzynarodowej, musi brać pod uwagę zdanie Andrzeja Dudy.

Rezultat jest taki, że odwołanie ambasadorów jak na razie przypomina raczej luźną dyskusję rozłożoną w czasie, a nie wojnę do ostatniej kropli krwi, jak mogłyby sugerować nagłówki w mediach. List Sikorskiego do odwoływanych dyplomatów nie ma charakteru konfrontacyjnego. Poznaliśmy jego treść. To ledwie kilka ogólnych zdań przewidujących „zakończenie misji do końca roku”. Bez szczegółów czy podania przyczyn.

Sikorski nie chce iść na noże z prezydentem i „jego” ambasadorami. Z listy 50 zależy mu na kilku kluczowych placówkach – w USA, w Ukrainie, przy NATO i UE. Na giełdzie są różne nazwiska. Przede wszystkim Jacek Najder i Robert Kupiecki. Ci mieliby pojechać do Stanów i NATO – ich kandydatury podawane są wymiennie. Powracające nazwisko byłego szefa MON Bogdana Klicha to raczej taktyka negocjacyjna, windowanie oczekiwań. Bo nikt rozsądny w otoczeniu Sikorskiego nie wierzy, że prezydent zgodzi się na polityka, którego prawica odsą-

dza od czci i wiary, oskarżając o zaniedbania w lotnictwie wojskowym, które były jedną z przyczyn katastrofy smoleńskiej w 2010 r.

– W kontekście Kijowa wymienia się Piotra Łukasiewicza, który ma zastąpić Jarosława Guzego – mówi nasze źródło. – Z drugiej strony nie jest też tak, że Andrzej Duda jakoś szczególnie broni ambasadorów przy ONZ, w USA, Pekinie i Bukareszcie. Czyli swoich byłych ministrów i współpracowników. Najściślej związany z prezydentem jest Krzysztof Szczerski, który kieruje placówką →

→ w Nowym Jorku przy Narodach Zjednoczonych. Na jego odwołanie najsilniej naciska też Tusk, postrzegając go jako „założyciela” Dudy. Marka Magierowskiego w Waszyngtonie prezydent nie zamierza bronić. Pamięta mu odejście na wice-szefa MSZ, gdy resortem kierował Witold Waszczykowski. Magierowski zrobił to niespodziewanie, zaskoczył Dudę. Z kolei Jakub Kumoch w Pekinie jest w silnym konflikcie z Marcinem Mastalerkiem, który obecnie nadaje ton w pałacu. Obaj panowie niemal pobili się w czasie podróży prezydenta do Kijowa w maju 2022 r. Mastalerek namawiał Dudę, by do swojego przemówienia wprowadził fragment o wspólnej organizacji dużej

imprezy na wzór Euro 2012. Kumoch był przeciw. Padły przekleństwa. Od tamtego czasu głównym zadaniem Mastalerka jest szkolenie Kumochowi. To samo dotyczy byłego szefa BBN, a obecnie ambasadora RP w Bukareszcie Pawła Solocha – komentuje nasz rozmówca. Mityczną obronę „prezydenckich ambasadorów” można tym samym włożyć między bajki. Duda nie będzie za nich umierał.

Szanuje beczelnych

Jeśli wejść głębiej w układ sympatii i antypatii na linii MSZ–pałac prezydencki–KPRM, sprawy nie są oczywiste. Sikorski nie zamierza upokarzać dyplomatów poprzedniej władzy, których osobiście sza-

nuje. W rezultacie Magierowski, jako iberysta, ma dostać placówkę w Ameryce Południowej. W Argentynie albo w Brazylii, z której odwoływana jest Bogna Janke. Również dawna współpracowniczka prezydenta.

Litości nie ma natomiast wobec „założycieli”. Tusk żąda od Sikorskiego głów. Dopytuje o efekty. Porównuje z Bartłojem Sienkiewiczem, który żywym ogniem czyści kadry w mediach. Można to nazwać syndromem Witolda Waszczykowskiego. Ów były minister na polecenie prezesa Jarosława Kaczyńskiego miał polować na absolwentów Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Wbrew



Podczas rozmowy z dziennikarzami po spotkaniu z prezydentem Ukrainy Petrem Poroszenką. Kijów, 15 lipca 2014 r.

Minister z teflonu czy na pasku Berlina

NIE UNIKAŁ SKANDALI

na stanowisku ministra w rządzie PO-PSL. I tych realnych, i domniemanych. Do dziś prawica nie może Radosławowi Sikorskiemu wybaczyć zachowania w czasie jego misji w Ukrainie zimą 2014 r., gdy chwiał się rząd Wiktora Janukowycza. Wówczas Polak razem ze swoim ówczesnym odpowiednikiem z Niemiec – Frankiem-Walterem Steinmeierem – próbował namawiać skompromitowanego prezydenta, by poszukiwał porozumienia z Majdanem. Do tego same-

go przekonywał ukraińską opozycję. Sikorskiemu udało się doprowadzić do rozwiązania, które zakładało reformę konstytucyjną i odejście Janukowycza ze stanowiska najpóźniej do grudnia 2014 r. Rada Majdanu po burzliwych dyskusjach zaakceptowała ten kompromis głosami 34 do 2. W czasie tamtego spotkania padły słynne słowa, które wypowiedział Sikorski: „Jeśli tego nie poprzecie, będziecie mieli stan wojenny, armię, wszyscy zginiecie”. Do dziś ma to być kironny zarzut ze strony polskiej

prawicy na szantaż pod adresem ukraińskiej opozycji i granie na rzecz Janukowycza. Gdy razem z Michałem Potockim zimą 2014 r. pytaliśmy Ołeksija Harań – tego, do którego zwrócił się Sikorski słowami „wszyscy zginiecie” – polityk nie miał pretensji i widział to nieco inaczej. Cytowaliśmy go w książce „Wilki żyją poza prądem. Jak Janukowycz przegrał Ukrainę”. „Owszem, tamta rozmowa Sikorskiego nie była najprzyjemniejsza (...), ale proszę, żebyście dobrze przekazali moje słowa: to, że Janukowycz nie poszedł na ostateczną pacyfikację Majdanu, jest wielką zasługą Sikorskiego” – mówił już po rewolucji Harań.

RÓWNIE NIEPRAWDZIWE

są zarzuty wobec Sikorskiego w kwestii sabotowania polityki Lecha Kaczyńskiego wobec Gruzji czy podczas szczytu NATO w Bukareszcie wiosną 2008 r. Z depesz WikiLeaks wynika, że ówczesny szef MSZ był zwolennikiem dostarczania broni do Gruzji. Jako pierwszy miał również przekazać Amerykanom, że Rosjanie w sierpniu 2008 r. przekroczyli tunel rokijski i rozpoczęli inwazję. Z kolei w Bukareszcie – mimo już wówczas ogromnej podejrz-

liwość ze strony Lecha Kaczyńskiego – grał na rzecz nadania Ukrainie i Gruzji MAP, czyli Planu Działań na rzecz Członkostwa, który był gwarancją, że oba państwa wejdą do NATO. W Bukareszcie okazało się to niemożliwe ze względu na postawę Niemiec, które były jednoznacznie przeciw. Ale też braku sprawczości George’a W. Busha, który był w finale swojej drugiej kadencji.

JEDNOZNACZNE

ZAANGAŻOWANIE we wsparcie dla Ukrainy, Gruzji, ale też próba poszerzania pola dla Białorusi i rozmowy o europejskiej perspektywie dla Mołdawii nie pozwalają uwiarygodnić tezy o tym, że Sikorski chodził wówczas na pasku Berlina w polityce wschodniej. Reset z Rosją w czasach rządów PO-PSL wpiśwał się w ogólnoeuropejski trend wiary w to, że Kreml związany z Zachodem jest mniej niebezpieczny. Nie było w tym działania w złej wierze. Czym innym jest brak rezultatów w polityce wobec Rosji, a czym innym krytyka balansująca na granicy zarzutu agenturalności.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

pozorom robił to niechętnie, bo wiązało się to z koniecznością łamania zasad, na których byli zatrudnieni dyplomaci. Formalnie zarzutem nie mogło być przecież ukończenie MGIMO, a ABW nie cofało im też poświadczeń bezpieczeństwa. Teraz jest podobnie. W przypadku osób takich jak Szczerski, Sikorski na siłę musi szukać powodów odwołania.

Rozmówcy z MSZ mówią przy tym o pewnym zaskoczeniu. Listu o odwołaniu nie dostał Andrzej Papierz, szara eminencja gmachu z czasów Witolda Waszczykowski i Jacka Czaputowicza, a obecnie ambasador w Podgoricy. To człowiek z „grupy Jasiona”, czyli Andrzeja Jasionowskiego – dyplomata kojarzonych ze służbami specjalnymi (i Papierz, i Jasionowski mają za sobą służbę w Urzędzie Ochrony Państwa) i byłych dyrektorów generalnych resortu. Dla jednych są tymi, którzy „mają na wszystkich kwity”. Dla innych stanowią MSZ-owską technostруктурę, której Sikorski potrzebuje. Poza tym Papierz charakterologicznie przypomina obecnego ministra, co ten musi doceniać. Krążą legendy o tym, jak obecny ambasador w Czarnogórze podczas obrad kierownictwa MSZ w czasach Czaputowicza potrafił położyć nogi na stole, a minister udawał, że tego nie widzi. Sikorski szanuje ludzi bezczelnych. I służby, co w przypadku Papierza może wiele tłumaczyć.

Trzeci człowiek

Fascynacja Sikorskiego wywiadem to zresztą osobna kwestia. Sięga ona znacznie dalej niż do pierwszego rządu Donalda Tuska. I ma swoje konsekwencje.

– Sikorski jako minister obrony w rządzie PiS w latach 2005-07 interesował się pracą służb wywiadowczych i te służby szanował – opowiada gen. Marek Dukaczewski, były szef WSI. – Wiedział, że z nich pochodzi realna wiedza. Nie szedł w retorykę likwidacyjną Antoniego Macierewicza. To Sikorski zadzwonił do mnie i powiedział, że będę musiał odejść ze stanowiska. Nie było w nim jednak żadnej złośliwości. Nigdy nie był klasycznym PiS-owcem. Postrzegał państwo jako pewną ciągłość. Szanuje to, jak się wtedy zachował.

Oficer WSI, który przeszedł weryfikację i trafił do Służby Wywiadu Wojskowego: – To Sikorski zorganizował generałowi Dukaczewskiemu imprezę po-

gnałą. Przyniósł mu wtedy w prezencie jakiś obraz. Chyba nawet przeproszał go za to, że ówczesny premier Jarosław Kaczyński nie dotrzymał obietnicy i razem z Dukaczewskim nie odwołał ówczesnego wiceministra Antoniego Macierewicza. Sikorski postrzegał to jako złamanie słowa wobec generała.

Służby odwzajemniły tę miłość. Sikorski był zapraszany do tzw. Lasu na wykłady dla przyszłych oficerów wywiadów cywilnego. Do szkoły oficerskiej Agencji Wywiadu dolatywał śmigłowcem. Czaro- wał tam przyszłych szpiegów, a oni jego.

Wojskowe służby szanowały go z kolei za Afganistan, gdzie pod koniec lat 80. XX wieku był korespondentem wojennym. Gdy Sikorski był ministrem obrony w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza i Jarosława Kaczyńskiego, nie dało się mu wcisnąć bajek o misji. Herat znał lepiej niż WSI i Agencja Wywiadu razem wzięte. W Kabulu czuł się jak u siebie. Już jako szef MSZ w rządzie PO-PSL, gdy Polska przejęła prowincję Ghazni – jeździł również tam. Wówczas jego przewodnikiem był doradca polskiego kontyngentu władający językami fars i dari, Piotr Krawczyk – po 2015 r. i pod rządami PiS szef Agencji Wywiadu, kojarzony z aferą respiratorową.

Jakie były konsekwencje tej fascynacji? Dwie kadencje w MSZ w rządzie Donalda Tuska w latach 2007-15 to złote lata wywiadu w resorcie spraw zagranicznych. – Nie wiadomo, kto wtedy kim kręcił – przekonuje były dyplomata na Białorusi i w Rosji Witold Jurasz. – Czy MSZ służbami, czy służby MSZ-em.

Ciekawostki i dywagacje

Samego Jurasza poróżniły z Sikorskim „pewne kwestie”, choć na początku obaj panowie nieźle ze sobą współpracowali, a szef MSZ realizował w tym czasie jeden z najważniejszych projektów w polityce wschodniej za pierwszego rządu Tuska. Gdy Jurasz był *chargé d'affaires* w Mińsku, latem 2010 r. podjęto grę z Alaksandrem Łukaszenką.

Polska za normalizację stosunków i przestrzeganie praw mniejszości polskiej zaoferowała trzy inwestycje. W Żelwie, w połowie drogi między Białymstokiem a Baranowiczami, miała powstać elektrociepłownia zasilana węglem z Bogdanki. Inwestorem miał być Jan Kulczyk, który w tej sprawie spotkał się zresztą w tam-

tym czasie z Łukaszenką. Atmosfera spotkania była doskonała. Biznesmen przywiózł prezydentowi zabytkowy XVIII-wieczny gadżet kancelaryjny do produkcji pieczęci, który kupił w domu aukcyjnym Christie's za 80 tys. funtów. Drugą inwestycją miało być wejście Polkomtela do białoruskiego koncernu Beltel. Trzecią – przejście do 50 proc. akcji potentata ubezpieczeniowego Belgosstrach przez PZU. Łukaszenka miał wtedy ciche dni z Władimirem Putinem. Potrzebował pieniędzy i inwestycji. Polska z kolei prowadziła politykę resetu wobec Rosji, co powodowało, że jej notowania w Mińsku były wysokie.

– Sikorski chciał to wszystko spuentować wizytą. Pojawił się pomysł, by jechać do Mińska z szefem MSZ któregoś z ważnych państw UE. Minister sondował dwóch: Szweda Carla Bildta i Niemca Guida Westerwellego. Zgodzili się obaj i trzeba było któregoś spławić. Polecił Niemiec. Wyszło to źle – opowiada Jurasz.

W Mińsku Sikorski obiecywał Łukaszence Niderlandy. Mówił o kredytach finansowanych z pieniędzy unijnych, domagając się w zamian umiarkowania w kwestii cudów nad urną, przestrzegania praw opozycji i mniejszości. Kredytów jednak nigdy nie było, obietnice nie miały pokrycia. Łukaszenka wyczuł fikcję. Również zobowiązał się do wszystkiego. I niczego nie zrealizował. Tuż po wizycie Sikorskiego na Białorusi, w grudniu 2010 r. odbyły się wybory prezydenckie. Opozycyjni kandydaci zostali spalowani i wsadzeni do aresztów. Ciężko pobito ciepło ocenianego przez Polskę Uładzimira Niaklajeua. Rannego polityka porwano ze szpitala. Przez pewien czas nie było wiadomo, czy żyje. To był koniec odwilży z Białorusią. I upadek projektu Sikorskiego, który później długo mu wypominało.

Minister do dziś ma żal do Jurasza. W pierwszym wydaniu swoich wspomnień pt. „Polska może być lepsza” sugeruje, że był on związany z wywiadem. – Od tamtego czasu nie byłoby rozsądne pojawianie się w Rosji czy na Białorusi – mówi Jurasz. – Choć tak naprawdę najbardziej obraźliwe było określenie mnie mianem „źródła USA”.

Panowie niemal spotkali się w sądzie. W kolejnym wydaniu „Polski...” kontrowersyjne fragmenty wypadły. Jurasz dodaje, że do dziś nie może zrozumieć, →

→ dlaczego najdłużej urzędujący szef MSZ pozwolił sobie na takie dywagacje.

W książce pojawiło się zresztą znacznie więcej ciekawostek. Minister potwierdził, że w Polsce istniało tajne więzienie CIA, zlokalizowane w szkole oficerskiej Agencji Wywiadu w Kiejkutach. Oczywiście, od lat była to tajemnica poliszynele, pisała o tym szczegółowo prasa, zarówno w Polsce, jak i w USA. Jednak żaden minister z państw zaangażowanych w program tzw. *rendition flights* nie przyznał tego pod nazwiskiem.

– Aby wypłacić zasądzone przetrzymywany w Polsce przez Amerykanów odszkodowania, powołaliśmy fundację. Chodziło o to, aby z więzieniami nie łączyć państwa, niezależnie od tego, że było to w sumie oczywiste. Chodziło o to, aby nie stawiać kropki nad „i” – opowiada wysokiej rangi dyplomata.

Sama książka „Polska może być lepsza” jest fascynująca. Takiej liczby szczegółów uprawiania polityki zagranicznej nie ujawnił jeszcze żaden polski polityk. I to w atrakcyjnej, błyskotliwej formie.

Słowa zamiast żelaza

Z występów medialnych i książek z przeszłości nikt Sikorskiego rozliczał już jednak nie będzie. To zamknięty rozdział. Tusk, zapraszając go po raz kolejny do rządu, zdawał sobie doskonale sprawę z jego zacięcia publicystycznego i talentu do facecji. Uznał jednak, że jeśli Sikorski będzie się sprawdzał w dyplomacji, nie będą miały znaczenia.

Pierwsze miesiące mu sprzyjały. Nie rozwiązał kryzysu w relacjach z Ukrainą, ale zarządził nim bez większych strat dla Polski. Z jednej strony był niezwykle poprawny wobec Wołodymyra Zełenskigo, zapewniając podczas wizyty w Kijowie o wiecznym poparciu Polski. Z drugiej kontynuował politykę embarga na zboża z Ukrainy zapoczątkowaną przez PiS, a na forum UE lobbował za zakończeniem modelu integracji opartego na „korytarzach solidarnościowych”. Było niemal jak na ujawnionych w 2014 r. nagraniach rozmów Sikorskiego z Jackiem Rostowskim w pałacyku Sobańskich: „dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać”.

Podczas grudniowej podróży do Kijowa minister poparł powrót Ukrainy do granic z 1991 r. Jednak już w czasie konsultacji międzyrządowych w marcu 2024 r. stwierdził, że specjalne traktowanie Ukra-

iny w UE odchodzi do przeszłości. „Gdy Putin blokował ukraiński eksport przez Morze Czarne, Ukraina była dopuszczona chwilowo do jednolitego rynku Unii Europejskiej. Teraz, gdy odzyskała dostęp do morza, a tym samym do swoich dotychczasowych rynków zbytu, czas tego przywileju powoli mija – komentował tuż przed spotkaniem Donalda Tuska z Denysem Szmyhalem. – Polska wspiera Ukrainę strategicznie w jej aspiracjach europejskich i euroatlantyckich i w jej oporze w walce z imperializmem rosyjskim, co nie oznacza, że nie ma problemów w relacjach dwustronnych. Jak to między sąsiadami bywa, i to takimi, którzy mają mnóstwo historii między sobą” – dodał.

Polityk PiS, który był zaangażowany w kształtowanie polityki wobec Ukrainy po 24 lutego 2022 r., przekonuje, że w Kijowie w końcu połapano się w tej grze. Potwierdzają to też sami Ukraińcy. – Wiceszef MSZ Ukrainy Mykoła Toczycki przyznał niedawno, że do pewnego stopnia przeliczono się w kalkulacjach wobec Tuska i Sikorskiego. „PiS może i mówił nam przykre rzeczy, ale dawał żelazo”, komentował Toczycki, mając na myśli broń, którą dostarczano na Ukrainę. Tusk i Sikorski dają przede wszystkim zapewnienia. Składają deklaracje, ale niewiele z tego później wynika – komentuje ukraiński dyplomata.

Nie zmieniają do faktu, że Sikorski jest realnie zaangażowany w lobbowanie w sprawie ukraińskiej za oceanem. To on namawiał otoczenie prezydenta Dudy, by podczas wizyty w USA wzięło na siebie ciężar zorganizowania spotkań z przedstawicielami Republikanów. Miał również namawiać Pałac Prezydencki do odnowienia kontaktów z samym Donaldem Trumpem i zapewnić takiej inicjatywie ochronę dyplomatyczną. Ten proces – *per procura* – toczy się zresztą również po stronie rządu. Na niedawną konferencję w Natolinie poświęconą przyszłości wojny szef komisji spraw zagranicznych Paweł Kowal ściągnął do Warszawy w przeszłości blisko współpracującego z Trumpem Kurta Volkera, który był jego wysłannikiem ds. Ukrainy. Jeśli – jak spekulują media w USA – sekretarzem stanu po zwycięstwie Republikanina zostanie byłym szef amerykańskiej wspólnoty wywiadowczej i byłym ambasadorem USA w Niemczech Richard Grenell, Volker wróci do

administracji i ponownie zajmie się sprawami ukraińskimi. Zapytaliśmy Volkera o to, czy po ewentualnym zwycięstwie Trumpa pomoc USA dla Kijowa będzie kontynuowana. Dyplomata odpowiedział, że nie ma co do tego wątpliwości. – To pytanie o skalę, a nie o samo zaangażowanie – stwierdził jednak. To samo mówił Ukraińcom, w tym wicepremier Irynie Wereszczuk, w Natolinie.

Sikorskiemu nie wypada sondować Grenella czy Volkera. Jednak fakt, że były wysłannik Trumpa utrzymuje kontakty z Kowalem, świadczy o tym, że polska dyplomacja nie gra tylko na jeden ośrodek w USA. Niezależnie od tego, jak bardzo waleczne wpisy na portalu X zamieszcza Donald Tusk.

Niepokój

W tym przypadku zresztą polityka Polski może być dla USA rozczarowująca, tak samo jak deklarowana miłość wobec Ukrainy. Jak słyszymy, zachwyt Amerykanów nad nowym szefem polskiej dyplomacji trwał najdalej do odebrania nominacji przez Sikorskiego. Później zdano sobie sprawę, że do MSZ wchodzi człowiek, który będzie europeizował polską dyplomację, a słowa z nagrań w pałacyku Sobańskich o „robieńiu laski Amerykanom” nie straciły na aktualności.

Możliwe, że europeizacja polskiej polityki odbędzie się kosztem kontraktów z USA. W tym tego najważniejszego, na budowę elektrowni atomowej. To dlatego po resortach miał zacząć pielgrzymować ambasador USA Mark Brzeziński, by wybadać, jaki jest stan gry. Jak przekonują nasze źródła, dyplomata chciał się też wprosić na audiencję do Sikorskiego. Ten długo kulturalnie się wymawiał, by zgodzić się wreszcie na początku lutego 2024 r. „USA i Polska mają wspólne priorytety dotyczące polityki zagranicznej w regionie, a więzi między naszymi narodami nigdy nie były silniejsze” – napisał potem w mediach społecznościowych Brzeziński.

Kolejne tygodnie przynosiły jednak coraz więcej sygnałów, że Amerykanie są najważniejsi, ale Polska, która zakończyła spór o praworządność i odblokowała KPO, będzie budowała również swój unijny wektor w dyplomacji. To dlatego do Waszyngtonu obok Dudy zaproszono też Tuska. Joe Biden chciał mieć pewność,

że rozpoczęty za PiS okres kontraktów na broń i w energetyce nie zostanie poddany rewizji w roku wyborczym w USA.

Czy tak będzie, to się jeszcze okaże. Stanowisko szefa MSZ nie jest w tej kwestii w stu procentach precyzyjne. Znow są przede wszystkim słowa, gesty i gra. Choćby takie, jak pochwalenie się, że syn Radosława Sikorskiego i Anne Applebaum, Tadeusz – służy w armii USA. A dokładnie w Cyber Corps (CC), utworzonym we wrześniu 2014 r., kilka miesięcy po aneksji Krymu przez Rosję.

Szef MSZ szybko uciął dyskusję na temat służby syna. Niepotrzebnie, bo to wyjątkowo interesujący wątek. Cyber Corps jest najnowszą strukturą w siłach USA, z siedzibą w Fort Eisenhower w Georgii, wywodzącą się przede wszystkim z wywiadu wojskowego (Military Intelligence Corps). Oprócz walki z rosyjskimi trollami ingerującymi w amerykańskie wybory CC zajmuje się SIGINT-em, czyli przechwytywaniem danych w sieci. Znaczna część wiedzy Amerykanów na temat planów i postępowania Rosjan w Ukrainie pochodzi albo z agencji wywiadu elektronicznego NSA, albo właśnie z Cyber Corps. O tym, jak bardzo perspektywiczną branżę wybrał młody Sikorski, świadczą zapowiedzi Pentagonu, że do końca tej dekady liczebność formacji ma zostać podwojona. Departament Obrony nie ukrywa, że już teraz Cyber Corps szkoli Ukraińców np. w zagłuszaniu dronów rosyjskich. Można więc powiedzieć,

Zachwyt Amerykanów nad szefem polskiej dyplomacji trwał najdalej do odebrania nominacji przez Sikorskiego. Podobnie jest z Ukraińcami.

że syn szefa polskiego MSZ w jakimś sensie znalazł się w awangardzie tego konfliktu.

Sarmata

Swoje pierwsze sto dni na stanowisku szefa MSZ Sikorski kończy poważnym kryzysem. Po zabiciu polskiego wolontariusza Damiana Sobola pociskiem wystrzelonym z izraelskiego drona resort dyplomacji reagował ospale. Już pierwszego dnia MSZ-ety państw, z których pochodzili zabici pracownicy World Central Kitchen, wyraźnie dociskały Izrael. Żądały, nie prosiły. Wzywały, nie zapraszały. Oburzały się, a nie czekały na wyjaśnienia. Sikorski zaostrożył retorykę dopiero, gdy pół polskiego internetu zapalało gniewem na ambasadora Ja'akowa Liwnego za jego beczelne komentarze o tej śmierci.

Znacznie lepiej Sikorskiemu poszło z polską lekarką porwaną w Czadzie na początku lutego. Po kilku dniach siłami

czadyjskimi i we współpracy z Francją udało się ją uwolnić. A minister rozegrał wszystko niczym wytrawny PR-owiec.

Sikorski w kontaktach z dziennikarzami nie ukrywa, że ambicje ma znacznie większe niż funkcja szefa MSZ. I nie chodzi tylko o stanowiska międzynarodowe. Jak relacjonuje jeden z reporterów, po niedawnej rozmowie z prezydentem Łotwy Edgarsem Rinkēvičsem szef polskiego MSZ powiedział: „Właśnie spotkałem się z kolejnym ministrem spraw zagranicznych, który został prezydentem”. W samolocie na do widzenia z emfazą dorzucił: „To był kolejny dobry dzień dla Polski”. Wcześniej nie poskapił sobie niepoprawnego politycznie kawału o księżach zastanawiających się, czy ich dzieci doczekają zniesienia celibatu. W ten sposób – jak sam zwykł mawiać – karmił bęstię medialną.

Sikorski jest – jak pisał w „Strefie zdekomunizowanej” Łukasz Warzecha – w grupie „pięciu najciekawszych, najoryginalniejszych i z największymi widokami na przyszłość polityków”, pozostając przy tym „konserwatystą niewyrzekającym się sarmackiego dziedzictwa (...) i indywidualistą, średnio nadającym się do gry zespołowej”. Był taki w 2007 r., gdy Warzecha pisał swoją książkę. I jest taki do dziś.

© ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

Autor jest dziennikarzem „Dziennika Gazety Prawnej”

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Domin, Sylwia Frotów, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszałka, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocza-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Jezus Faryzeusz*



„BIADA WAM, UCZENI W PIŚMIE I FARYZEUSZE, obłudnicy! Bo (...) pomijacie to, co ważniejsze jest w Prawie: sprawiedliwość, miłosierdzie i wiarę. (...) Przewodnicy ślepi, którzy precedzacie komara, a połykacie wielbłąda!” (Mt 23, 23-24; Biblia Tysiąclecia).

Lektura tego rozdziału z Mateuszowej Ewangelii, w całości poświęconego druzgocącej krytyce „faryzeizmu”, przywodzi mi na myśl pewien fragment z Talmudu [Babilońskiego]. „Nasi rabini nauczali: oto siedem [typów] faryzeuszy: sychemski, samobiczujący, balwierski, tłuczkowy, »jakaż moja powinność a ją wypełnię«, z miłości i ze strachu. Faryzeusz sychemski – ten, który robi tak, jak zrobiono w Sychem [zob. Rdz 34 – mieszkańcy tego miasta zgodzili się na obrzezanie, żeby odnieść z tego wymierne materialne korzyści]. Faryzeusz samobiczujący – ten, który rani sobie stopy [bo ciągnie je po ziemi, żeby wyglądać na pokornego]. Faryzeusz balwierski – rzeczce rabin Nachman, syn Icchaka: ten, który puszcza krew o mury [idzie z zamkniętymi oczami, żeby nie zobaczyć czegoś nieskromnego, przez to uderza głową w mur i leci mu krew]. Faryzeusz tłuczkowy – rzeczce Raba, syn Szejli: pochylony jak tłuczek [w mózdzierz, chodzi zgięty, symulując pokorę]. Faryzeusz »jakaż moja powinność a ją wypełnię« – wszak jest to cnotliwe! Raczej mówiący: »jakaż moja kolejna powinność, a ją wypełnię« [stwarza wrażenie, że tak świetnie mu idzie wypełnianie przykazań, że aż szuka dodatkowych powinności]. Faryzeusz z miłości [spełnia dobre uczynki ze względu na „miłość” do nagrody za nie]. Faryzeusz ze strachu [spełnia dobre uczynki, obawiając się kary za ich brak]”. Podobną kategoryzację można znaleźć w Talmudzie Jerozolimskim. A obnoszenie się z filakteriami i „frędzlami u płaszczów” (wers 5.) połączone z niecnym postępowaniem krytykuje też midrasz.

To ciekawe fragmenty, zważywszy że znakomitą większość talmudycznych mędrców stanowili właśnie faryzeusze. Czyżby zdrowa wewnętrzna krytyka?

Za rządów Hasmoneuszy ukształtowały się w Izraelu dwie główne frakcje: faryzeusze i saduceusze, oraz ówczesna Trzecia Droga: eseneńczycy. Ci ostatni nie zostawili trwałego śladu w judaizmie, natomiast wzorowały się na nich wczesne wspólnoty chrześcijańskie. Myśl saducejska znalazła swoją kontynuację u karaimów, zaś faryzeusze położyli podwaliny nie tylko pod współczesny judaizm, ale i chrześcijaństwo. Dzięki swojej szczerzej pobożności zaskarbili sobie poparcie żydowskich mas. Ostatnią rzeczą, którą można było zarzucić prawdziwym faryzeuszom, była obłuda – teksty polemiczne niekoniecznie stanowią dobre źródło wiedzy o nich. Nawet wśród chrześcijańskich badaczy Pisma to teza obecna, acz mało popularna: Jezus sam był faryzeuszem. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Przeszedł przez śmierć*



PRZESTRZEGAJĄ NASI UCZENI W PIŚMIE, ŻEBY nie mylić wskrzeszenia ze zmartwychwstaniem i nie traktować pustego grobu Jezusa jako niepodważalnego dowodu na Jego zmartwychwstanie. Część uczonych w Piśmie, nawiązując do opowiadania

o przemienieniu Jezusa, twierdzi, że w chwili śmierci Jezus nie przestał istnieć, ale przybrał inny sposób bytowania, umożliwiając Mu bycie zawsze, wszędzie, we wszystkim i ponad wszystkim. To dlatego nikt nie widział Jezusa owiniętego prześcieradłem z czerwoną chorągwią w rękę wychodzącego z grobu.

Nie lekceważmy jednak tych plastycznych przedstawień, gdyż podobnie jak biblijne opisy ukazywania się Jezusa po śmierci, usiłują one unaocznic to, czego ludzkie oko nie potrafi dostrzec, ludzki rozum pomieścić, a serce ogarnąć. Ta ludzka niemoc nie musi jednak zatruwać nam życia. Wręcz przeciwnie, dodaje odwagi do jeszcze gorliwszego poszukiwania sensu tej konkretnej rzeczywistości, w której się żyje. Na czym więc opierało przekonanie, że Jezus przeszedł przez śmierć i w zmienionej postaci nadal istnieje ten sam, ale nie taki sam?

Piotr „w otoczeniu Jedenastu” mówi: „Bóg wskrzesił (Jezusa) i uwolnił od więzów śmierci. Nie było bowiem możliwe, aby ona nad Nim panowała”. Ten argument oczywiście trafiał do tych, którzy już wierzyli w jakiegoś boga, czy to Żydz, czy pogan, a jeśli mieli z czymś kłopot, to z wyborem, który bóg będzie ich Bogiem. My natomiast mamy kłopot z jednym i drugim, i stąd trudność przyjęcia za prawdę, że w śmierci życie się „nie kończy, ale przemienia”. Czyli że śmierć jest jednym z etapów życia, a nie jego unicestwieniem. Pierwsi chrześcijanie doszli do takich przekonań, rozszyfrowując życie i śmierć Jezusa. Najpierw jednak były zagubienie, strach, zwątpienie, zgorszenie, rozczarowanie, rezygnacja.

Autor Listu do Hebrajczyków mówi wprost, że Jezus „podczas swego ziemskiego życia, z wielkim wołaniem i łzami zanosił błagania i prośby do Tego, który mógł Go ocalić od śmierci. I został wysłuchany dzięki swej uległości!”. Jak to wysłuchany? Przecież umarł! Owszem, ale Bóg odpowiada na ludzkie prośby po swojemu. Dzięki temu Jego odpowiedź pomaga człowiekowi przekraczać wszelkie niemożliwości w nadziei, że świat nie jest bezsensowną gmatwaniną wszystkiego i niczego. Przeciwnie, kryje w sobie nieprzebyte możliwości istnienia na wszelkie sposoby. A to sprawia, także dzięki nauce, że również ateści mają podstawy, by wierzyć w racjonalność marzeń o nieśmiertelności.

Jezus mówi: „Szczęśliwi, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. Ale w co? W piękno ludzkiej dobroci, a więc także kultury – to w nich odbija się dobroć Boga. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Owocowanie

*Żądza i gwałtowność
to przyczyny
wszelkiego zła.*

PRZYPISYWANE
ANTONIEMU WIELKIEMU



*Wolny od gniewu i lęku,
od troski i chępliwości,
w mowie uprzejmy,
niewyniosły – taki niech
się zowie mędrce.*

BUDDA GOTAMA



TRZECI KERYGMAT Piotra, wypowiedziany przed starszyzną żydowską i zapisany w 4. rozdziale Dziejów Apostolskich, jest najkrótszy. Skondensowany w niespełna pięciu wersetach (Dz 4, 8b-12); łatwy do pominięcia. Wprowadzony jest niesłychanie trafną definicją kerygmatu, włożoną w usta kapłanów i rządców świątyni, oburzonych, że apostołowie „głoszą w Jezusie zmartwychwstanie spośród umarłych”. Właśnie tak! Ogłaszają nie tyle „zmartwychwstanie Jezusa”, ile raczej „zmartwychwstanie w (!) Jezusie” (grec. *en to Iesou*; łac. *in Iesu*).

Właśnie dlatego przepowiadamy kerygmat: że dotyczy on każdej i każdego z nas osobiście. To prawda: głosimy prawdę o Jezusie (że został wskrzeszony przez Ojca), ale wyłącznie dlatego, że w Jego Paschę wpisana jest nasza – że Jego śmierć i zmartwychwstanie jest obietnicą i propozycją złożoną nam: zostaniemy podźwignięci ze śmierci. Wtedy – i tylko wtedy – Jego śmierć nabiera sensu i przynosi owoce: „kamień odrzucony przez budujących staje się głowicą węgła” (Dz 4, 11; por. Ps 118, 22). Co oznacza, że owocuje nie tylko w wymiarze przemiany każdego z nas indywidualnie, ale również, że „spina” nas i łączy w mocną i harmonijną wspólnotę (taka jest funkcja „głowicy węgla”).

Stanąwszy przed starszymi ludu, Piotr objaśnia im najpierw, co przed chwilą stało się przy Pięknej Bramie świątyni. Oto człowiek sparaliżowany od dziecka odzyskał na słowo Piotra władzę w mięśniach. Piotr

nie mówi jednak do uczonych w Piśmie, że człowiek został po prostu uzdrowiony – głosi pełniej i mocniej: „został zbawiony/ocalony” (grec. *sesotai*; łac. *salvus factus est*). Uzdrawienie ciała jest jedynie znakiem procesu głębszego, stokroć ważniejszego i całościowego – zbawienia.

Czym ono jest? No właśnie: współ-zmartwychwstaniem z Jezusem i w Jezusie. A zatem nie jedynie „zglądzeniem grzechów”, ale prawdziwym i konkretnym – już tutaj i teraz – wejściem w życie Boże. Życie po Bożemu.

I jeszcze jedno. Mówimy nieraz z pełnym przekonaniem, że kerygmat zawsze owocuje. Po pierwszym przepowiadaniu Piotra o chrzest poprosiły trzy tysiące słuchaczy; po drugim – kolejne dwa tysiące. Po trzecim?

Po trzecim żaden ze słuchaczy Piotra nie poprosił o przyjęcie do Kościoła! Jakie więc były owoce?

Pierwszym były wiara, męstwo i rosnąca determinacja samych apostołów – zakazującym im dalszej działalności uczonym w Piśmie i faryzeuszom odpowiadają: „Nie możemy nie mówić, co widzieliśmy i słyszeliśmy” (Dz 4, 20). Drugim było ponowne napełnienie całej wspólnoty Kościoła Duchem Świętym (tzw. małe zesłanie Ducha Świętego – Dz 4, 31).

To owocowanie kerygmatu *ad intra* – nie *ad extra* – ma niesłychane znaczenie. Kryje też w sobie moment mocno prześwietlający: tak, głoszę Słowo innym. Ale: czego Ono dokonuje w moim osobistym życiu wiary? I w jakiej mierze rzeczywistość zmienia moje relacje w najbliższej mi wspólnotie wiary? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 IV)

3. niedziela wielkanocna: Dz 3, 13-15. 17-19;
Ps 4; 1 J 2, 1-5; Łk 24, 35-48;
Poniedziałek: Dz 6, 8-15; Ps 119; J 6, 22-29;
Wtorek: Dz 7, 51 – 8, 1a; Ps 31; J 6, 30-35;
Środa: Dz 8, 1b-8; Ps 66; J 6, 35-40;

Czwartek: Dz 8, 26-40; Ps 66; J 6, 44-51;
Piątek: Dz 9, 1-20; Ps 117; J 6, 52-59;
Sobota: Dz 9, 31-42; Ps 116; J 6, 55. 60-69;
4. niedziela wielkanocna: Dz 4, 8-12;
Ps 118; 1 J 3, 1-2; J 10, 11-18.

Wybrał PIOTR SIKORA



ADAM BODNAR przygotowuje projekty ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i Trybunale Konstytucyjnym. Na zdjęciu z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz, Izabelą Leszczyną i Pauliną Hennig-Kłoską przed posiedzeniem rządu w KPRM. Warszawa, 26 marca 2024 r.

NA DRUGIE STO DNI

Ekipę Prawa i Sprawiedliwości jest z czego rozliczać. Jednak pociąganie do odpowiedzialności polityków poprzedniej władzy nie może zastąpić faktycznej naprawy państwa i mocnego przyspieszenia reform.

STEFAN SĘKOWSKI

POD KONIEC MARCA DONALD TUSK umieścił na portalu X filmik, w którym tłumaczy, dlaczego w pierwszych stu dniach rządów nie zrealizował stu konkratów zapowiadanych w trakcie kampanii wyborczej przez Koalicję Obywatelską. Jako przyczyny wskazywał swoją niecierpliwość („myślałem, że sto dni to kawał czasu, niemal epoka”), co w ustach doświadczonego polityka zabrzmiało niezbyt poważnie, oraz to, że nowy rząd nie otrzymał „stu dni spokoju” na rozruch. Jednocześnie Tusk wymienił dotychczasowe osiągnięcia, zaczynając od tego, że „rozliczenia idą pełną parą, telewizja jest znowu wasza, prokuratura i sądy są wolne od partyjnych nakazów”. Później dodał, że „Polska na nowo staje się pierwszoplanowym graczem” w Unii Europejskiej, a na dokładkę dołożył odblokowanie funduszy unijnych, wypłacenie 800 plus (akurat ta decyzja zapadła jeszcze w czasach PiS) oraz podwyżki dla nauczycieli i całej budżetówki.

Ta kolejność jest symptomatyczna, określa *de facto* dotychczasowe priorytety nowego rządu, którymi w pierwszych czterech miesiącach były zdecydowanie porachunki z poprzednikami oraz kolejne etapy odbierania im zawłaszczonych instytucji.

Pokaz sprawczości

Duża część elektoratu koalicji rządzącej, która oczekiwała po ekipie Tuska rozliczenia poprzedników, rzeczywiście nie może czuć się zawiedziona. Niemal na starcie przełamano impozybilizm prawny, związany ze skazaniem i ułaskawieniem Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Okazało się, że mimo różnych stanowisk dwóch izb Sądu Najwyższego, wątpliwości części konstytucjonalistów oraz głośniejszych sprzeciwów polityków PiS i prezydenta Andrzeja Dudy – policja osadziła w więzieniu obu skazanych za nadużycia w aferze gruntowej (opuścili je po powtórnych ułaskawieniu przez prezydenta), a potem straż marszałkowska skutecznie uniemożliwiła im wejście do Sejmu. Niezależnie od oceny akcji na terenie Pałacu Prezydenckiego, nowa ekipa pokazała wyraźnie swoje zdecydowanie i sprawczość zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom rządu, bardzo zaskoczonym tak ostrym postępowaniem Tuska.

Tę konfuzję pogłębił minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz, gdy ekspresowo poradził sobie z mediami publicznymi, do których siłą wprowadził swoich ludzi jako szef resortu nadzorującego TVP i rozgłośnie radiowe. Napotkał jednak na opór nie tylko ze strony samych zainteresowanych i PiS, ale także niemałej części opinii publicznej, także tej sprzyjającej nowym władzom. Ruchy te były bowiem wątpliwe prawnie, zwłaszcza w kontekście stosowania prawa o spółkach handlowych do instytucji kształtowanych odrębnymi ustawami.

Rękę w stronę Sienkiewicza wyciągnął jednak... Andrzej Duda, wetując ustawę przekazującą mediom publicznym rekompensatę za manko w abonamencie, co dało ministrowi pretekst do postawienia spółek medialnych w stan likwidacji. Choć niektóre sądy odmówiły formalnego wpisywania do Krajowego Rejestru Sądowego likwidatorów, a sytuacja mediów jest nadal niepewna, to w praktyce pozbyto się z TVP i Polskiego Radia pisowskich propagandystów, co zaspokoiło potrzeby elektoratu i odebrało opozycji oręż, na który bardzo liczył Jarosław Kaczyński. Dziś jego głos dobiega swobodnie tylko z niszowych mediów.

Kipisz u posłów

Poszczególne ministerstwa wzięły się także za kontrolę podległych im funduszy celowych oraz programów, które za rządów Zjednoczonej Prawicy nie raz wykorzystywano do zasilania kies instytucji bliskich prawicowej władzy. Resort edukacji prowadzi od marca kontrole stowarzyszeń i fundacji, którym za kierownictwa Przemysława Czarnka przekazano pieniądze na zakup lub remonty nieruchomości w ramach programu „Rozwój potencjału infrastrukturalnego podmiotów wspierających system oświaty”, zwanego potocznie „willa plus”. Kilku beneficjentów – np. Polski Instytut Rozwoju Społecznego i Gospodarczego, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego oraz Muzeum Pałac Saski w Kutnie – już musiało zwrócić dotacje w wysokości od 500 tys. do 1,5 mln zł.

Spektakularne było także wejście ABW do domów czterech posłów Suwerennej Polski, w tym wszechmocnego do niedawna byłego ministra Zbigniewa Ziobry, oraz aresztowanie kilku osób

w związku z Funduszem Sprawiedliwości, który rozdawał pieniądze niezgodnie z przeznaczeniem i w dużej mierze budował pozycję partii Ziobry, zamiast pomagać ofiarom przestępstw. Akcja wzbudziła kontrowersje, gdyż początkowo były wątpliwości, czy immunitet obejmuje również domy parlamentarzystów. Potem pojawiły się głosy, że widok schorowanego Ziobry przed kamerami, który przerwał leczenie onkologiczne, niepotrzebnie robi ze sprawcy łamania prawa ofiarę rządowych szykan.

Czy komisje sobie radzą?

W rozliczenia włączył się Sejm, który powołał do życia trzy komisje śledcze analizujące największe afery rządów PiS – tzw. wybory kopertowe z 2020 r., aferę wizową oraz sprawę Pegasus. Już na starcie ich utworzenie było dyskusyjne. Z jednej strony zapewniły jawność postępowania, odsłaniając ważne kulisy nadużyć, co może mieć w przyszłości znaczenie prewencyjne. Dowiedzieliśmy się zatem, że były prezes Poczty Polskiej Przemysław Sypniewski zrezygnował z dalszego kierowania spółką, ponieważ nie zgadzał się, by firmę obarczać organizacją wyborów kopertowych, z kolei zeznania Edgara Kobosa podczas obrad komisji ds. afery wizowej ukazały, jak politycy PiS próbowali ją tuszować.

Z drugiej strony pamiętajmy, że dotychczasowe doświadczenia z komisjami każą wątpić, że przy rozliczaniu afer PiS uda się pociągnąć winnych do odpowiedzialności albo doprowadzić do zmian prawnych, które mogłyby utrudnić nadużycia w przyszłości. Poprzednie komisje, dublujące działalność służb i prokuratury, stawały się przede wszystkim areną międzypartyjnych walk i promocji polityków – ale też bardziej na początku niż ostatnio, by przypomnieć komisję ds. afery Rywina, która ponad dwie dekady temu wpłynęła na życie polityczne w Polsce.

Trzy komisje obecnego Sejmu miały przywrócić powagę idei parlamentarnych śledztw. Zwłaszcza w sytuacji, w której przed przejściem przez Adama Bodnara Prokuratury Krajowej można było się spodziewać, że związani z poprzednią władzą nadzorcy śledczych będą utrudniali prowadzenie dochodzeń. Sejmowa komisja mogła więc uchodzić za zamiennik niezależnej prokuratury. Wadliwy, bo

→ składający się z polityków, niemniej niezależny od Zjednoczonej Prawicy.

Dziś jednak prokuratura nie kieruje już człowiek Suwerennej Polski (na obywatelstwo uniezależnienie jej od rządu nadal czekamy) i trudno wytłumaczyć, dlaczego właściwie Sejm zajmuje się tymi sprawami, a nie ludzie do tego powołani. W przypadku afery wizowej prokuratura zaczęła działania już za rządów PiS, zaś w przypadku wyborów kopertowych kontrolę przeprowadziła NIK. Na dobrą sprawę najwięcej szczegółów moglibyśmy dowiedzieć się z działań komisji ds. Pegasusa, ale właśnie ta komisja zaliczyła spektakularną wpadkę na samym starcie, przesłuchując jako pierwszego Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS odmówił złożenia pełnego przyrzeczenia, ponieważ nie został zwolniony z zachowania klauzuli tajności przez premiera. Potem zaś odpowiadał półsłówkami i drwił z „panów członków” komisji. Przewodnicząca Magdalena Sroka z PSL nie radziła sobie z prowadzeniem obrad, a cała komisja nie zapewniła sobie dostępu do kluczowych dokumentów. W pamięci pozostaną nam głównie pojedynki skierowane w stronę kamer, nieprowadzące nas ku rozwiązaniu sprawy, a także seryjne wykluczanie posłów PiS z obrad.

Polowanie na Glapińskiego

Dotychczasowy blamaż komisji ds. Pegasusa pokazuje grzech pierworodny komisji śledczych. „Gazeta Wyborcza” cytuje członków komisji wywodzących się z partii rządzących, którzy twierdzą, iż Sroka została przewodniczącą w wyniku ustaleń koalicyjnych, ale niekoniecznie wedle klucza merytorycznego: stanowisko miało przyspaść ludowcom i kobietom. Także wybór Kaczyńskiego na pierwszego świadka był zaskakujący. Prezes PiS formalnie nie miał z Pegasusem nic wspólnego ani nie podejmował decyzji o jego zakupie (to była działka Ministerstwa Sprawiedliwości), ani o jego zastoso-

Niezależnie od oceny akcji policji w Pałacu Prezydenckim, nowa ekipa pokazała swoje zdecydowanie i sprawczość **zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom rządu.**

waniu (to zależało od służb specjalnych). Łatwo mu było się wykipić od pytań jako osobie, w której gestii te kwestie nie leżały – przez większość rządów PiS był przecież tylko szeregowym posłem z Żoliborza. Jeśli już, to można było go przesłuchać na szarym końcu, konfrontując z wcześniejszymi zeznaniami polityków prawicy, które mogłyby obciążyć lidera PiS. Postąpiono inaczej, górę nad merytoryką wzięła nośność tematu, głośność nazwiska i potrzeba igrzysk. Efekt był przeciwny do zamierzonego – po raz kolejny nie doceniono Jarosława Kaczyńskiego.

Jeśli sprawa Pegasusa nie nabierze przyspieszenia, może skończyć się rozczarowaniem. Podobnie jak postępowanie w Trybunale Stanu, przed którym ma stanąć Adam Glapiński – pod koniec marca posłowie rządzącej koalicji zebrali podpisy pod odpowiednim wnioskiem. Prezesowi Narodowego Banku Polskiego stawiają osiem zarzutów, jednak część z nich jest mocno dyskusyjna. Zgodnie z przepisami o TS można go skazać „za naruszenie Konstytucji lub ustawy, w związku z zajmowanym stanowiskiem lub w zakresie swojego urzędowania”.

Problem z Glapińskim polega na tym, że jego działania trudno jednoznacznie określić jako zakazane. Jakkolwiek sam krytykowałem go na łamach „Tygodnika” za upartyjnienie NBP i podejmowanie decyzji, które przynosiły korzyści przede wszystkim PiS, to zarazem trudno znaleźć na nie paragraf. Przykładowo zarzut złamania zakazu finansowania deficytu budżetowego przez NBP poprzez skupowanie papierów wartościowych państwa od banków komercyjnych krótko po ich emisji – w tej kwestii trzeba udowodnić zмовę z bankami, bo formalnie bank centralny ma prawo skupować takie papiery na rynku wtórnym. Trudno także czynić formalny zarzut prezesowi NBP z tego, że tuż przed wy-

borami parlamentarnymi Rada Polityki Pieniężnej obniżyła stopy procentowe, nawet jeśli miało to służyć interesowi politycznemu PiS. Takie decyzje Rada podejmuje kolegiąlnie, a prezes NBP jest „tylko” jej przewodniczącym. Kolejnym problemem jest fakt, że decydujący głos na temat składu sądu Glapińskiego w Trybunale Stanu będzie mieć jej przewodniczący. Zgodnie z ustawą jest to I prezes Sądu Najwyższego, neosejdzia Małgorzata Manowska, od lat przyjaciółka Andrzeja Dudy...

Puste szuflady

Festiwal rozliczeń nadal trwa. I nie powinno to nikogo dziwić, bo naprawdę jest co rozliczać. Zarazem można jednak odnieść wrażenie, iż tej operacji poświęcono zbyt wiele uwagi, tymczasem wyborcy coraz częściej nie chcą patrzeć w przeszłość, ale pytają o pomysły na przyszłość. Cezary Tomczyk z PO mówił już po wyborach w październiku 2023 r. na antenie RMF FM: „Mamy szuflady pełne ustaw”. Tymczasem do 4 kwietnia 2024 r. Sejm uchwalił ich raptem 19, w większości niezbyt spektakularnych. Nowe przepisy są niemal z automatu przyklepywane przez Senat, który do 3 kwietnia uchwalił tylko dwie poprawki do jednej z nich (nowelizacji prawa pocztowego). O tym, że senatorowie się nie przepracowują, świadczą chociażby przebieg 8. posiedzenia. Zaplanowane na 20 i 21 marca, trwało ostatecznie 1 godzinę i 53 minuty, gdyż wyczerpał się porządek obrad i nie było już o czym rozmawiać.

Fakt, przy uchwalaniu prawa należy spieszyć się powoli – tyle że rządzący nie śpieszą się nawet z wysyłaniem projektów do Sejmu. Tu zauważyć można w zasadzie tylko Adama Bodnara i jego zespół, przygotowujący z dużym zaangażowaniem projekty ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa czy Trybunale Konstytucyjnym. Z drugiej strony, co zaskakujące, nie ma projektu nowej ustawy medialnej – ma się on pojawić dopiero za pół roku. Z kolei projekt ustawy, która od polityczni spółki Skarbu Państwa, trafił co prawda do Sejmu w marcu, ale nie wyszedł spod pióra ministra aktywów państwowych Borysa Budki, lecz posłów Polski 2050, co stawia jego uchwalenie pod znakiem zapytania. Najbardziej palące kwestie rozważywane są wciąż ręcznie, w ministerstwach.



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Grzegorza Chlasty
w Polskim Radiu RDC. Audycje

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

Nadejście przyspieszenie?

Zamiast realizacji stu konkretów mamy więc rozliczenia i igrzyska, które same w sobie są oczywiście potrzebne. Ich cel dobrze ujął Julian Tuwim w swoich „Kwiatach polskich”, prosząc Boga: „Niech prawo zawsze prawo znaczy / A sprawiedliwość – sprawiedliwość”. Afery korupcyjne, wykorzystywanie zasobów państwa do celów partyjnych, inwigilację opozycji przez służby specjalne czy niszczenie instytucji ograniczających omnipotencję władzy – należy zbadać i wyciągnąć konsekwencje, także po to, żeby stworzyć mechanizmy, które utrudnią powtórzenie nadużyć w przyszłości. Winnym machlojek należy wymierzyć przykłądną karę, by nikt nie chciał w przyszłości pójść ich śladem. Jeśli do tego nie dojdzie, dotychczasowe patologie zatrują nam przyszłość.

Skupianie się wyłącznie na kwestiach personalnych nie pomoże w rozwiązywaniu polskich problemów. Rozliczenia powinny stać się raczej punktem wyjścia do naprawy państwa, dlatego owocem komisji śledczych powinny być przede wszystkim nowe procedury, ustawy i rozporządzenia. Podobnie jak kontrole w ministerstwach należy zakończyć nie tylko odzyskaniem wyłudzonych środków, ale także opracowaniem nowych regulacji, zarówno ustawowych, jak i tych, które dotyczą działań wewnątrz resortów. Są potrzebne, by wiązać ręce urzędnikom i utrudnić traktowanie państwowej kiesy jak partyjnego łupu. Być może jest na to jeszcze za wcześnie – rząd Donalda Tuska kieruje państwem raptem cztery miesiące – ale nie zaszkodziłoby nam zobaczyć pierwsze jaskółki zwiastujące legislacyjną wiosnę.

We wspomnianym na początku filmiku Tusk zapowiedział „przyspieszenie”. Kojarzy się to z obietnicą, jaką wyborcom złożył Lech Wałęsa w trakcie swojej kampanii w 1990 r. Chcąc odróżnić się od premiera Tadeusza Mazowieckiego, zapowiadał, że jako prezydent będzie chciał zdecydowanego odejścia od komunizmu. Młody Donald Tusk był zwolennikiem takiego działania. Znając proporcje (państwo rządzone przez PiS to nie był PRL), można mu przypomnieć, jakim rozczarowaniem poprzednie „przyspieszenie” się skończyło. Czas przywrócić temu słowu oryginalne znaczenie.

© STEFAN SĘKOWSKI



WOJCIECH OLKUSNIK / EAST NEWS

Posel Suwerennej Polski Mariusz Gosek pod domem byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, w którym trwa przeszukanie. Jeruzal, 26 marca 2024 r.

Wstrząsy na prawicy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Sprawa Funduszu Sprawiedliwości i choroba Zbigniewa Ziobry mogą przyspieszyć zmiany w Zjednoczonej Prawicy. Czy dojdzie do rozvodu PiS z Suwerenną Polską?

PODCZAS WYSTĄPIENIA W PABIANIACH 15 marca Patryk Jaki nie zostawił suchej nitki na Mateuszu Morawieckim. „Jest bardzo wiele pretensji do nas o to, że byliśmy za słabi wobec Unii Europejskiej, za słabi, jeżeli chodzi o rozbijanie układu III Rzeczypospolitej, jeżeli chodzi o TVN. To nie jest tak, że u nas nie ma ludzi odpowiedzialnych. Ktoś te wszystkie dziadostwa w Unii Europejskiej podpisywał. Jeżeli Morawiecki będzie po raz kolejny premierem, nie damy państwu gwarancji, że nie będzie tak samo” – mówił europoseł Suwerennej Polski.

Były rzecznik rządu Piotr Müller ripostował, że właśnie przez taki radykalizm Zjednoczona Prawica straciła władzę. „Szkoda, że takiej energii nie przełożyliście na działania w prokuraturze,

sądach (np. pełnej cyfryzacji – w 8 lat dało się zrobić!)” – napisał na portalu X obecny poseł PiS.

Ostra wymiana zdań skłoniła niektórych do wieszczona rozpadu Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza że do opinii publicznej docierały też przecieki z narady wąskiego kierownictwa PiS, podczas którego Mateusz Morawiecki miał domagać się wyrzucenia ziobrystów. Z kolei kojarzony z nim Michał Dworczyk porównał w programie radiowym związek Suwerennej Polski z PiS do układu pasożytniczego.

To ryzykowna gra wobec SP, partii posiadającej w Sejmie aż 18 szabel. Odejście tej grupy mocno osłabiłoby PiS, Ziobrze zaś pozwoliłoby stworzyć własny klub poselski: o sile Konfederacji i z prawem do wicemarszałka.



Chcieliby i boją się

⇒ Mimo tych niebezpieczeństw miesiąc temu pojawiały się w PiS liczne głosy, że to dobry moment na wyrzucenie ziobrystów. Uważano, że ich lider jest ciężko chory i szybko nie wróci do polityki, a partia bez Ziobry nie stanowi wartości dodanej. Zmuszenie SP do samodzielnego startu w wyborach do europarlamentu miało zweryfikować jej polityczną wartość i wystawić na próbę jej spójność.

Sytuację zmieniła akcja służb i prokuratury w związku ze śledztwem wokół Funduszu Sprawiedliwości. Przeszukania w domach kilku współpracowników Ziobry, a także jego samego znów scaliły Zjednoczoną Prawicę. Politycy PiS poczuli się zobowiązani do obrony kolegów z SP, być może spodziewając się w niedalekiej przyszłości identycznych kłopotów.

Znaczenie miał też nagły powrót Ziobry do Polski i jego pierwszy publiczny występ od rozpoczęcia leczenia, budzący w części społeczeństwa empatię z racji wyraźnych śladów operacji. W tej sytuacji działania rozwodowe ze strony PiS zostałyby odebrane jako dołączenie do „platformerskiej nagonki” na ciężko chorego, wychudzonego Ziobro.

W PiS można też usłyszeć, że od październikowych wyborów politykom Suwerennej Polski nic nie można zarzucić, więc uleganie pragnieniom Morawieckiego byłoby błędem. – Są wyjątkowo zgodni i potulni. Wszystkie swoje kroki uzgadniają. Wystąpienie Jakiego było jedyną konfliktową sytuacją, więc można ją uznać za wypadek przy pracy – mówi wpływowy polityk PiS.

Niektórzy sądzą, że słowa Jakiego były rodzajem ataku wyprzedzającego podejrzenia, że to PiS będzie chciał doprowadzić do rozwodu. Podobnymi obawami tłumaczą też zaskakujący powrót Ziobry. Wobec scenariusza zakładającego możliwość, że SP będzie zmuszona walczyć samodzielnie w wyborach europejskich, osłabiony chorobą Ziobro walczący z machiną państwa byłby mocnym atutem, nawet jeśli sam nie wystartuje.

Sami politycy SP zaprzeczają, by rozwód z PiS wchodził w tej chwili w rachubę. – To, że zbliża się koniec Zjednoczonej Prawicy, słyszę, od kiedy w niej jestem – kpi Jacek Ozdoba. – Nic bardziej nie jednoczy PiS z Suwerenną Polską niż

Ziobro bardzo dobrze dogadywał się z Beatą Szydło, ale gdy premierem został były bankier Mateusz Morawiecki, wszystko się popsuło.

**Konflikty podsycił
Jarosław Kaczyński.**

działania rządu Donalda Tuska i nielegalne decyzje prokuratury. Choćby ataki na rodzinę [Ziobry] i dom, na posłów PiS i SP – dodaje Janusz Kowalski.

Takie deklaracje nie dziwią, bo Suwerenna Polska, mimo sukcesu wyborczego jesienią (na tle wyniku całego PiS), nie ma aż tak wielkiego znaczenia politycznego, który gwarantowałby samodzielny sukces. Stąd też, wraz z pogłoskami o rozwodzie Suwerennej Polski z PiS, pojawiły się równoczesne spekulacje o możliwym sojuszu ziobrystów z Konfederacją. Jednak w Konfederacji to wykluczają – Przemysław Wipler mówi, że choć oba ugrupowania mają wiele wspólnych poglądów, to wolnościowej Konfederacji przeszkadza skłonność Ziobry i jego kolegów, by w każdym przedsiębiorcy widzieć z założenia przestępcę.

Suwerenna Polska jest więc raczej skazana na PiS, a w partii można usłyszeć wręcz pogląd, że w dłuższej perspektywie dojdzie do połączenia obu ugrupowań, tyle że poprzez wchłonięcie SP przez PiS, tak jak było z republikanami Adama Bielana. Wiele tu zależy od stanu zdrowia Zbigniewa Ziobry. Jego przedłużająca się absencja oraz powolna utrata wpływów może cały proces przyspieszyć, choć w PiS można też usłyszeć, że jeśli Ziobro zwalczy raka i wróci do zdrowia, może chcieć zdyskontować współczucie wobec siebie i wystartować w wyborach prezydenckich, niezależnie od kandydata PiS. Żeby temu zapobiec, PiS może chcieć szybciej, niż planował, wchłonąć SP. Pózbędzie się tym samym problemu, którym Ziobro i jego ludzie są dla formacji Kaczyńskiego od lat.

Związek po przejściach

Historia relacji PiS z Solidarną Polską (to nazwa ugrupowania Ziobry do maja

2023 r.) jest skomplikowana. SP powstała po drugich z rzędu przegranych przez PiS wyborach w 2011 r. Wówczas Zbigniew Ziobro wraz z Jackiem Kurskim i Tadeuszem Cymańskim – wszyscy trzej byli wtedy europosłami – zaczęli publicznie krytykować model przywództwa Jarosława Kaczyńskiego, a także zbyt silne hołdowanie „religii smoleńskiej”, co ich zdaniem przyczyniło się do porażki. Zostali za swoją krytykę wykluczeni z PiS. Jednak przed pierwszym posiedzeniem nowego Sejmu grupa wspierających ich posłów, wybranych z list PiS, utworzyła własny klub parlamentarny Solidarna Polska. Wkrótce taką samą nazwę przybrała partia, dodając do niej nazwisko Ziobry, co ukazywało dość autorytarny charakter ugrupowania.

PiS i SP działały niezależnie od siebie, chwilami mocno ze sobą konkurując, aż do wyborów do Parlamentu Europejskiego w maju 2014 r. Wówczas Solidarna Polska nie przekroczyła progu wyborczego, co skłoniło Ziobro do podjęcia rozmów o porozumieniu z PiS. Zostało ono zawarte w lipcu 2014 r. – a trzecim partnerem Zjednoczonej Prawicy była Polska Razem Jarosława Gowina (poprzednia nazwa partii Porozumienie). Zjednoczenie przyniosło wielki sukces wyborczy w 2015 r., a Ziobro został ministrem sprawiedliwości w nowym rządzie Beaty Szydło. Pozwoliło mu to wrócić do politycznej pierwszej ligi, zajmować się najważniejszym dla nowej władzy celem (oprowadzenie wymiaru sprawiedliwości), a przede wszystkim zbudować lojalne zaplecze w resorcie sprawiedliwości. To ta ekipa – m.in. Sebastian Kaleta, Patryk Jaki, Jacek Ozdoba, Jan Kanthak, Michał Woś, Michał Wójcik – stała się nowym trzonem Solidarnej Polski.

Ziobro bardzo dobrze dogadywał się z Beatą Szydło, więc pierwsze poważne napięcia pojawiły się, gdy fotel premiera objął Mateusz Morawiecki, były bankier. Między politykami od razu zaiskrzyło, a konflikt umiejętnie podsycił Jarosław Kaczyński. Poważną rafą była zwłaszcza nowelizacja ustawy o IPN, przygotowana przez wiceministra Jakiego i zakładająca kary za przypisywanie narodowi polskiemu udziału w Holokauście. Wywołało to ostry konflikt z Izraelem, który uderzył w świeżo powołany gabinet Morawieckiego. Po wielu miesiącach oporu



TOMASZ GZELL / PAP

Politycy Suwerennej Polski – Marcin Romanowski, Jacek Ozdoba i Patryk Jaki w Sejmie. Warszawa, 13 stycznia 2024 r.

strona polska musiała pod międzynarodową presją wycofać się z tych przepisów. Cenę zapłacił PiS, a nie SP.

Formacja Ziobry stała się wówczas jeszcze mocniejsza i bardziej zwarta, a po kolejnych wygranych w 2019 r. wyborach liczba konfliktów wzrosła. Do najważniejszego kryzysu doszło we wrześniu 2020 r., gdy Solidarna Polska zagłosowała przeciwko tzw. piątce dla zwierząt. Prominentni politycy PiS, tacy jak Marek Suski czy Ryszard Terlecki, zaczęli publicznie wypowiadać się o konieczności pozbycia się ziobrystów i z rządu, i ze Zjednoczonej Prawicy. Po kilku dniach sprawa rozeszła się po kościach, a efektem kryzysu było wejście Kaczyńskiego do rządu z teką wicepremiera ds. bezpieczeństwa. Miał on pełnić rolę „rozmienki” między Ziobrą a Morawieckim.

Nie do końca się to udało; ziobryści ostro krytykowali zgodę Morawieckiego na zasadę „pieniądze za praworządność” na szczycie UE w grudniu 2020 r. Nie popierali też kolejnych ustaw, których przyjęcie wymagało uzyskanie przez Polskę środków z KPO, sceptycznie wypowiadając się o samej idei tego programu. Uważali, że polski rząd ulegnie szantażowi Komisji Europejskiej, jeśli w zamian za KPO wycofa choćby część zmian w sądownictwie, np. dokona likwidacji Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego.

Zmuszeni do tolerancji

Gdy Morawiecki zawarł z KE kompromis, zakładający przekazanie spraw dys-

cyplinarnych sędziów do NSA, ziobryści po prostu nie poparli zmiany ustawy. Jednak kierownictwo PiS musiało już wtedy tolerować tę nielojalność. Bez Solidarnej, a potem Suwerennej Polski rząd PiS nie miałby większości. Jedyną „ofiara” po stronie SP stał się Janusz Kowalski, najostrożniejszy krytyk Morawieckiego, który został na początku 2021 r. odwołany ze stanowiska wiceministra aktywów państwowych. Po jakimś czasie wrócił do rządu, tym razem na stanowisko wiceministra rolnictwa, co było widocznym dowodem wpływu i skutecznej asertywności Ziobry.

Po utracie władzy przez PiS rządowe spoiwo obu ugrupowań nagle zniknęło. Stąd gdy pojawiły się pierwsze sygnały o śledztwie w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, w partii Kaczyńskiego byli tacy, którzy chcieli potraktować SP jak kozła ofiarnego. Dziś już nikt tak nie myśli – sprawa uderza przecież w całą prawicę – a pogląd, by kryzys wokół Funduszu wykorzystać do politycznego zneutralizowania ekipy Ziobry, pojawia się w PiS coraz rzadziej.

– W sytuacji ataku ze strony Tuska na całą Zjednoczoną Prawicę nie powinniśmy się dzielić, nawet jeśli różnice między nami są bardzo istotne, co mogliśmy obserwować przez ostatnich 8 lat. Mimo to nasze zjednoczenie byłoby dla mnie zaskoczeniem – mówi polityk PiS, kojarzony z frakcją Morawieckiego. Inni zwracają uwagę, że ludzie byłego premiera nie są najsilniejszą grupą w PiS,

a w partii są dziś wpływowi ludzie o poglądach zbliżonych do ziobrystów, jak choćby Przemysław Czarnek. Niedawno wypowiadał się przeciwko rozwodowi z SP i oświadczył, że w razie wyrzucenia jej działaczy ze Zjednoczonej Prawicy odejdzie z nimi. Co ciekawe, to właśnie Czarnek organizuje „kongres sił patriotycznych”, który według najnowszych planów ma się odbyć przed wyborami do europarlamentu. Wydarzenie może stać się okazją do podkreślenia dalszego zbliżenia PiS z SP.

Inne zdanie na temat sojuszu Kaczyńskiego z Suwerenną Polską ma Tadeusz Cymański, który w 2023 r. porzucił Ziobrę i wrócił do PiS, jednak nie ze względu na różnice ideowe z SP, tylko zbyt ostry sposób działania formacji i zarządzania Ziobry. – W szybkie zjednoczenie nie wierzę, choć w polityce niczego nie można wykluczyć – zastrzegł.

Na bezpieczną obecnie sytuację Suwerennej Polski w Zjednoczonej Prawicy wskazują gwarancje, jakie dwoje europosłów SP – Patryk Jaki i Beata Kempa – otrzymało w sprawie kandydowania w najbliższych eurowyborach. Oboje dostali gwarancje „jedynek”, co jest znamienne wobec bardzo ostrej walki o miejsca na listach PiS. Polegli w niej tacy giganci, jak europosłowie Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski – obaj profesorowie zażądali dla siebie pierwszych miejsc, a gdy ich nie otrzymali, postanowili nie kandydować: w PiS jest bowiem przekonanie, że tylko pierwsze miejsce na listach będzie gwarantować mandat. Prezes Kaczyński był nawet skłonny dać Krasnodębskiemu „jedynekę”, ale nie spodobał mu się „szantaż” profesora.

...

Trudno przewidzieć dalsze relacje PiS i SP. Prominentni politycy obecnej koalicji rządzącej uważają, że wiele będzie zależeć od tego, jakiej wagi nieprawidłowości zostaną jeszcze wykryte w Funduszu Sprawiedliwości i czy okaże się, że ludzie Ziobry mieli jakiś związek z podsłuchiwaniem własnych kolegów Pegasusem. Jeżeli te informacje się potwierdzą, powstrzymanie rozpadu Zjednoczonej Prawicy może się nie udać. Dlatego w grze o losy prawicy ważnym graczem w najbliższych miesiącach będzie również Donald Tusk.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



Maria Dąbrowska-Majewska prowadzi „Spotkanie wokół Leśmiana” w świetlicy Aresztu Śledczego w Białogłębie, 2017 r.

Poniżej: Katarzyna Kubisiowska po zajęciach literackich w Zakładzie Karnym w Nowej Hucie w Krakowie, z kartką wielkanocną, którą wykonały dla niej osadzone. Marzec 2024 r.



Dobrze wyjść na czytaniu

SYLWIA GÓRA

Wybór książki to często pierwsza decyzja, którą osadzeni mogą samodzielnie podjąć w więzieniu.

Najpierw czekam pod bramą, za nią pokazuję dowód. Zostawiam telefon, zdejmuję zegarek i odkładam do szafki elektroniczne urządzenie. W zasadzie najlepiej zostawić całą torebkę i opróżnić kieszenie. Nie można niczego wnieść, chyba że ma się na to zgodę. Kwestie bezpieczeństwa. Po blisko dwóch latach jestem już przyzwyczajona i robię to automatycznie. Przechodzę przez kolejne zakratowane bramy aż do pomieszczenia, w którym organizowane są spotkania – zarówno kulturalne, jak i religijne – i czekam na grupę. Nigdy nie czułam strachu ani żadnego niepokoju, choć znajomi, którzy wiedzą, że prowadzę klub czytelniczy z osadzonymi, często mnie o to pytają. Nie jestem wyjątkiem. Coraz więcej miast decyduje się na projekty kulturalne dla osób wykluczonych z dostępu do kultury, do których należą też więźniarki i więźniowie.

Szkoła czytania

Krakowskie Biuro Festiwalowe zainicjowało projekt „Szkoła czytania”, w którym biorą udział osadzone i osadzeni z Oddziału Zewnętrzny Aresztu Śledczego w Nowej Hucie. Spotkania literackie prowadzi Katarzyna Kubisiowska, dziennikarka „Tygodnika”, z kobietami oraz Łukasz Orbitowski, pisarz – z mężczyznami. Spotkania trwają około półtorej godziny i są wpisane w rytm dobowy osadzonych. W więzieniu wszystko wydarza się zgodnie z planem. Czas też płynie tu inaczej. Inaczej tym, którzy mają krótkie wyroki i odbywają je w zakładach półtowartych, a inaczej tym, którzy otrzymali kary kilkunasto- czy kilkudziesięcioletnie lub dożywocia. Projekty literackie czy szerzej kulturalne są realizowane we wszystkich typach zakładów karnych.

Katarzyna Kubisiowska podkreśla jedną z różnic: – Sporo kobiet mówi, że muszą odsiedzieć wyrok, bo złamały prawo, rzadziej słyszy się coś takiego od mężczyzn. Tak wynika z naszych rozmów z Łukaszem Orbitowskim.

To ważna uwaga w kontekście spotkań literackich, bo od tego może także zależeć wybór lektur, które będą omawiane. Oczywiście jest miejsce na książki lżejsze, typowo rozrywkowe, bo oderwanie się od często trudnej i nieprzyjemnej przestrzeni więziennej jest większości osadzonych po prostu potrzebne. Jednak literatura może się też stać pretekstem do

dyskusji o czymś więcej. Katarzyna Kubisiowska prowadzi zajęcia od blisko trzech lat i choć uczestniczki się zmieniały, to wciąż jest duże zainteresowanie spotkaniami.

Na początku bywa, że chodzi o zdobycie punktów, które pozwalają na lepszą ocenę. Bo więźniarki i więźniowie są oceniani nie rzadziej niż co sześć miesięcy. Są to tzw. okresowe oceny postępów resocjalizacyjnych więźniów. Dodatkowe zajęcia też mają znaczenie dla oceny. Jednak po dłuższym czasie między ludźmi buduje się więź, a początkowa „umowa” może zamienić się we wzajemną sympatię i zaufanie.

– Żeby porozmawiać w tym czasie o literaturze, musimy wspólnie stworzyć do tego przestrzeń, w której wszystkie będziemy się czuły swobodnie. Często zaczynam od tego, że mówię osadzonemu, co się wydarzyło w życiu kulturalnym czy politycznym na świecie, ale pytam je też o to, co wydarzyło się w ich życiu. Choć może brzmieć to nieco absurdalnie, to ma głęboki sens, bo w codzienności zakładu karnego naprawdę dużo się dzieje – mówi Kubisiowska.

Spotkania odbywają się raz w miesiącu, choć od kwietnia zwiększy się ich częstotliwość na dwa razy w miesiącu – bo taką potrzebę zgłosiły osadzone, ale czuje ją także prowadząca. – Właśnie w areszcie te spotkania są wyjątkowe – mówi Kubisiowska.

Co wpływa na ich wyjątkowość? Bez wątplenia jest to uważność w czytaniu, na którą bardzo często nie mamy czasu na co dzień. Do tego duża otwartość na różnorodną tematykę, bez umieszczania w szufladkach i kategoryzowania. Osadzone czytają z Kubisiowską bardzo różne lektury – od wierszy Emily Dickinson, Zuzanny Ginczanki, Anny Świrskiej, przez eseje Jolanty Brach-Czajny, po powieści, choćby najnowszą książkę Wioletty Grzegorzewskiej „Wilcza rzeka” czy „Bezmatek” Miry Marciniów. Grupa Kubisiowskiej przez półtora roku była w zasadzie stała, ale ostatnio to się zmieniło i jest większa rotacja, co jest zresztą oczywiste. Jedne kobiety przychodzą, inne opuszczają zakład karny. Wszystkie są jednak na zajęcia przygotowane, znają teksty, chcą o nich dyskutować, wymieniać się uwagami. Czasem zdarzają się osadzone, które przez całe spotkanie milczą – potrzebują więcej

czasu, aby się otworzyć, ale na spotkania regularnie przychodzą.

– Pamiętam moje pierwsze spotkanie w areszcie i pierwszy wspólnie czytany tekst: wiersz Tadeusza Różewicza „Opowiadanie o starych kobietach”. Drugim ważnym momentem było wspólne czytanie eseju o ścierze do podłogi ze „Szczelin istnienia” Jolanty Brach-Czajny. Nie skończyło się na samym omawianiu, bo uczestniczki spotkania napisały później swoje własne teksty o ścierkach, które przyniosły ze sobą do więzienia, o ich znaczeniu w ich codzienności – wspomina Kubisiowska.

Otwarte zakończenie

Podobne doświadczenia ma Katarzyna Bielas – starszy bibliotekarz w Dziale Biblioterapeutycznym Biblioteki Śląskiej, która w ramach umowy z Aresztem Śledczym w Katowicach prowadzi Dyskusyjny Klub Książki „Za kratami” z kobietami przebywającymi w areszcie. Klub istnieje od 2012 r., z krótką przerwą w czasie pandemii Covid-19.

– Osadzone mają ograniczone kontakty. Chcemy, by były sprawne komunikacyjnie i nie miały językowych deficytów, kiedy wrócą do życia na wolności. Interesuje nas też pokazanie im w książkach kobiet silnych, niezależnych, kreatywnych, sprawczych, które odważnie budują swoje życie. Podkreślamy, że w każdym momencie naszego życia jest czas na nowy początek, nową pracę, nowe relacje – mówi Bielas.

Żelazna zasada klubu – nikt nikogo nie ocenia. Katarzyna Bielas czytała z osadzonymi np. „Smutki wszelkiej maści” Mariany Leky, „Zapach czekolady” Ewalda Arenza, „Kobiety w blasku słońca” Frances Mayes. Najczęściej są to książki, które mają pomóc w oderwaniu się od codzienności za kratami.

– Jeśli romans, to stylowy, elegancki, z bohaterami niejednoznacznymi, skomplikowanymi, dokonującymi etycznych wyborów, z pogłębiłą psychologią. Dobrze widziane są książki z jakąś tajemnicą w tle, o otwartym zakończeniu, dające duże możliwości interpretacyjne, skłaniające do refleksji – mówi Bielas.

W Areszcie Śledczym w Katowicach odbywał się też projekt, który powstał w Dziale Biblioterapeutycznym Biblioteki Śląskiej, sfinansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Naro-

dowego „Książka – podróż bez walizki”, dotyczący literatury podróżniczej, w ramach którego odbyły się spotkania z podróżniczkami i podróżnikami, np. Beatą Pawlikowską i Piotrem Milewskim.

Powrót na prostą

Jedną z osób najdłużej pracujących z więźniarkami i więźniami jest Maria Dąbrowska-Majewska. Nie sposób wymienić wszystkich projektów, które myślała i zrealizowała w warszawskich – ale nie tylko – więzieniach. Najpierw było dwuletnie przygotowanie. Maria chciała wiedzieć, co to znaczy odbywać karę pozbawienia wolności w polskim systemie więziennictwa. Poznała doskonale kodeks karny wykonawczy, napisała też projekt „Powrót na prostą”, który był skierowany do mężczyzn skazanych na ponad piętnaście lat, którzy wyjdą na wolność w ciągu najbliższych trzech lat. Od razu zdecydowała, że będzie pracować z osobami skazanymi na długie wyroki lub dożywotnie pozbawienie wolności.

– 84 procent osób z krótkimi wyrokami wraca do więzień, a to traumatyzuje wszystkich. Nie tylko ich, ale też służbę więzienną. A poza tym, żeby komuś zaufać, potrzeba czasu, i to nieważne, czy jesteś w zakładzie karnym, czy nie. Ja myślałam, że większość tych osób zaufała mi po dwóch, trzech latach, i to dlatego, że czują, iż naprawdę widzę w każdym z nich człowieka. Bo to jest w zasadzie podstawa w tej pracy – mówi Dąbrowska-Majewska.

Fundacja Zmiana, którą założyła, realizuje m.in. programy: „Biblioteki Sąsiedzkie” i „Książki w pudle”. Pierwsza „Biblioteka Sąsiedzka” powstała na warszawskiej Pradze i już tam zaczęto zbierać książki dla więźniów w ramach kolejnego projektu. „Książki w pudle” mają duży sens przede wszystkim dlatego, że aż 82 procent polskich więźniarek i więźniów czyta. To statystyki z roku 2013, ale – jak podkreśla Maria Dąbrowska-Majewska – nie wydaje się, żeby ta liczba miała spaść przez dekadę.

Biblioteki w zakładach karnych są zwykle dość słabo wyposażone. Bywa, że trzeba wymienić czy odnowić niemalże cały księgozbiór.

– Myślę, że rozdajemy rocznie około osiemdziesięciu do stu tysięcy książek do bibliotek, w większości tych więziennych. Do zakładu karnego w Strzelcach Opolskich fundacja oddała ➔

→ sześćdziesiąt tysięcy książek, co trwało blisko dwa lata i wymagało dużo pracy. Podobna biblioteka, przez nas zrobiona, jest także w Kielcach. Dopiero kiedy mamy bibliotekę, możemy myśleć o czytelnictwie, a książki, które dostajemy od ludzi, trzeba jeszcze przejrzeć i wybrać to, co sensowne. Fundacja istnieje już dwanaście lat i jesteśmy znani w Warszawie i nie tylko, dlatego tych książek dostajemy bardzo dużo, nie musimy robić żadnych specjalnych zbiorów – mówi Dąbrowska-Majewska.

To nieco ułatwia pracę, jednak selekcja książek zajmuje dużo czasu – przez ostatni miesiąc Maria zajmowała się w zasadzie tylko tym. Ale kiedy biblioteka jest dobrze zaopatrzona, można działać dalej. Założycielka Fundacji Zmiana ma także doświadczenie prowadzenia klubów czytelniczych w więzieniach. Osadzeni czytają przede wszystkim książki historyczne, i to nie tylko te dotyczące Polski, ale także Europy i świata. Chętnie wybierana jest też historia polityczna. Nie jest przypadkiem – jak podkreśla Dąbrowska-Majewska – że w zakładach karnych zwykle wygrywają demokraci. Jednak książki do wspólnego czytania wybiera razem z więźniami.

– Kiedy trwał projekt, chodziłam od celi do celi i pytałam, co chcieliby przeczytać na najbliższym spotkaniu. To była pierwsza sytuacja w ich więziennej rzeczywistości, kiedy mogli zdecydować. Dlatego nie ma narzuconych lektur. Czasami opowiadałam o swoich ulubionych książkach i oni też chcą je przeczytać, ale głównie to ja się naczytałam dużo rzeczy, po które pewnie nigdy bym nie sięgnęła – mówi Dąbrowska-Majewska. – Mnóstwo książek historycznych z mężczyznami, ale też harlequinów z kobietami. Ja w ogóle mam wrażenie, że osoby z długimi wyrokami najchętniej czytają – przynajmniej na początku – książki o innych ludziach czy postaciach historycznych, które zrobiły jeszcze gorsze rzeczy. I kiedy oni mi proponują takie tematy, to mówię, że chciałabym czytać o miłości. Dzięki temu udało nam się razem prze-

Dwadzieścia trzy godziny
w zamknięciu,
godzina spaceru – dlatego
książka jest rozkoszą.

Poza tym książki pozwalają wyjść na człowieka.

czytać na przykład „Miłość w czasach zaryzy” Gabriela Garcíi Márqueza.

Literatura to pretekst

Wolontariuszka Fundacji Zmiana, która zrobiła z więźniami mural w sali widzeń inspirowany literaturą, dodaje także, jak ważne są lektury nieco nieoczywiste: – Czytamy, czy raczej oglądamy też książki o modzie i kuchni, bo z nich można się naprawdę dużo nauczyć. Kiedy czytamy o jakiejś potrawie czy czymś wyglądzie w powieści, to skąd ludzie, którzy siedzą od wielu lat, mogą wiedzieć, o czym tak naprawdę mówimy? Trzeba im to pokazać. Uczymy ich także wielu zachowań, choćby przy stole, zasad *sa-voir-vivre*, właśnie z książek. Literatura to często pretekst.

Nieoczywiste spotkanie z literaturą mieli także osadzeni w Zakładzie Karnym w Cieszyńcu, kiedy realizowali projekty literacko-teatralne. Jak wspomina dr Ilona Fajfer-Kruczek – pedagog, psycholog, socjoterapeutka, adiunkt na Wydziale Sztuki i Nauk o Edukacji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, współpracującym z cieszyńskim zakładem karnym – więźniowie mieli za zadanie napisać ekobajkę, a tekst, który wygrał konkurs, doczekał się realizacji w postaci słuchowiska dla najmłodszych. Była też jednoaktówka autorstwa przebywającego wówczas w zakładzie karnym Marka Niesłańczyka zatytułowana „Osadzony Tomasz Nowy”. Do współpracy w jej wystawieniu zaproszono profesjonalnego reżysera Bogdana Słupczyńskiego i aktorkę Małgorzatę Pikus, a także studentów z kierunków animacja społeczno-kulturalna i pedagogika.

– Twórcza aktywność sprawia, że osadzeni zdobywają nowe kompetencje, wpływa na zmianę w relacjach między współosadzonymi, personelem i osobami „z wolności”. Wobec zadań, jakie stawia forma teatralna, każdy jest równy, tak samo odpowiedzialny. Gdybym miała odnieść się do tego typu projektów, to są one „kometami”, niepowtarzalnymi, zjawiskowymi, przemijającymi zdarzeniami – mówi dr Ilona Fajfer-Kruczek. – Za takim projektem powinna iść też praca psychologów, wychowawców i często tak jest. Wierzę, że można budować człowieka na nowo, dając mu w ręce tekst, który może być dla niego terapią.

Przenikanie się światów

Osadzone i osadzeni, wychodząc z zakładów karnych czy mając przed sobą jeszcze wiele lat odsiadki, potrafią szczerze docenić te, często wieloletnie, spotkania. Jeden z byłych osadzonych, który uczestniczył w zajęciach z Marią Dąbrowską-Majewską, przekonuje: – Siedziałem dwadzieścia pięć lat i przez cały czas czytałem książki, niektóre po dwa razy, żeby zrozumieć ich sens. Książki pozwalały mi się odizolować. Dały mi dużo, nawet takie z obrazkami, bo człowiek przecież nie wie, że istnieją jakieś miejsca. Dwadzieścia trzy godziny w zamknięciu, godzina spaceru, dlatego książka jest rozkoszą. Poza tym książki pozwalają wyjść na człowieka.

– Ratować i chronić życie można w różny sposób. W zakładzie karnym właśnie takie spotkania i rozmowy są tlenem dla wielu z nas. Można pokusić się o stwierdzenie, że to moralny obowiązek dzielić się i ratować tam, gdzie to tak bardzo potrzebne – mówi Monika, uczestniczka klubu Katarzyny Kubisiowskiej.

I dodaje: – Dziękuję za ten tlen, który pozwolił mi przetrwać i ochronić się. Szczególne miejsce w moim sercu mają teraz książki, ale też ludzie, którzy potrafią rozmawiać o najistotniejszych życiowych rozterkach wszędzie i z każdym. To możliwe jedynie dlatego, że jest szczerze i do bólu prawdziwe.

Tych przykładów jest o wiele więcej, tak jak instytucji, które widzą potrzebę włączania osadzonych do społeczeństwa. Bo tak naprawdę, jak mówi Maria Dąbrowska-Majewska, „to jest opowieść o tym, co ci robi dostęp do kultury”.

© SYLWIA GÓRA

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień
w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



„TP” 11/2024

Moje „zakłócenia” są bure i puchate

Dziękuję za arcyuroczy felieton Olgi Drendy „Zakłócenie” („W życie naszego domu niespodziewanie wkradło się Zakłócenie. Zakłócenie jest niewielkie, bardzo puchate, przyjazne, choć hałaśliwe, i wymagające na razie pomocy weterynaryjnej”). Jego treść przywołała niedawne wydarzenia i następstwa toczących się nieustannych

„zakłóceń”. Otóż przed rokiem pożegnaliśmy naszą ukochaną kotkę Klementynę. Jej droga do „tęczowego mostu” była pasmem cierpień i niepewnych dni. Dopadła ją cukrzyca i następne miesiące były konsekwencjami tej choroby. Nocne czuwanie, nasłuchiwanie, nieustanne obawy o kolejne wyniki badań, włączony telefon podczas porannego biegania: świat wywrócony na opak stał się permanentnym stanem. Po odejściu Klementyny do naszego domu wkroczyło uspokojenie. Ale po krótkim czasie zauważyliśmy, że doświadczamy czegoś, co bym nazwał fałszywą wolnością. Mieliliśmy spokojne dni, nie musieliśmy wracać szybko do domu, nocne nasłuchiwanie szybko odchodziło

w przeszłość. Uwolniliśmy się od troskliwości, nie musieliśmy ciągle myśleć „o kimś”. W takim stanie bytowaliśmy do jesieni. I wtedy poczuliśmy konieczność zorganizowania „zakłócenia” w naszym domowym zaciszu. Stały się nim dwie bure, puchate kuleczki, które przywróciły wolność troszczenia się o przybyłych podopiecznych. Powróciły szaleństwa wspólnego bycia razem i radości z zabawy, mimo powracającego zmęczenia, niewyspania. Taka jest jednak cena nowej wolności. Myślenie także nabrało innych kontekstów. Niedawno odkryłem, dlaczego Pan Bóg dał człowiekowi dwie ręce: by mógł głaskać jednocześnie dwa koty. Dziękuję za wzruszający, mrużący tekst. JACEK

Ankieta na temat „Tygodnika”

Mamy do Państwa wielką prośbę! Chodzi o Wasze pięć, dziesięć minut. Tyle czasu z pewnością wystarczy, by wypełnić ankietę na temat naszego tygodnika.

Zależy nam na Państwa opinii, dlatego prosimy o podzielenie się nią w ankiecie pod adresem powszech.net/ankieta

Wypełnij ankietę i wpłyn na kierunek rozwoju „Tygodnika Powszechnego”.



Dziękujemy!
REDAKCJA

REKLAMA

www.czerwonenoski.pl

KRS: 0000428469

CZERWONE NOSKI
W śmiechu nadzieja

**Przekaz
1,5 %**

Wspieramy emocjonalnie dzieci
w trakcie leczenia w szpitalu.



TOMASZ

Stawiszyński: Święta wojna



WIDMO KRĄŻY NAD „KOLEKTYWNYM ZACHODEM”, widmo satanizmu.

Pod koniec marca bieżącego roku odbyła się w Moskwie dwudniowa „Światowa Rada Narodu Rosyjskiego”, której owocem jest dokument firmowany przez samego patriarchę Cyryla. *Expressis verbis* mówi się tam o „świętej wojnie” prowadzonej przez Rosję ze zdegenerowanym Zachodem, którego oficjalną ideologią jest właśnie satanizm. Stawką tej wojny ma być naturalnie zwycięstwo sił światła nad siłami ciemności, ale – w skali lokalnej – również „wyzwolenie narodu rosyjskiego w południowo-zachodniej Rosji” (tak się tam określa Ukrainę).

Jest rzeczą więcej niż jasną, że rosyjscy duchowni, organizatorzy „światowej rady”, całkiem sami sobie tego nie wymyślili. A w każdym razie, że dokument musiał zostać zatwierdzony (niewykluczone, że i zlecony) bezpośrednio na najwyższych szczeblach władzy. Jego treść to zatem – można odpowiedzialnie założyć – oficjalna linia propagandowa.

Oczywiście o „desatanizacji” Ukrainy przebąkiwano już od dawna, w tym sensie nie jest to jakaś niebywała nowość. Wprawdzie zaraz po rozpoczęciu „specjalnej operacji wojskowej” podkreślano, że jej pierwszorzędym celem jest „denazyfikacja”, jednak mniej więcej po sześciu miesiącach „nazistów” tu i ówdzie zastąpiono „satanistami” (pisałem o tym zresztą w felietonie „O niebezpieczeństwach fantazjowania”). Chwilę później zarówno szatan, jak i naziści zeszli na dalszy plan, pierwsze skrzypce grać bowiem zaczął „świat wielobiegunowy” oraz wiodące doń globalne przebiegi, w tym także, a może nawet głównie, owa „specjalna operacja”. Tymczasem od stycznia 2024 r. pojęcia i fantazje ponownie zaczęły się tawować i przemieniać.

W wywiadzie, który z prezydentem Rosji przeprowadził kilka tygodni temu niejaki Kisielew, Putin otwarcie już mówił o wojnie, a nie „specjalnej operacji” (skądinąd chwilę wcześniej słowo „wojna” pojawiło się również w wypowiedzi Dmitrija Pieskowa). Mówił też o tym, że dla „kolektywnego Zachodu” kwestia Ukrainy jest nieledwie polityczno-biznesową rozgrywką, natomiast dla Rosji to sprawa życia i śmierci. Ni mniej, ni więcej. Deklarował przy tym, że jego kraj jest znakomicie przygotowany na ewentualność konfliktu jądrowego, którego on, osobiście, bardzo by nie chciał

– bo w horyzoncie mamy tutaj zagładę ludzkości – niemniej, jeśli zostanie zmuszony, nie uchyli się przed taką opcją. I nigdy, przenigdy nie odstąpi od swoich celów. Będzie je realizować metodycznie, krok po kroku, nic go nie powstrzyma (w domyśle: szatan też nie). Nawet Kisielew wydawał się co najmniej zaniepokojony...

Ale to nie wszystko. Ostatnio znowu zaktywizował się Aleksander Dugin, mroczny filozof gloryfikujący przemoc i od lat wytwarzający geopolityczno-ezoteryczne uzasadnienia dla rosyjskiego imperializmu. W długiej, opublikowanej niedawno na YouTube rozmowie Dugin przeprowadził precyzyjny wywód mający wykazać, że liberalizm – ściśle zachodni wynalazek – jest satanizmem w postaci czystej. W jego centrum bowiem znajduje się jednostka ludzka wraz z jej indywidualnym „ja”. Nic innego, poza tym „ja” – wywodził – w liberalizmie się nie liczy, a to znaczy, że mamy tutaj w prostej linii satanizm. Wszak powszechnie wiadomo, że egoizm i egocentryzm są ośrodkowymi kategoriami szatańskiej filozofii. Co Było Do Okazania.

Czy to przypadek, że niedługo po „ekspertyzie” Dugina Cerkiew wydała wspomniany na początku dokument? Niewykluczone. Ale i tak nie sposób nie dostrzec, że się te narracyjne wariacje układają w pewien logiczny ciąg. Że jedno ogniwo prowadzi do kolejnego, a oficjalne orzeczenie „świętej wojny z satanistycznym Zachodem” stanowi swoiste domknięcie tego procesu. Wbrew sceptycznym analitykom widzącym w tej retoryce wyłącznie retorykę, sądzę, że odzwierciedla ona coś, czego nie wolno pod żadnym pozorem przeoczyć. A mianowicie – skalę rosyjskiego fanatyzmu oraz siłę determinacji, których jeszcze do niedawna niemal nikt na Zachodzie nie rozumiał, nie dostrzegał, a nawet się nie domyślał.

Co z tego wynika? Tyle, moim zdaniem, że Rosja będzie realizować swoje cele dopóty, dopóki nie zostanie zatrzymana. Że nie ma mowy o żadnych realnych negocjacjach, bo jak można negocjować, kiedy po drugiej stronie stołu zasiada sam książę ciemności? Że mamy tu do czynienia z czymś więcej niż tylko kalkulacją ekonomiczną albo politycznie rozumianych interesów, bo w grze jest eschatologia. I że faktycznie Putin nie cofnie się już przed niczym. Mając oficjalnie taką biblijno-apokaliptyczną legitymację – z finalną bitwą między dobrem a złem w pakiecie – będzie w stanie uzasadnić każdy swój radykalny krok, łącznie z tym najradykalniejszym, którego się wszyscy dzisiaj obawiamy.

Dobra wiadomość jest taka, że przyjmując powyższy model mityczno-symboliczny, Putin zarazem odsłania przed nami – być może nie do końca świadomie, a być może właśnie licząc, że to zlekceważymy – zasięg własnych planów i zamiarów. Definiuje punkt dojścia, najdalej wysunięty cel, do którego zdąża. Czy uda mu się tam dotrzeć? To oczywiście zależy także od tego, czy będziemy sobie zdawać sprawę, o co tu tak naprawdę chodzi.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/

Fundacja
Tygodnika
Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na powszech.net/wspieram

faniMani.pl

**Świat da się
naprawić.
Zróbmy to
wspólnie. Naprawdę**

1,5%

[MISJA „TYGODNIKA”, FRAGMENTY]

Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat, zachęcając
do patrzenia na rzeczywistość
z różnych perspektyw.

Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną.

Ważny jest dla nas wzajemny szacunek
i otwartość – nie zamykamy się na
żadną ze stron dialogu.

Wierzymy, że świat da się naprawić.



Inne sposoby na wsparcie:
powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
Fundacji Tygodnika Powszechnego,
która dba o suwerenność i rozwój
„Tygodnika Powszechnego”.

» KRS 0000 125 605

WIOSNA NAD SEKWANĄ

W zsekularyzowanej Francji w ostatnich dwóch latach gwałtownie wzrosła liczba osób proszących o katolicki chrzest. Nie byłoby tego, gdyby nie wiele lat działań oraz rozliczenie pedofilii.

KS. ANDRZEJ MUSZALA



W STYCZNIU TEGO ROKU WE FRANCUSKICH mediach katolickich pojawiły się informacje o „nieoczekiwanym wzroście” liczby katechumenów. Tygodnik „*Famille Chrétienne*” pisał o dużej liczbie młodych ludzi (w wieku od 15 do 25 lat) pragnących przyjąć chrzest, dodając, że tendencja ta znacznie przyspieszyła we wrześniu ubiegłego roku. „Od rozpoczęcia roku szkolnego nie było tygodnia, w którym nie otrzymałabym jednej, dwóch, a nawet trzech próśb od młodych ludzi w tym wieku” – stwierdziła Bérengère Melot z wydziału katechetycznego diecezji Le Mans.

Pod koniec marca Konferencja Episkopatu Francji podała, że liczba chrztów osób dorosłych w roku 2024 wzrosła o 31 proc. w porównaniu z rokiem ubie-

głym. Podczas tegorocznej Wigilii Paschalnej ochrzczono we Francji ponad 7 tys. dorosłych i ponad 5 tys. młodych (w wieku 11-17 lat). Dla porównania rok temu liczby te wynosiły odpowiednio 5,5 tys. oraz niecałe 3 tys. W statystykach nie uwzględniono dzieci w wieku 7-10 lat. To najwyższe wskaźniki od ponad 20 lat, kiedy Konferencja Episkopatu Francji zaczęła podawać statystyki. We wprowadzeniu do dokumentu KEF bp Olivier Leborgne, przewodniczący Komisji Katechetycznej, stwierdził: „Nie mał we wszystkich diecezjach francuskich, czasem w skali wręcz oszałamiającej, ludzie przychodzą do Kościoła, by prosić o chrzest, bierzmowanie i Eucharystię. Przychodzą różnymi drogami. (...) W świecie poszukującym sensu Chrystus i Jego Ewangelia przemawiają do ludzi, którzy nigdy o Nim nie słyszeli”.

Z anonimowych ankiet wynika, że większość tegorocznych ochrzczonych pochodzi z rodzin o tradycji chrześcijańskiej. Jednakże tendencja ta maleje z roku na rok, za to znacząco wzrasta liczba osób deklarujących się jako pochodzące z rodzin bezwyznaniowych; stanowią one obecnie jedną czwartą ochrzczonych. Liczba konwertytów z innych religii pozostaje dość stabilna – około 5 proc. to muzułmanie (w Marsylii – 10 proc.), 5 proc. – osoby pochodzące z rodzin mieszanych, a 1 proc. – wcześniejsi wyznawcy religii wschodnich.

Warto też wspomnieć, że podobnie proporcjonalny wzrost obserwuje się w sąsiedniej Belgii (362 chrzty dorosłych w tym roku).

Boom na chrzty

Skąd ten *boom*? Z pytaniem tym zwróciłem się do moich francuskich przyjaciół – świeckich i księży. O Cédric, proboszcz jednej z parafii w diecezji Nantes, napisał mi: „W zasadzie mamy świadomość, że nie zrobiliśmy nic szczególnego, aby więcej osób zgłaszało się i prosiło o sakramenty wtajemniczenia chrześcijańskiego. Jestem przekonany, że Duch Święty działa w sercach tych ludzi, którzy mają bardzo różne historie życia. Wierzę, że jest to znak, który daje nam Bóg, aby-

śmy my, »starzy chrześcijanie«, dokonali osobistego i kościelnego nawrócenia”. Nieco dalej stwierdził, że w jakiejś mierze jest to efekt covidu: „Myślę, że okres pandemii skłonił wielu ludzi do poszukiwania głębszego sensu. Nie możemy zadowolić się życiem, które sprowadza się tylko do miłego spędzenia czasu wolnego oraz konsumpcji. Ludzie zaczęli szukać sensu życia”.

W parafii o. Cédrica pewna kobieta zwierzyła się: „W czasie covidu mój mąż oglądał mszę świętą w telewizji. Ja zajmowałam się domem i początkowo, niejako mimochodem, słuchałam treści, które do mnie docierały; niezbyt mnie to wszystko interesowało. Jednak z czasem zaczęłam wciągać się coraz bardziej. Słuchałam z narastającym zainteresowaniem, a potem sama zaczęłam uczestniczyć w mszach online. Po urodzeniu dziecka poszliśmy do kościoła, a ja poprosiłam o chrzest dla mnie i dla naszych dwóch córek”.

Niewątpliwie jest to jedna z dróg, po których Ewangelia dotarła do współczesnych Francuzów. Choć w innych krajach także przeprowadzano transmisje mszy przez internet, a mimo to nie odnotowano takiego wielkiego wzrostu zainteresowania kwestiami wiary. Wydaje się, że przyczyną fenomenu znad Sekwany trzeba szukać dalej, głębiej.

Powrót do źródeł

Każdy, kto latem miał okazję przebywać w Prowansji, zapewne zachwycił się śpiewem cykad, których muzyka nie ustaje nawet nocą. Owady te zdecydowaną większość życia – bo aż 17 lat – spędzają pod ziemią w stadium larwy. Gdy są już gotowe, wydostają się na powierzchnię, zrzucają zewnętrzną powłokę i rozwijają skrzydła; to właśnie poruszając nimi, „śpiewają” swoje pieśni godowe, łączą się w pary i składają jaja, by po kilku, czasem kilkunastu tygodniach umrzeć. Można powiedzieć, że coś podobnego miało miejsce w Kościele francuskim.

Przeszedł swój okres *ancien régime* (rządów absolutnych charakteryzujących się ścisłym związkiem dworu z Kościołem katolickim), obalonego przez rewolucję francuską, XIX-wiecznego jansenizmu (kładącego nacisk na zepsucie natury ludzkiej; do jego przezwyciężenia wydatnie, choć nieświadomie, przyczyniła się św. Teresa z Lisieux), by wejść w wiek XX, →

Modlitewny protest wiernych przeciwko zamknięciu świątyń w czasie pandemii. Plac przed katedrą św. Andrzeja w Bordeaux, listopad 2020 r.

HUGO AMEZ / SIPA / EAST NEWS

→ kiedy to doszło do rozdziału Kościoła i państwa (ustawa z 1905 r.). Lecz zamiast obrazić się na „laicki świat”, wielu francuskich katolików podjęło refleksję nad *modus vivendi* w zupełnie nowej sytuacji społeczno-politycznej.

Pierwszym krokiem była decyzja o powrocie do źródeł – Biblii oraz Ojców Kościoła. Jeszcze pod koniec XIX wieku o. Marie-Joseph Lagrange założył w Jerozolimie Szkołę Biblijną (*École biblique*) – istniejący do dziś ośrodek badań archeologicznych i biblijnych (najbardziej znaną jego publikacją jest wydawana w różnych językach „Biblia Jerozolimska”). Nieco później – w latach 40. XX wieku – teologowie jezuitów Victor Fontoynt, Jean Daniélou, Henri de Lubac i Claude Mondésert zapoczątkowali w Lyonie serię wydawniczą „*Sources chrétiennes*” (Źródła chrześcijańskie), w ramach której zaczęto tłumaczyć i publikować najważniejsze teksty starożytnych teologów. W ten sposób położono podwaliny, na których z czasem wykiełkowały nowe, długofalowe inicjatywy; ich owoce Kościół francuski zbiera dziś. Trzy z nich można określić jako działania dalsze, jedno – jako działanie bliższe.

Religia w powieściach

Z działań dalszych trzeba najpierw podkreślić rozwój literatury filozoficznej i teologicznej. W XX wieku działali we Francji wysokiej klasy myśliciele katoliccy; niektórzy z nich stali się ojcami Soboru Watykańskiego II. Wspomnijmy grupę filozofów personalistów (Emmanuel Mounier, Gabriel Marcel, Maurice Blondel, Jacques Maritain i inni), która miała wielki wpływ na myśl chrześcijańską w całym Kościele; w Polsce czerpali z niej m.in. Jerzy Turowicz, Karol Wojtyła i Józef Tischner.

Wśród wybitnych teologów należy wymienić Teilharda de Chardin, Réginalda Garrigou-Lagrange’a, Charles’a Journeta, Yves’a Congara, Andrégo Loufa. Jednakże dla szerokich rzesz katolików świeckich prawdziwym źródłem wiary stały się pisma wielu pisarzy i publicystów katolickich. Nie sposób ich tu wszystkich przytoczyć, wspomnijmy chociażby Paula Claudela, Charles’a Péguy, Léona Bloy, Georges’a Bernanos, Andrégo Frossarda, Henriego Caffarela. Przystępnym językiem pisali oni o wierze, czy to w for-

Okres pandemii skłonił wielu Francuzów do poszukiwania głębszego sensu życia.

Niektórzy z nich poprosili o chrzest w Kościele katolickim.

mie powieści, czy popularnej literatury teologicznej. Pisarze ci znaleźli w czasach obecnych kontynuatorów: Érica-Emmanuela Schmitta, Fabrice’a Hadjadja, Martina Steffensa, Jeana-Guilhema Xerriego, Chantal Delsol i wielu innych.

We Francji nie istnieje nabożeństwo „gorzkich żalów”, nie znaczy to jednak, że w niedzielę Wielkiego Postu nic się nie dzieje. Co roku wygłaszane są z katedry Notre-Dame (obecnie, w czasie jej renowacji, z kościoła Saint-Germain l’Auxerrois) i transmitowane na cały kraj 45-minutowe katechezy; tematem tegorocznym była „Literatura i duchowość”.

Przykład prababci

Dwa lata temu córka moich znajomych – siedmioletnia wówczas Laure – zgłosiła chęć przyjęcia chrztu. Kompletnie zaskoczeni rodzice (sami nie są ochrzczeni) próbowali jej to wybić z głowy. Nie mogąc niczego wskórać, mieli nadzieję, że obowiązujące powszechnie dwuletnie przygotowanie skutecznie odwiedzie ją od tego zamiaru. Zawiedli się. W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu Laure zaprosiła ich do kościoła św. Wincentego à Paulo na rozpoczęcie ostatniego etapu przygotowawczego. Otrzymała wówczas fioletową szarfę, w której każdej następnej niedzieli chodziła na skrutynia (obrzędy przygotowujące do przyjęcia sakramentu). Została ochrzczona w Wigilię Paschalną razem z szesnastoma innymi katechumenami. W uroczystości uczestniczyła cała rodzina.

Wszyscy zadawali sobie pytanie, skąd w dziewczynce zrodził się taki szalony pomysł. I pewnie trzeba by cofnąć się o kilka lat. Laure pamiętała jeszcze swoją prababcie, niezwykłą kobietę zaangażowaną we wspólnotę parafialną, która regularnie odwiedzała chorych, roznosiła im Komunię świętą, codziennie czytała Ewangelię

i modliła się w ciszy. Należała do jednej z wielu wspólnot, które powstały w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Konwertyci z islamu

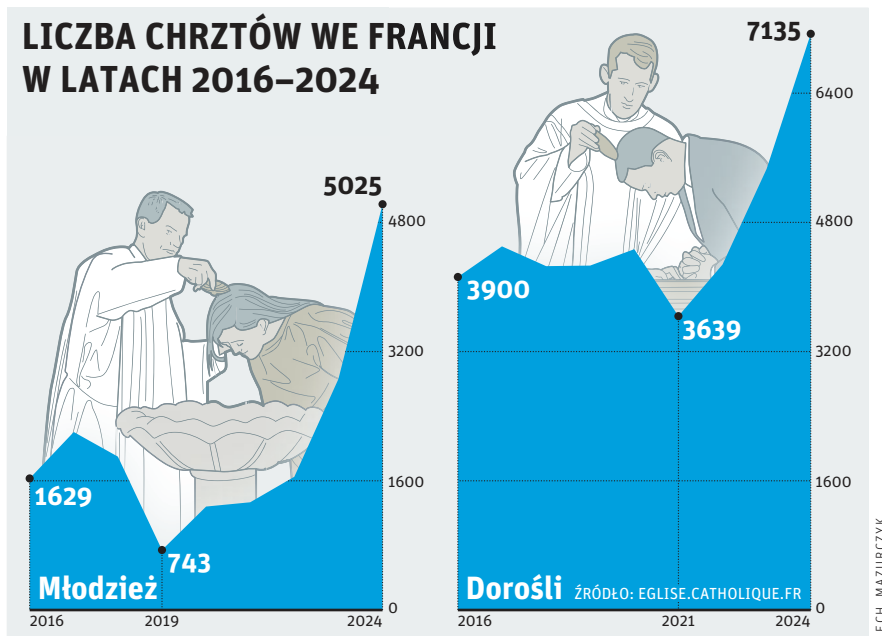
I tu odsłania się drugie pole dalszego działania francuskiego Kościoła: nowe wspólnoty. Ich załazki datują się jeszcze na lata przedsoborowe, choć prawdziwy rozkwit przypadł na czasy późniejsze. To prawda, że dochodziło w nich nieraz do różnych wypaczeń w formie przemocy psychologicznej, fizycznej czy seksualnej – nikt dziś temu nie zaprzecza. Niestety, to ciemna karta Kościoła we Francji (zresztą nie tylko tego kraju). Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że tysiące chrześcijan uformowały i ciągle formują swój duchowy kręgosłup w różnych wspólnotach.

Na pierwsze miejsce wysuwa się Emmanuel skupiający dziesiątki tysięcy francuskich katolików. Choć wspólnota ta ma charakter charyzmatyczny, to jednak wielki nacisk kładzie na permanentną formację oraz codzienną, godziną adorację w ciszy. To warunek *sine qua non* – kto go nie spełnia, nie może być członkiem. Wspólnota co roku organizuje sesje teologiczne w Paray-le-Monial, w których uczestniczą tysiące młodych oraz małżeństw.

To właśnie w nowych wspólnotach swoje miejsce znalazło około 600 tegorocznych katechumenów konwertytów z islamu. W ich przypadku przygotowanie do chrztu, siłą rzeczy, miało charakter bardzo dyskretny; ujawnienie tego faktu wiązałoby się z wielkimi problemami, wręcz wykluczeniem z grona rodziny. Dlatego w ramach wspólnot lub parafii utworzono dla nich specjalne grupy wsparcia, działające w ukryciu, gdzie muzułmańscy katechumeni znaleźli swoją duchową rodzinę. Zostali ochrzczeni nie w Wigilię Paschalną, lecz w wąskim gronie osób wtajemniczonych podczas osobnej liturgii.

Obok nowych wspólnot istotną rolę odgrywają klasztory monastyczne – benedyktyni, cystersi, trapiści, karmelici, kartuzi obu gałęzi – męskiej i żeńskiej. We Francji istnieje około 400 miejsc przy klasztorach, do których każdy (także niewierzący) może przyjechać w dowolnym czasie na indywidualny pobyt i uczestniczyć w rytmie życia oraz w liturgii danej wspólnoty (nie chodzi tu o organizo-

LICZBA CHRZTÓW WE FRANCJI W LATACH 2016–2024



wane rekolekcje czy weekendy skupienia). Wielu katolików właśnie tam znalazło swoją duchową przystań, przez co osobom niezaznajomionym z tematem wydaje się czasem, że kościoły parafialne są wyludnione.

Fenomen arcybiskupa

Trzecim działaniem dalszym, które przyczyniło się do obecnego renesansu wiary, był fenomen arcybiskupa Paryża kard. Jeana-Marie Lustigera, konwertyty z judaizmu, potomka polskich Żydów z Będzina – osoby opatrzonej polskością, obdarzonej śmiałym spojrzeniem w przyszłość. Metropolita paryskim został w 1981 r. i zaczął od reformy seminarium. Zdecydował się na radykalny krok: zamknął je na dwa lata, aby zamienić w miejsce formacji kapłanów na miarę współczesności. Położył nacisk na duchowość, teologię i umiejętność współpracy ze świeckimi. Wprowadził rok propedeutyczny (dziś coraz bardziej powszechny), którego głównym celem jest rozeznanie powołania – czy jest ono autentyczne i osadzone na dojrzałej osobowości. W tym czasie kandydaci do seminarium studiują Pismo Święte, formują się do codziennej, godzinnej modlitwy w ciszy; normy tej bezwzględnie przestrzegają później jako klerycy i księża.

Lustiger stworzył także Szkołę Katedralną (École Cathédrale, przemianowaną później w Collège des Bernardins). Zajęcia mają tu charakter zindywiduali-

zowany i opierają się w dużej mierze na tutoringu. Klerycy nie mieszkają w jednym budynku, lecz w małych, 7-, 10-osobowych wspólnotach. Sami przygotowują śniadania i kolacje, piorą, utrzymują porządek w domu. Są przypisani do różnych parafii, do których jeżdżą w soboty i niedziele, by przygotowywać się do pracy duszpasterskiej. Ich zadaniem jest początkowo tylko słuchać i przyglądać się. Po jakimś czasie świeccy wprowadzają ich do posługi w grupach.

Co roku diecezja święci około 10 nowych księży, a model seminarium paryskiego jest już realizowany w niektórych innych diecezjach. W samym seminarium wspólnoty St. Martin formuje się obecnie około 120 kleryków. W grudniu ubiegłego roku klerycy z całej Francji (nie licząc kandydatów z roku propedeutycznego oraz diakonów) przez kilka dni przebywali w Paryżu na wspólnych dniach skupienia, goszczeni w rodzinach. Przyjechało ich sześciuset.

Innymi inicjatywami kard. Lustigera było Radio Notre Dame oraz telewizja katolicka KTO (dostępna także online). W telewizji tej, nadawanej 24 godziny na dobę, transmitowane są debaty religijne, teologiczne, a nawet filozoficzne, msze święte oraz liturgia godzin z kościoła Wspólnot Jeruzolimskich. Podawane są informacje o różnych wydarzeniach w Kościele powszechnym i w diecezjach, transmitowane są koncerty oraz wieczory uwielbienia.

Oczyszczenie

Wszystkie te działania dalsze najprawdopodobniej przynoszą dziś owoce. Lecz w ostatnich latach doszło do nich działanie bliższe, o kluczowym znaczeniu. W rozmowie z pewną kobietą usłyszałem zmienną opinię: – Kościół katolicki we Francji stał się wiarygodny (*crédible*).

– Dlaczego? – zapytałem.

– Stał na wysokości zadania. Potrafił poddać się ocenie, powołując niezależną komisję do zbadania nadużyć seksualnych, i dokonał samooczcyszczenia.

Opublikowane w 2021 r. wyniki pracy wspomnianej niezależnej komisji okazały się porażające – w latach 1950–2020 księża skrzywdzili 216 tys. nieletnich. Po ogłoszeniu raportu biskupi i przełożeni zakonni zaczęli rozmawiać z ofiarami, powołano też niezależną komisję do wypłacania odszkodowań.

W znanym mi przypadku ksiądz, który dopuścił się gwałtu na nastolatce, został skazany przez sąd cywilny i odbywa obecnie karę sześciu lat więzienia.

Pojawiają się też poradniki, które podnoszą świadomość wśród świeckich. Przeor Wielkiej Kartuzji o. Dysmas de Lassus opublikował kilka lat temu książkę „Zagrożenia i wypaczenia życia zakonnego” (przetłumaczoną także na język polski), w której opisał nie tylko nadużycia seksualne w zakonach i wspólnotach, lecz także różne formy psychologicznej i duchowej manipulacji oraz nadużycia władzy, szczególnie w kwestii posłuszeństwa.

„Unikamy postępowania ukrywającego sprawy hańbiące, nie uciekamy się do żadnych podstępów ani nie fałszujemy słowa Bożego, lecz okazywaniem prawdy przedstawiamy siebie samych w obliczu Boga osądowi sumienia każdego człowieka” (2 Kor 4, 2) – pisał św. Paweł. Wygląda na to, że Kościół francuski potraktował te słowa na serio i przynosi to efekty.

Zresztą nie ma innej drogi. Czy Kościół w Polsce będzie stać na naśladowanie dobrych francuskich wzorców?

Najstarszy tegoroczny katechumen francuski miał 92 lata. Kilka lat temu zmarła mu żona, którą bardzo kochał. „Czekam na ciebie tam, w górze” – powiedział do niego niedługo przed śmiercią. Dwa lata temu zgłosił się do katechumenatu. W Wielkanoc przyjął chrzest.

© KS. ANDRZEJ MUSZALA

Pani Dusza

ANGELIKA MARIA MAŁEK

Wyprzedziła polską teologię feministyczną o dwie dekady. Oto nieznana historia krakowskiej rzeźbiarki z pracowni Xawerego Dunikowskiego.

Z PRACAMI DANUTY DZIELIŃSKIEJ MOŻNA SIĘ ZETKNAĆ, spacerując po Krakowie. Była rozpoznawalną rzeźbiarką, inicjatorką Krakowskiego Triennale Rzeźby Religijnej (w ostatniej edycji imprezy w 2008 r. wzięło udział ponad stu artystów), popiersia Kochanowskiego i Lelwela jej autorstwa zdobią krakowski park Jordana.

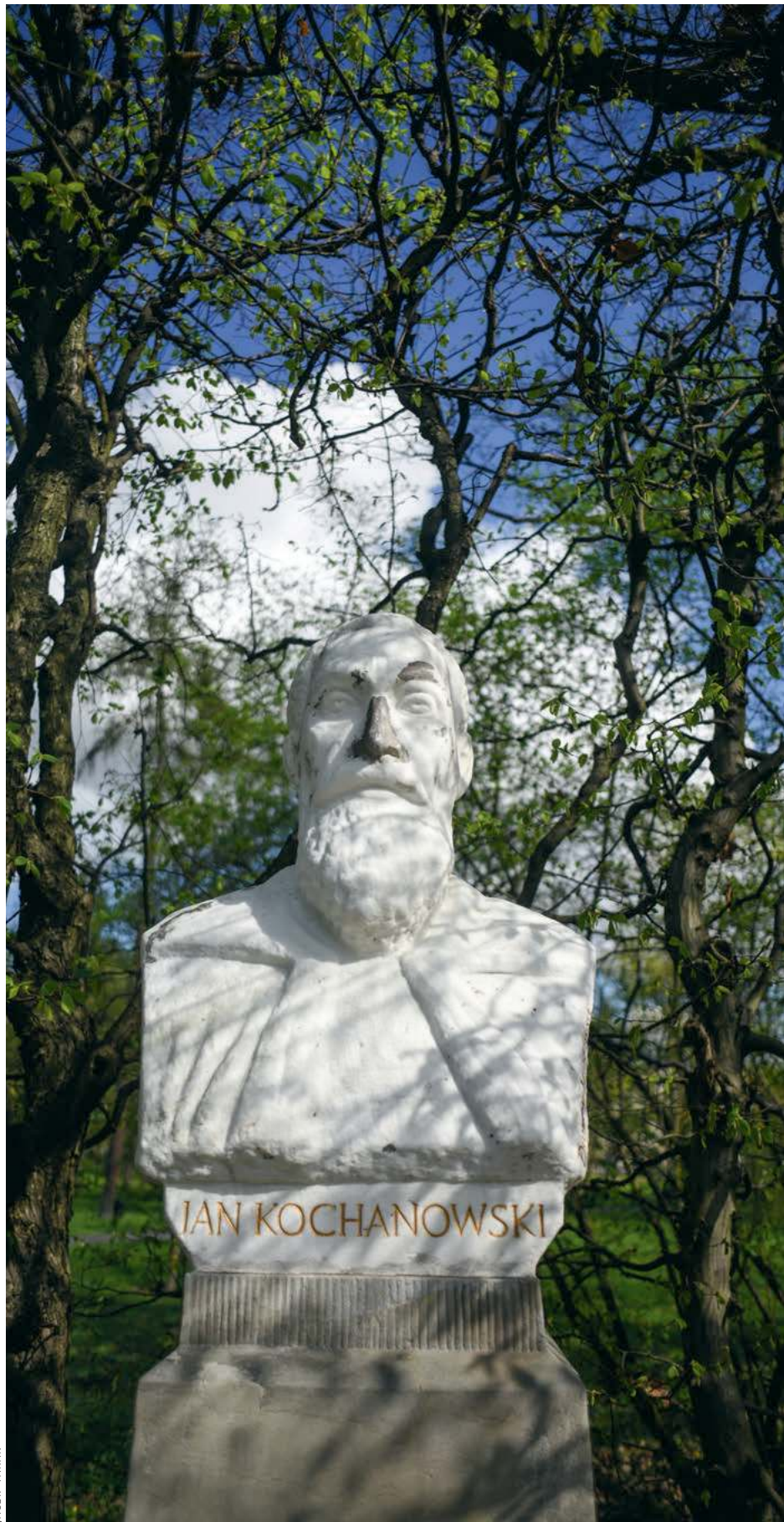
Niewielu jednak wie, że zostawiła po sobie ponad sześćdziesiąt teczek i zeszytów zawierających manuskrypty i maszynopisy dotyczące spraw teologii, przemian posoborowych, kwestii społecznych i kondycji Kościoła w Polsce. Czeły one na lekturę aż do dziś.

Wizje

Dziewięć urodziła się niedługo po I wojnie światowej w rodzinie rzeźbiarki i malarza. Wychowywała się w Jaryczowie Starym, uczyła u lwowskich sióstr nazaretanek. II wojnę spędziła w Jasle i Goricach, z których w 1945 r. przyjechała do Krakowa, by, podobnie jak wcześniej Zofia – jej matka i pierwsza studentka krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – związać się z Wydziałem Rzeźby.

Uczennica Stanisława Popławskiego i Xawerego Dunikowskiego dyplom uzyskała dopiero po 15 latach – prawdopodobnie z powodu trudnej sytuacji materialnej i konieczności opieki nad ciężko chorą już wtedy Zofią. W tym czasie ukończyła studia z historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Jako dziecko z religijnego domu od 16. roku życia regularnie czytała Pismo Święte, ale przeżycia mistyczne towarzyszyły jej od zawsze. Swoje wizje notowała począwszy od lat 70. niemal do końca życia. Z dużą pewnością siebie przyzna-



JACEK TARAN

Pomnik Jana Kochanowskiego dłuta Danuty Dzielińskiej w parku Jordana w Krakowie, kwiecień 2024 r.

wała, że „od czasu do czasu czyta współczesne książki religijne – chociaż jako mistyczka zdaje sobie sprawę, że nie są wolne od błędów”.

Melodia świata

W świadectwach jej kilkudziesięcioletnich objawień dominującą postacią jest Duch Święty. Dzielińska nazywała Go – czy też Ją – „Panią Duszą”, „Świątą Duszą Boga”, „Mądrością Bożą”, ale także „Panią Świata”, „Wszechmatką Świata”, jego „Melodią” albo „Życiem” tudzież „Chwalebnym Owocowaniem”. Zdarzało jej się używać tytułów przypisywanych tradycyjnie Maryi, jak „Matka Kościoła” czy „Królowa Nieba i Ziemi”.

Duch w wizjach Dzielińskiej objawiał się na różne sposoby, np. targany uczuciami: „Zobaczyłam za pomocą wizji, jak długie, rozwiane włosy Dobrej Pani gwałtownie falowały pod wpływem gwałtownego wicheru Jej oburzenia, zaś pierś unosiła się i opadała z powodu wzrastającego gniewu”.

Rzeźbiarka widziała „Panią” także jako podtrzymującą krakowski kościół ojców reformatów zranioną Gołębicę, a nawet rozpoznawała ją w swoim własnym ciele podczas wizji niebiańskiej albo w snach. „Łaskę spojrzenia w oczy Pani” otrzymała dopiero po wielu latach. Kiedy przeprowadza się w 1988 r. do domu zbudowanego przez ojca na krakowskich Dębnikach – widzenia wydają się jej wyraźniejsze i łatwiejsze do przelewania na papier.

Wszechmatka

Przekonanie o „macierzyństwie Ducha” Danuta tłumaczy analogią do ziemskiej rodziny: Bóg Ojciec i Dusza-Matka poczynają Syna Bożego. Werset z Ewangelii Jana 14, 26 przekłada: „a Poczyszycielka, Dusza Święta, którą Ojciec pośle w moim imieniu, Ona was wszystkiego nauczy, i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem”.

Dzielińska nawiązuje także do żeńskiego rodzaju hebrajskiego rzeczownika *ruah* i greckiego *pneuma*, biblijnych określeń ducha/Ducha. Przełożenie ich na łacinę za pomocą męskiego *spiritus*, zamiast *anima* jest jej zdaniem błędne i doprowadziło do dramatycznych konsekwencji

w postaci ubóstwienia w Kościele Maryi jako „oblubienicy Pana”.

Danuta podpira swoją myśl także ewangelicznym opisem gołębicy zstępującej na Jezusa podczas chrztu w Jordanie (por. Mt 3, 16) – jak zauważa, zewnętrznie różnice między samcem i samicą tego gatunku są niedostrzegalne (dodajmy: dla laika), więc wybór właśnie gołębicy przez autora natchnionego musiał być znaczący.

Przekonuje ją to, że „nie tylko kobiety ziemi, jak o tym poucza Księga Genesis, ale także wszelkie inne stworzenia o cechach żeńskich posiadają jakieś podobieństwo do Osoby Boga-Wszechmatki”. Nawet apokaliptyczna niewiasta obleczona w słońce (por. Ap 12, 1) zinterpretowana jest przez nią jako Duch Święty.

Gospodyni rozwoju

Dzielińska polemizowała z oficjalną interpretacją uznanych przez Kościół objawień we francuskim La Salette (1846) i Lourdes (1858) oraz w rwandyjskim Kibeho (1981-1989), które w jej ocenie były w rzeczywistości objawieniami Ducha Świętego pod postacią kobiety, zaś utożsamienie tej postaci z Maryją to błędna interpretacja narzucona wizjonerom i wiernym przez Watykan.

W Lourdes objawiająca się Postać nazywała samą siebie „Niepokalanym Poczęciem” – takim imieniem, jako posiadającym absolutną wartość, określić można jedynie Boga. W La Salette „Pani” – ukazując się w wieńcu z róż i gwiazd – miała pokazać, że „jest Gospodynią rozwoju życia nie tylko na małej planecie Ziemi, ale równocześnie i w całym rozległym, dynamicznie powiększającym się kosmosie. Z matczyną czułością pielęgnuje zarówno urodę odległych o miliardy lat świetlnych wielobarwnych galaktyk, jak i wdzięk tak bliskich nam róż”.

Ponadto w objawieniach tych mowa o podarowaniu ludziom Dekalogu, konkretnie przykazania święcenia dnia świętego („dałam wam sześć dni do pracy”), które nie mogło dotyczyć Maryi.

Rola kobiet w Kościele

Krakowska rzeźbiarka przez ponad dekadę uczęszczała na katechezy dla dorosłych przy kościele św. Marka. W latach 80. była także członkinią wspólnoty skupionej wokół ks. Wacława Świerżawskiego, późniejszego biskupa sandomier-

skiego. Odwiedziła Karola Wojtyłę w czasie, gdy był on metropolitą krakowskim, zostawiając mu kilka kartek z zapiskami objawień. Jak twierdzi w notatkach, przy kolejnym spotkaniu Wojtyła wskazał jej pewne błędy, zarazem zachęcając do dalszego pisania.

Esencję nauczania o Duchu Świętym i roli kobiet w Kościele Dzielińska przedstawiła w liście skierowanym pięć lat później już do Jana Pawła II. Nieznane są dalsze losy tej korespondencji. Choć dość spektakularna, nie była to jedyna próba zainteresowania duchowieństwa swoją misją – zachowały się także szkice i odpisy innych listów do papieża oraz (z odpowiedziami lub bez) do mniej i bardziej znanych krakowskich księży.

Teolożka feministyczna

Rzeźbiarka zauważa w swoich pismach pojawienie się odnowy charyzmatycznej w Polsce. Konsekwentnie przemilcza jednak powstanie teologii feministycznej. Wygląda na to, że przewijające się w jej pismach żeńskie objawienie Ducha Świętego pojawiło się w oderwaniu od głównego nurtu teologii feministycznej, w którym kładzie się nacisk na dostrzeżenie żeńskiego pierwiastka w Bogu na równi z męskim oraz traktowanie kobiet i mężczyzn jako równoprawnych *imago Dei* w antropologicznym i praktycznym wymiarze funkcjonowania Kościoła.

Choć jej zapiski powstawały przez kilka dekad, a ich początki w latach 70. pokrywają się w czasie z pojawieniem się na Zachodzie wspomnianej optyki (a raczej: optyk), nie ma dowodów na to, że Dzielińska miała szansę zapoznania się z dorobkiem teologii feministycznej – klasyczne prace autorek pochodzących ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej do tej pory nie zostały wydane w Polsce. Skądinąd pierwsze przejawy polskiej teologii feministycznej z lat 90. są wyraźnie młodsze od najwcześniejszych pism krakowskiej rzeźbiarki oscylujących wokół tej tematyki.

Dzielińska argumentowała brak zdziwienia żeńskim objawieniem Ducha cytatami z Księgi Rodzaju (por. Rdz 1, 27-28), dotyczącym stworzenia mężczyzny i kobiety na obraz Boży. Duch bywa określany jako zapomniany dokładnie tak, jak zapomniane i przemilczane były kobiety w Kościele. Rzeźbiarka zauważa, →

→ że nawet *Credo* ogranicza się jedynie do wyznania wiary w Ducha, bez opisu analitycznego do pozostałych osób Trójcy.

Także wskazywanie przez Dzielińską na to, że teologiczne tytuły i przywileje nadawane Maryi w gruncie rzeczy są przeniesieniem atrybutów Boga na Matkę Jezusa, jest przejawem nieświadomego włączenia się w paradygmat teologii feministycznej. Polemizowała ona też z nauczaniem św. Pawła jako wyrażnie antykobiecym.

Trójca jako Rodzina

Krakowska mistyczka podkreśla w swoich pismach, że nie przypadkiem to jej przypadło w udziale dostąpienie objawień. To właśnie ona, jako świecka kobieta, została wybrana przez „Panią”, by je spisać i przekazać.

Jej wizja Trójcy jako Rodziny przypominać miała o podobieństwie do Boga zarówno mężczyzn, jak i kobiet, w Kościele, w którym „bibliści-mężczyźni tłumaczą i komentują Pismo Święte, biskupi podejmują najważniejsze decyzje i zarządzania, kapłani w sutannach i habitach dyskutują na tematy prawd wiary, spierają się, uzgadniają, podejmują dialogi ekumeniczne”, zaś udział kobiet jest niedoceniony.

Niezależnie od efektów jej działań, a właściwie ostatecznego ich braku, była przekonana o swojej sprawczości i nie traktowała ani swojej płci, ani faktu bycia osobą świecką jako ograniczenia. Wierzyła, że wypełnia misję daną jej przez Boga: „Kiedy zakonnice, zakonnicy, kapłani lub nawet biskupi popełniają jakieś zasadnicze błędy – świeccy powinni odważnie zwracać im uwagę. Jest to obowiązek sumienia”.

Teologia bez ciasnoty

Jak to wszystko rozumieć? W wielu miejscach teologia Dzielińskiej oczywiście



WIKIPEDIA.ORG

DANUTA DZIELIŃSKA:

Kiedy zakonnicy, kapłani
lub nawet biskupi popełniają
błędy, świeccy powinni
odważnie zwracać im uwagę.
Jest to obowiązek sumienia.

rozchodzi się z oficjalną doktryną katolicką – nie tylko w trzeciorzędnej kwestii objawień prywatnych, jak tych z Lourdes czy La Salette, ale także tych znacznie istotniejszych: nazywania Duszą Jezusa Trzeciej Osoby Trójcy czy też polemiki z dogmatem o Bożym macierzyństwie Maryi (którego sensu Dzielińska częściowo nie rozumiała, a częściowo podporządkowywała go przekonaniu o macierzyństwie Ducha w stosunku do Syna Bożego). Ryzykowne jest też jej podejście do żeńskości Ducha Świętego – stanowi

Fotografia z katalogu Krakauer Medaillenkunst: Ausstellung der städtischen Galerie „Sohle I”, Bergkamen, 1983 r.

niejako uzupełnienie czy też przeciwwagę dla Boga Ojca, co jest oczywiście daleko posuniętą antropomorfizacją.

Dzielińska od pewnego momentu pisała z myślą o przekazaniu treści swoich wizji do publicznej wiadomości. Wnioskować można o tym nie tylko z wprost wyrażonego zamiaru, wręcz poczucia obowiązku dzielenia się prawdą o „Pani Duszy” z wiernymi, ale także z korespondencji do duchownych, z którymi próbowała konsultować poprawność doktrynalną swoich wizji. Początkowo spotykała się z niezrozumieniem ze strony spowiedników, dlatego, jak pisze, przez 30 lat zachowywała wszystko w tajemnicy przed światem, zastanawiając się, co może zrobić jako osoba świecka dla rozpowszechnienia kultu Boga-Matki. Miała poczucie, że sama rozwija się duchowo, coraz lepiej rozumiejąc objawiającą się jej rzeczywistość.

Choć w wielu punktach wyrażnie nieśpójne z katolicką ortodoksją, pisma Dzielińskiej bez wątpienia stanowią nie tylko ciekawy przykład autorskiej teologii feministycznej, ale przede wszystkim wzór bardzo aktywnych poszukiwań w czasach, gdy zaangażowanie świeckich w Kościele nie było aż tak oczywiste. „Jak ziemska matka ucząca żyć swe małeńkie dzieci, tak Duch Święty poprowadzi Lud Boży drogą zbawienia, a wtedy odrodzi się i rozkwitnie również prawdziwa teologia, wolna od dzisiejszej ciasnoty” – Dzielińska bardzo mocno w to wierzyła.

© ANGELIKA MARIA MAŁEK

Dziękuję Iwonie Demko, profesorce Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, która przekazała mi notatki Danuty Dzielińskiej.

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

KRAKÓW, wtorek, 16 kwietnia, godz. 18.00,
spotkanie ze Zbigniewem Ćwiklińskim,
„Laboratorium Troski. Jak zadbać o drugiego”,
Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20) / hybrydowe /

WARSZAWA, czwartek, 18 kwietnia, godz. 18.30,
spotkanie z Wojciechem Bonowiczem i Tomaszem
Stawiszyńskim, „Jak sobie radzić w niespokojnych
czasach”, Sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



ZESKANUJ I SPRAWDŹ



Franciszek i tajemnice konklawe

EDWARD AUGUSTYN

Opowieść o szlachetnym kardynale, ratującym Kościół przed nieuczciwym i niegodziwym wyborem papieża, to część szeroko zakrojonego projektu medialnego, którego celem jest naprawa wizerunku Franciszka.

WCZASIE TEGO KONKLAWIE [2005 r.] zostałem wykorzystany. To fakt znany – powiedział papież Franciszek w wywiadzie-rzecz, który ukaże się 3 kwietnia w książce „El sucesor” (Następca). Fragment rozmowy, przeprowadzonej przez hiszpańskiego dziennikarza Javiera Martíneza-Brocá, opublikował w wielkanocną niedzielę hiszpański dziennik „ABC”, zapewniając książce już na starcie wydawniczy sukces.

Franciszek zdradza dziennikarzowi szczegóły konklawe po śmierci Jana Pawła II. Przyznaje, że otrzymał wtedy 40 głosów, plasując się tuż za kard. Ratzingerem. Ale – jak dodaje – ci, którzy na niego głosowali, bynajmniej nie zamierzali wybrać go na papieża. Chodziło im jedynie o zablokowanie kandydatury Niemca. Gdy przejrzał ich taktykę, zapowiedział rezygnację, co zadecydowało o wyborze Benedykta XVI – „papieża przejściowego”, jedyne, który w tamtym czasie mógł stanąć na czele Kościoła.

Jak to z konklawe było

Czy Franciszek rzeczywiście „ujawnił tajemnicę”, czy tylko powtórzył – jak sam zapewnia – „znane fakty”?

Wybór papieża zawsze sprzyja spekulacjom i próbom rekonstrukcji wydarzeń w Kaplicy Sykstyńskiej. Watykanisci dokonują ich w oparciu o szczątkowe informacje, pochodzące z wielu źródeł. W przypadku wyboru Benedykta XVI materiał ten był wyjątkowo wiarygodny – w 2005 r. Lucio Brunelli, watykański korespondent dziennika „TG2”, opublikował notatki anonimowego kardynała na temat ostatniego konklawe. Wyni-

kało z nich, że już w pierwszym głosowaniu kard. Ratzinger zdobył 47 głosów i był faworytem. Na drugim miejscu uplasował się kard. Bergoglio (z 10 głosami), a na trzecim – kard. Martini z Mediolanu (9 głosów). W drugim głosowaniu liczba głosów na pierwszą dwójkę znacząco wzrosła – prefekt Kongregacji Nauki Wiary dostał ich 65, a arcybiskup Buenos Aires – 35. W trzeciej turze Ratzinger uzyskał 72 głosy, a Bergoglio 40. Najnowsza wypowiedź Franciszka potwierdza tamte ustalenia.

W konklawe uczestniczyło 115 kardynałów, do wyboru papieża potrzebne były głosy 77 elektorów (dwie trzecie kworum). Zwolennicy Bergorgia blokowali więc wybór Ratzingera. Co prawda przepisy, wprowadzone przez Jana Pawła II w 1996 r., mówią, że po 30 głosowaniach można odstąpić od tego wymogu i wybrać papieża bezwzględną większością, jednak w praktyce tak długie konklawe, trwające blisko dwa tygodnie, jest mało prawdopodobne – kandydatów, którzy nie mają możliwości pozyskania nowych głosów, uważa się za „spalonych” i szuka innych nazwisk, by uniknąć klinczu. W taki sposób przed laty wybrany został na papieża kard. Wojtyła.

Opowieść Franciszka, że głosy oddawane na niego miały „spalić” kandydaturę Ratzingera, ma sens.

Kto za tym stoi

Szkoda jednak, że dziennikarz nie zapytał Bergorgia, kim byli ci, którzy „stali za głosowaniem” i wykorzystali go w grze przeciwko przyszłemu Benedyktowi XVI. Wrzucenie całej czterdziestki do jednego

worka i nazwanie ich kunktatorami jest niesprawiedliwe. Z pewnością wielu z tych, którzy głosowali na Bergorgia, uwierzyło, że to najlepszy kandydat, i nie chodziło im o taktyczne rozgrywki. Franciszek sam to poniekąd przyznaje: „Kiedy to sobie uświadomiłem, powiedziałem kardynałowi Darío Castrillónowi z Kolumbii: »Nie żartujcie sobie z mojej kandydatury, bo zaraz powiem, że jej nie przyjmę. Zostawcie mnie«. I tak został wybrany Benedykt”. Gdyby temu kardynałowi (jak i pewnie wielu innym) zależało tylko na blokowaniu Ratzingera, nie zrezygnowałby z dalszego głosowania na Bergorgia. Tymczasem w kolejnym głosowaniu arcybiskup Buenos Aires dostał 14 głosów mniej, a Ratzinger – 12 więcej. I został papieżem.

Kościelna mafia

Kto zatem stał za lobbowaniem-blokowaniem? Dotąd zwykle cień podejrzeń padał na „grupę z Sankt Gallen” – liberalnych kardynałów i biskupów, którzy już w ostatniej dekadzie pontyfikatu Jana Pawła II spotykali się w szwajcarskiej miejscowości, by dyskutować o koniecznych reformach Kościoła. Jej istnienie potwierdził w 2015 r. kard. Godfried Danneels z Brukseli, jeden z uczestników owianych tajemnicą spotkań. On też żartobliwie nazwał grupę „mafią”, co natychmiast podchwycili jego przeciwnicy.

W poprzednim konklawe 2005 r. do grupy należało 8 kardynałów, m.in. Carlo Maria Martini z Mediolanu, Walter Kasper z Rottenburga, Karl Lehmann z Moguncji, Ljubomir Huzar ze Lwowa czy Achille Silvestrini z Rzymu (jedyne przedstawiciel kurii rzymskiej), z których 7 miało prawo wyboru papieża.

Ze wspomnień Danneelsa i innych uczestników rozmów wynika, że w czasie spotkań w Sankt Gallen poruszano także kwestie wyboru następcy polskiego papieża. Oraz że w 2002 r. pojawiło się w tym kontekście nazwisko nowo mianowanego kard. Bergorgia z Argentyny, którego lider grupy, kard. Martini, także jezuita, dobrze znał.

Wspomniany już Lucio Brunelli pisał, że grupa z Sankt Gallen chciała zapobiec elekcji Ratzingera, lobbując wprawdzie za wyborem Martiniego. Gdy przekonali się, że kandydatura arcybiskupa Mediolanu nie ma szans, poparli kardynała z Buenos Aires.



MARCO IACOBUCCI / IMAGO / FORUM

Po mszy wielkanocnej na placu św. Piotra z udziałem papieża Franciszka.
Rzym, 31 marca 2024 r.

Czy Bergoglio spiskował

→ „Mafia z Sankt Gallen” lobbowała za kandydaturą Bergoglię także na kolejnym konklawe. Pisał o tym Austen Ivereigh, brytyjski dziennikarz zaprzyjaźniony z Franciszkiem, autor dwóch jego biografii, w ubiegłym roku powołany przez papieża na eksperta synodu.

W 2013 r. pozostało przy życiu tylko czterech „spiskowców z Sankt Gallen”. Byli to kardynałowie Kasper, Danneels, Lehmann i O'Connor (ten ostatni nie brał jednak udziału w konklawe, bo skończył 80 lat). Wg Ivereigha kard. Bergoglio miał im udzielić wstępnej zgody na zgłoszenie swej kandydatury. Ten fragment książki wywołał protest Watykanu – o. Federico Lombardi, rzecznik prasowy Stolicy Apostolskiej, poinformował, że „wszyscy wymienieni czterech kardynałowie wyraźnie zaprzeczyli takiemu opisowi wydarzeń, zarówno pod względem żądania uprzedniej zgody kardynała Bergoglię, jak i prowadzenia kampanii wyborczej”.

Takiego dementi można się było spodziewać – w świetle prawa jakiegokolwiek paktowanie i porozumiewanie się co do głosowania na konklawe, niebędące „zwykłą wymianą poglądów”, obłożone jest ekskomuniką. Z drugiego wydania książki Ivereigha słowa o „zgodzie” Bergoglię zostały usunięte.

Dla kogo tajemnica

Wróćmy jednak do najnowszego wywiadu Franciszka i do wyborów z roku 2005. Szokujące jest nie tylko to, co mówi (o istnieniu stronnictw i kingmakerów, którzy potrafią przekonać niezdecydowanych, wiedzieliśmy od dawna). Zaskoczeniem jest, że o kulisach głosowania zdecydował się opowiedzieć sam papież, potwierdzając krążące od lat pogłoski (bo tylko je mógł mieć na myśli, mówiąc o „znanych faktach”).

Franciszek wyjaśnia, że tajemnica konklawe jego nie obowiązuje. Można się z tym zgodzić (w myśl zasady, że „papież może wszystko”), choć zapewne trzymający się litery prawa puryści dostrzegą drobne różnice w rocie ślubowania kardynałów i personelu pomocniczego – tych pierwszych z tajemnicy dotyczącej wyboru papieża może zwolnić tylko „tenże papież”, ci drudzy dyspensę od milczenia mogą dostać od „nowo wybranego papieża i jego następców”. Co można by zinterpretować, że sekret ze „swego” konklawe mógłby zdjąć z kardynałów tylko Benedykt XVI.

Choć pewnie nie taki był zamiar prawodawcy, a chodziło po prostu o bezwzględna zasadę utrzymania szczegółów głosowań w tajemnicy, od której odstąpić można tylko z ważnego powodu (skoro

zwolnienie zostało zastrzeżone tylko dla papieża). I raczej nie jest to wywiad prasowy ani książka.

Jak papież z papieżem

Dlaczego więc Franciszek zdecydował się tę zasadę złamać? Do tej pory na sugestie dziennikarzy, że był brany pod uwagę już na konklawe w 2005 r., odpowiadał zdawkowo: „Chodziły takie słuchy”. Szczegółów nie ujawniał. Czy teraz miał po temu powód, czy tylko poddał się atmosferze – dość plotkarskiej – rozmowy?

Możliwe, że jego wypowiedź o manipulacjach i wyborczej taktyce sama jest manewrem uprzedzającym atak przeciwników, od dawna powtarzających, że jego wybór był efektem zmyślenia i spisku (i jest nieważny), albo jakąś decyzję, którą planuje podjąć. O tym przekonamy się za jakiś czas. Z pewnością słowa na temat tak istotnej kwestii, jak uczciwość wyboru następcy św. Piotra, nie pozostaną bez echa.

Pamiętać też trzeba, że rozmowa na temat konklawe 2005 r. to fragment większej całości – książki o relacji Franciszka do Benedykta XVI, której celem jest przekonanie czytelnika, że były one zawsze wyjątkowe: Bergoglio głosował na Ratzingera i uważał go za najlepszego w tamtym czasie kandydata, darzył wielkim szacunkiem jako papieża, a ten z kolei odpłacał mu się pełnym poparciem, nawet w przypadku najbardziej kontrowersyjnych decyzji (czasem tylko dając się zmanipulować i wykorzystać otoczeniu).

To trzecia w ostatnim półroczu książka, w której papież Franciszek sam opowiada o swoim życiu i przedstawia własną wizję historii.

W tym kluczu należy czytać opowieść o szlachetnym kardynale, który uratował Kościół przed nieuczciwym i niegodnym wyborem (namawianie do głosowania za kandydatem nie dlatego, że jest najlepszy, ale po to, by zniweczyć szanse innego, ma niewiele wspólnego z uczciwością i prawdą). O tym, jak stał się narzędziem Ducha Świętego, który pokrzyżował niegodziwcom plany. O tym, że pogłoski, jakoby miał współpracować z takim czy innym lobby przy „ustawianiu” wyników głosowania, są z gruntu fałszywe. I o tym, że kard. Ratzinger był najlepszym kandydatem na papieża. Tyle że „przejsiowego”.

© P. EDWARD AUGUSTYN

WOJCIECH

Bonowicz: *Kultura różnic*



ŻEBY SIĘ POROZUMIEĆ, TRZEBA SIĘ ROZUMIEĆ. Żeby się rozumieć, trzeba umieć wysłuchać argumentu. Jak nie będziemy kształcić tej umiejętności, zatoniemy. Różnice zdań nie są problemem. Problemem jest niemożliwość przetrwania pomostów ponad różnicami. Życie na wyspach.

Różnice są absolutyzowane. Różnice zdominowały obraz rzeczywistości. Powiedzenie: „Przecież w tej sprawie nie różnicie się od swoich politycznych przeciwników” to bodaj najcięższy zarzut. „Oczywiście, że się różnimy. I nie tylko się różnimy, ale różnimy się zasadniczo. Nigdy byśmy nie pozwolili... Z większą determinacją wprowadzamy... Oni tylko mówili, my robimy...”. Taka uroda polityki, że absolutyzuje różnice. Jak się zna reguły tej gry, można na to patrzeć z pewnym dystansem. Tyle że kiedy różnie temperatura politycznego sporu, od absolutyzowania różnic do zohydowania politycznego przeciwnika jest już tylko krok. Do zohydowania, do sączenia nienawiści, a w końcu – do najcięższych oskarżeń. Nie mówię o procesach, mówię o obelgach. Jak powiedzenie z mównicy, że ten, komu władzę powierzył naród, jest obcym agentem. Czy napisanie w mediach społecznościowych, że jak ktoś ma w tej czy innej kwestii odmienne zdanie, to niech wyp...dala. Owszem, każdemu mogą puścić nerwy – choć ja akurat uważam, że nie każdemu, a niektórym wręcz nie powinny. I owszem, nawet obelgi się zużywają, naród na nie obojętniejsze, im ich więcej, tym skuteczność jakby mniejsza. Ale jednocześnie szczeliny rosną. Woda wlewa się tam, gdzie jeszcze chwilę temu można było przejść suchą stopą.

Różnice – powtórzę – być muszą, nie one są problemem. Gdybym miał coś podpowiedzieć tym, którzy zajmują się eduka-

cją, powiedziałbym: pielęgnujcie różnice, rozmawiajcie o nich, pokazujcie, skąd się biorą. Tak układajcie programy, żeby było miejsce na tę rozmowę. Nie ma bardziej pouczającej lekcji niż dwa, trzy odmienne spojrzenia na ten sam problem – i dyskusja. Wszystko może być podważone, wszystko zakwestionowane, jeśli tylko niezgoda przybierze formę argumentu. Powiedziałem gdzieś, że w programach powinno być więcej godzin wychowawczych, nawet kosztem konkretnych przedmiotów. Nauczyciele z początku się oburzyli, ale potem przyznali mi rację. Cała edukacja przypomina dziś trochę nieumiejącą naukę obcego języka: wkuwa się na pamięć słownik i gramatykę, ale nie uczy się mówić. Tymczasem chodziłoby o to, żeby zdobywanie informacji służyło rozmowie. Także starciu odmiennych racji, polemice, i to w kwestiach nie tylko politycznych czy etycznych, ale też np. dotyczących estetyki. Spór może pozostać nierozstrzygnięty – i to też będzie ważna lekcja. Można postawić pytanie: co zrobić, gdy kompromis wydaje się niemożliwy? Czy zawsze w takich przypadkach powinno wkraczać państwo? I czy jest możliwe takie ukształtowanie przestrzeni publicznej, żeby ludzie o odmiennych poglądach nie byli w nieustannym i bezowocnym zwarcu?

Przypominam sobie, co mówił Tomáš Masaryk, kiedy jeszcze był posłem partii młodoczeskiej do austriackiego parlamentu: „Powiedzą wam, że krytyką i polemiką niszczyacie jedność i odsłaniaacie słabości swojego obozu. Ale upadek naszego kraju nastąpił w momencie jedności” (cytuje za Mariuszem Szczygłem). Jedność rozumiana jako jednomyślność, niezróżnicowanie, osłabianie albo wręcz tłumienie krytyki to wizja niebezpieczna dla każdej społeczności. Taka jedność zawsze ostatecznie budowana jest na strachu, a strach to niepewny fundament. Jednak aby różnice nie były równie niszczące, trzeba zadbać o coś, co można nazwać „kulturą różnic”.

Nie mam wielkich oczekiwań. Nie znam zbyt wielu osób, które dobrze by się czuły w świecie autentycznie pluralistycznym. Każdy z nas ma w sobie pokusę, żeby coś innym narzucić, czegoś im odmówić, w ten czy inny sposób ich „przykroić”. Nie chodzi mi więc nawet o to, żeby różnić się pięknie. Na początek wystarczy, jeśli nie będziemy się różnić byle jak – bezmyślnie, agresywnie.

©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Weź Tygodnik na majówkę – już 24 maja! Weźże, bo warto!

BĘDZIE O TYM, z czym na ptaka – czyli jak i gdzie ptaków szukać i po co w ogóle je podglądać. Będzie także coś o nieoczywistej i nie do końca opowiedzianej twarzy Krakowa, która objawiła się Rafałowi Matyi (podczas wizyt na cmentarzu Rakowickim). Miłośnicy adrenaliny dowiedzą się, czym jest futbol australijski

i czy w Polsce ktoś w to gra. A spragnieni filozofii i teologii przeczytają, w co wierzyli bohaterowie „Diuny”. Prócz tego będzie o książkach, filmach, poradnikach, o świecie i historii. No i oczywiście o polityce naszej codziennej.

Aż tyle w majówkowym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”!

ŚLEPA SIŁA

Atak na konwój humanitarny w Gazie to nie jednostkowy wypadek.
Zginęło tam już 175 palestyńskich pracowników ONZ,
a Lekarze bez Granic mówią o „schemacie celowych ataków”.
Nie jest to też anomalia, lecz próbka tego, jak ta wojna wygląda na co dzień.

MAREK MATUSIAK



DLA BENIAMINA NETANJAHU BYŁ TO „incydent”. „Izrael głęboko ubolewa nad tragicznym incydem, który pochłonię życie siedmiorga pracowników humanitarnych” – tymi słowami premier Izraela skomentował na platformie X (dawnym Twitterze) fakt, że wieczorem 1 kwietnia armia izraelska zabiła w Gazie ludzi z międzynarodowej organizacji pomocowej World Central Kitchen (WCK), w tym polskiego obywatela.

W zestawieniu ze skalą tego, co od pół roku dzieje się w regionie, śmierć siedmiorga ludzi może wydać się premierowi Izraela „incydem”. Hamas zabił 7 października 2023 r. niemal 1,2 tys. Izraelczyków (w tym 770 cywilów, pozostali to żołnierze i policjanci), a Izrael zabił do tej pory co najmniej 33 tys. Palestyńczyków z Gazy. Nie wiadomo, ilu z nich było członkami Hamasu; wiadomo za to, że według danych UNICEF-u 13 tys. z nich to dzieci.

Przy okazji armia izraelska zniszczyła lub uszkodziła ponad połowę wszystkich budynków w Strefie. Utrudniając zaś dostawę i dystrybucję pomocy humanitarnej, Izrael doprowadził też do sytuacji, w której ponad 2 mln ludzi egzystuje tam w warunkach „ostrego niedostatku żywności”, a niemal 700 tys. głoduje (patrz raport IPC Famine Review Committee z 18 marca tego roku).

Wydarzenie wyjątkowe

Wojna pozostaje przy tym daleka od zakończenia. Hamas przetrzymuje ok. 130 uprowadzonych (zakłada się, że jedna czwarta z nich może już nie żyć). Izrael zaś konsekwentnie anonsuje inwazję lądową na południowy skrawek Gazy, gdzie oprócz jej mieszkańców schroniło się niemal milion uciekinierów z północy Strefy.

Na dodatek, w miarę trwania izraelskiej operacji, jej deklarowane cele stają się coraz bardziej odległe. Prócz odzyskania zakładników i pokonania Hamasu obejmują już bowiem także „deradykalizację” mieszkańców Strefy, o której skali, zakresie i harmonogramie decydować ma, naturalnie, sam Izrael. „Dopiero kiedy Hamas zostanie zniszczony, Gaza zdemilitaryzowana, a społeczeństwo palestyńskie rozpocznie proces deradykalizacji, Gaza będzie mogła zostać odbudowana, a perspektywy pokoju na Bliskim

Wschodzie staną się rzeczywistością” – zapowiada premier Netanjahu.

Jednak nawet uwzględniając skalę dramatu, który rozgrywa się na Bliskim Wschodzie od pół roku, atak na pracowników World Central Kitchen jest wydarzeniem wyjątkowym. Z polskiej perspektywy głównie dlatego, że został w nim zabity nasz obywatel. Jest to jednak także kolejna sytuacja – m.in. po zastrzeleniu przez izraelskich żołnierzy trzech uprowadzonych Izraelczyków – pokazująca, jak operacja w Gazie jest prowadzona.

Na porządku dziennym

Wówczas, w grudniu 2023 r., izraelscy żołnierze otworzyli ogień do mężczyzn, którzy zbiegli z niewoli Hamasu i próbowali przedrzeć się do swoich jednostek. Byli półnaczy, mieli podniesione ręce, białą flagę i krzyczeli po hebrajsku, kim są. Ale zostali wzięci za Palestyńczyków i zabici.

Gdyby istotnie byli Palestyńczykami, zostaliby – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – policzeni między terrorystów i zapomniani. W tym przypadku jednak sprawy nie dało się zataić. A okoliczności zdarzenia postawiły pod znakiem zapytania to, czy Izrael stosuje – zgodnie z własnymi wielokrotnymi zapewnieniami – podstawowe zasady prawa konfliktów zbrojnych. Choćby tę, że nie zabija się ludzi, którzy się poddają.

Podobnie jest tutaj. Gdyby w trzech autach World Central Kitchen siedzieli pracownicy miejscowi, Izrael mógłby powiedzieć ich o związku z Hamasem, a nawet zdezawuować w ten sposób całą organizację (tak jak robi z UNRWA – agencją ONZ działającą na rzecz Palestyńczyków od 1949 r.). Także gdyby do ataku doszło w innym miejscu, Izrael tłumaczyłby zapewne, że celem byli bojownicy Hamasu kryjący się wśród infrastruktury cywilnej. Biorąc zaś pod uwagę, że w Gazie nie ma zagranicznych mediów, teorie te trudno byłoby zweryfikować.

To nie są abstrakcyjne rozważania. W ten sposób przechodziliśmy dotąd do porządku dziennego nad śmiercią 175 miejscowych (palestyńskich) pracowników ONZ, mimo że organizacje międzynarodowe informowały o powtarzających się atakach. Po ostrzelaniu konwoju WCK sekretarz generalny organizacji Le-karze bez Granic stwierdził, że absolutnie odrzuca sugestie, jakoby był to przypadek i jednostkowy incydent. W jego ocenie

ataki na pracowników organizacji humanitarnych czy opieki zdrowotnej, dziennikarzy i personel ONZ mają charakter celowego schematu.

Izrael musi wytłumaczyć

W tym przypadku żadna z powyższych wspomnianych opcji nie wchodzi w grę.

World Central Kitchen jest organizacją, którą Izrael uznaje. Wśród zabitych jest jeden Palestyńczyk, a resztę ofiar stanowią Polak, Australijka, Amerykanin i trzech byłych brytyjskich wojskowych (tworzyli zespół – nieuzbrojony – ochraniający konwój np. przed splądrowaniem).

Izrael musi więc wytłumaczyć światu, jak mogło dojść do czegoś, do czego dojść nie miało prawa. Co będzie trudne, skoro izraelski dron atakował trzy samochody WCK jeden po drugim, na odcinku ponad półtora kilometra nadmorskiej drogi. Atakował kilka razy, dopóki wszyscy pasażerowie nie zostali zabici. Pojazdy były przy tym oznakowane, a czas i trasa przejazdu skoordynowane z armią izraelską.

W tej sytuacji nie ma wytłumaczenia, które stawiałoby Izrael w dobrym świetle. Niezależnie, czy operator drona wiedział, kogo atakuje, czy nie wiedział, czy też za ledwie sądził, że wie. Jak stwierdził w rozmowie z CNN Barak Ravid – jeden z najbardziej wpływowych izraelskich dziennikarzy – „nazywanie tego wydarzenia »błędem« jest niedopowiedzeniem stulecia”.

Zwłaszcza że – w opinii Ravida – nie jest to jednostkowy przypadek: „Powodem, dla którego o nim mówimy, jest to, że chodzi o WCK, bardzo znaną organizację pozarządową. Ale takie przypadki mają miejsce w Gazie co kilka dni”. W rzeczywistości bowiem, jak uważa Ravid, deklaracje dowództwa izraelskiej armii co do przestrzegania przez nią prawa konfliktów zbrojnych mają niewiele wspólnego z tym, jak ta wojna jest prowadzona.

Miesiące ludobójczej retoryki

Wiele wskazuje zatem na to, że atak na pracowników WCK nie jest anomalią, lecz próbą tego, jak wojna w Gazie wygląda na co dzień.

Wniosku tego trudno uniknąć tym bardziej, że do ataku doszło po miesiącach ludobójczej retoryki ze strony izraelskiego establishmentu („ludzkie zwierzęta”, „w Gazie nie ma niewinnych” etc.). Po setkach filmików na Tik-Toku, na których żołnierze celebrują wysadzanie Gazy →

*Zniszczony samochód wolontariuszy WCK.
Dair El-Balah, Strefa Gazy, 2 kwietnia 2024 r.*



Zniszczony w izraelskim ataku konsulat Iranu w Damaszku, 1 kwietnia 2024 r.

→ w powietrze albo pozują ze zwłokami. Po doniesieniach izraelskich mediów o ustanawianiu w Gazie „stref śmierci”. Po systematycznym atakowaniu infrastruktury cywilnej na podstawie słabych dowodów. A także po przeciekach, że cele atakowane w Gazie hurtowo identyfikują algorytmy sztucznej inteligencji, niepoddane kontroli człowieka.

Wreszcie po wynikach kolejnych sondaży opinii publicznej w Izraelu, które pokazują, że nawet po sześciu miesiącach wojny los cywilów w Gazie nadal niemal nikogo tam nie interesuje.

W tym kontekście obstawanie przy opinii, że armia Izraela jest „najbardziej moralną armią na świecie”, której tylko czasem zdarzają się wypadki przy pracy, nabiera cech parareligijnego aktu wiary, z którym nie sposób polemizować.

Bez pomysłu politycznego

To prawda: niezależnie od tego, co sądzi się o polityce Izraela wobec Palestyńczyków przed 7 października 2023 r., trudno wyobrazić sobie państwo, które na podobny atak nie odpowiedziałoby zbrojnie. Poza Iranem i jego regionalnymi sojusznikami trudno też znaleźć kogoś, kto by Hamas popierał czy usprawiedliwiał. Ale stosowanie wyłącznie ślepej i zmasowanej siły militarnej bez jakichkolwiek pomysłów politycznych na zmianę warunków, w których Hamas powstał i wyrósł, to pomysł na usunięcie nowotworu wraz z jego nosicielem.

To zaś nie tylko nie może się udać, ale jest receptą na dalszą destabilizację Bliskiego Wschodu i wzmocnienie Iranu. Bo mało co jest dla Teheranu tak skutecznym paliwem ideologicznym, jak wiecznie nierozwiązana kwestia palestyńska. W ten sposób, zamiast być częścią roz-

wiązania, polityka izraelska jawi się coraz bardziej jako część problemu.

Tłumaczenie Jerozolimy, że „zawieszenie broni trwało do 6 października” i że złamał je Hamas, jest prawdziwe tylko w połowie. Bez egzekucji na 770 izraelskich cywilach oraz zabicia 380 żołnierzy i policjantów tej wojny faktycznie by nie było. Ale rzeczywistość sprzed 7 października jest rzeczywistością utrzymywanej od niemal 60 lat okupacji i kolonizacji Zachodniego Brzegu oraz permanentnego oblężenia Gazy. O ich zakończeniu niemal nikt w Izraelu nie tylko poważnie nie myślał, ale nawet niemal już o tym nie rozmawiał, gdyż stan istniejący był zwyczajnie zbyt wygodny.

Konfrontacja strategiczna

Atak na konwój WCK nie jest jedynym ważnym wydarzeniem ostatnich dni. Również 1 kwietnia armia izraelska zaatakowała irański konsulat w Damaszku, zabijając 16 osób, w tym generała Mohammada Rezę Zahediego i sześciu innych oficerów związanych z elitarnymi jednostkami Al-Quds (odpowiadają za prowadzenie działań poza granicami Iranu). Zahedi, który nadzorował operacje w Syrii i Libanie, to najwyższy rangą irański wojskowy zabity od czasu amerykańskiego ataku na gen. Kasema Sulejmaniego w styczniu 2020 r.

Atak na konsulat to kolejna odsłona strategicznej konfrontacji między Izraelem a Iranem, w ramach której Teheran z pomocą sojuszników (libański Hezbollah, reżim w Damaszku, ugrupowania szyickie w Iraku, Huti w Jemenie) osacza państwo żydowskie.

Nie ma wątpliwości, że to Iran jest w tym układzie – przynajmniej na poziomie tzw. „dużego obrazka” – stroną

ofensywną. Jednocześnie jednak Teheran działa w sposób wykalkulowany, systematyczny i długofalowy, dążąc (jak dotąd) raczej do uzyskania strategicznej i psychologicznej przewagi w regionie niż do konfrontacji wojennej na dużą skalę. Ataków dokonuje zaś głównie rękami organizacji sojusznicznych.

Logikę tę zastosował również po ataku Hamasu, który – co do skali i efektów – był dla Teheranu zaskoczeniem. Po 7 października proirańska „oś oporu” (głównie Hezbollah i Huti) zaczęła wprowadzić ostrzały Izraela, które spowodowały ewakuację ok. 100 tys. mieszkańców północnej części tego kraju. Jednocześnie jednak, biorąc pod uwagę znaczący potencjał militarny samego Hezbollahu, ich intensywność jest ograniczona. Iran kilka razy sygnalizował przy tym w ostatnich miesiącach niechęć do dalszej eskalacji.

Izrael rzuca wyzwanie Iranowi?

Izrael reaguje zaś w sposób coraz bardziej asymetryczny. Walcząc z Hezbollahem, atakuje coraz dalej w głąb terytorium Libanu. Coraz częściej bierze też na cel przedstawicieli Iranu (głównie na terenie Syrii). Ostrzał konsultatu wpisuje się w tę logikę. Ale ze względu na rangę ofiar i fakt, że zaatakowano placówkę dyplomatyczną, stanowi też ostentacyjną eskalację.

Celów tego działania może być kilka. Jeden to wysłanie sygnału, że za działania jego sojuszników pociągany do odpowiedzialności będzie sam Teheran, a cena egzekwowana przez Izrael będzie rosła.

Biorąc jednak pod uwagę, że nawet śmierć wysokich rangą oficerów nie zmieni irańskich kalkulacji – o czym Izrael doskonale wie – intencją może być też sprowokowanie Teheranu do działań bezpośrednich. Tym samym zaś do wyjścia poza – niewygodny dla Izraela – schemat wojny zastępczej. Izrael może też liczyć, że Iran odpowie wznowieniem (zawieszonych w styczniu) ataków na siły USA w regionie, co zmusiłoby Stany do reakcji.

Narastanie konfrontacji izraelsko-irańskiej umożliwiłoby też premierowi Netanjahu odwrócenie uwagi opinii publicznej – tej własnej i tej międzynarodowej – od coraz bardziej problematycznej wojny w Gazie. I przekierowanie jej na walkę z Iranem, o której mówił przez większość swojej politycznej kariery.

© MAREK MATUSIAK



Damian Soból w kuchni polowej zorganizowanej po trzęsieniu ziemi w Elbistanie. Turcja, luty 2023 r.

Ostatnia droga Damiana

ANTONINA PALARCZYK

Był jednym z tych Polaków, którzy w lutym 2022 r. ruszyli na pomoc Ukraińcom i doświadczyli tego, co socjologia nazywa przeżyciem pokoleniowym. Potem fala opadła, on został. Był w Ukrainie, Turcji i Gazie, gdzie zginął: Damian Soból.

SZŁAK POMOCY HUMANITARNEJ NA wschód zaczyna się w Przemyślu. Tu na ścianie dworca nadal wisi baner z hasłem w obu językach: „Tutaj jesteście bezpieczni”. Miasto od pierwszego dnia rosyjskiej inwazji stało się węzłem, gdzie przecinają się drogi pomocy wysyłanej do Ukrainy i drogi milionów uchodźców.

Stąd pochodził i tu zaczęła się też wolontariacka droga Damiana Sobóla. 35-letni pracownik organizacji World Central Kitchen razem z sześcioma innymi ochotnikami zginął 1 kwietnia w izraelskim ostrzale, wymierzonym w konwój humanitarny w Gazie.

World Central Kitchen (WCK) to organizacja nawet jak na NGO-sy niezwykle. Założona w 2010 r. przez kucharza z USA José Andrésa, ofiarom wojen czy katastrof dostarcza posiłki.

UKRAINA | Pierwsze doświadczenia zbierał wspólnie z Mikołajem Rykowskim, dziś prezesem Fundacji Wolne Miejsce. Ten w rozmowie z „Tygodnikiem” wspomina przyjaciela jako osobę o wyjątkowych zdolnościach organizacyjnych. Nie są to słowa na wyrost, jakich używa się po czyjejś śmierci. Amerykanin z WCK, którzy w 2022 r. zatrudnili Damiana z początku jako tłumacza, szybko dostrzegli, że jest dobrym koordynatorem. Został szefem całych projektów.

– Na przemyskim dworcu, na największych przejściach granicznych w Medyce i Korczowej, gdzie World Central Kitchen utrzymywała swoje stanowiska z pomocą przez ponad pół roku, a także w trakcie wyjazdów z pomocą w głąb Ukrainy – opowiada Mikołaj. – Tam, gdzie większość ludzi zatrzymuje się lub przynajmniej zwalnia,

Damian szukał rozwiązania, które sprawiło, że jakąś sytuację się naprawiało i wszystko znów działało.

– Koordynacja kierowców przyjeżdżających na dworzec po uchodźców, wydawanie gorących posiłków... A zdążył jeszcze angażować się osobiście w indywidualne sprawy – wspomina Irina, jego ukraińska koleżanka z ekipy WCK działającej wtedy w Przemyślu. – Gdy zachorowałam na anginę, znalazł w tym całym młynie czas, by wozić mnie po lekarzach i wyczekiwać ze mną w kolejce pod gabinetem.

Jeździł też do Ukrainy, w tym do Charkowa, gdzie WCK ma swoją placówkę.

TURCJA | Gdy w lutym 2023 r. trzęsienie ziemi spustoszyło pogranicze turecko-syryjskie, Fundacja Wolne Miejsce i World Central Kitchen ruszyły również tam.

– Postanowiliśmy pojechać jako fundacja, mieliśmy sprzęt, by pomagać – mówi Mikołaj. – Choćby kilkusetlitrowe gary, które pozwalały gotować gorące posiłki na kompletnym pustkowiu. Bez prądu i gazu, po prostu na zwykłym ogniu.

Wspomina: – Pojechaliśmy do miejscowości Elbistan, którą wskazali nam wolontariusze z World Central Kitchen. To górską miejscowość na wschodzie Turcji. Gdy dotarliśmy, okazało się, że Damian jest tu od kilku dni. Organizował pierwszą kuchnię polową, nawiązywał kontakty. Zburzone było wszystko, ➔

→ w tym sklepy. W promieniu kilkuset kilometrów nie dało się nic kupić, żeby coś ugotować. Rzecz jasna mieliśmy na start nieco produktów, ale starczyło tego na dwa dni. Zwróciliśmy się do Damiana. A on: jasne, przyjeżdż. Tu dostaniesz marchewkę, tu ziemniaki, a tu cebulę.

LOGISTYKA | World Central Kitchen dostrzegło w nim potencjał lidera i w czasie działań w Turcji dostał funkcję, nazwijmy to, dyrektora WCK na Europę.

Mikołaj Rykowski: – Jako Polacy byliśmy dumni, że jeden z nas odpowiada za cały kontynent. To nobilitacja. Amerykanie traktowali Damiana z szacunkiem, konsultowali z nim wszelkie nowe pomysły. Wiadomo, specyfika tej pracy polega na tym, że teraz jesteśmy w jednym

HALAL | Pogoda w Turcji nie rozpieszczała. Rykowski: – Spaliśmy w trudnych warunkach. Czasem to były namioty. Ludzie wstawali z lekkim grymasem. Damian nieraz jako jedyny budził się z uśmiechem.

– Trzęsienie było w lutym. Ludziom, którzy stracili dach nad głową i cały dobytek, towarzyszył śnieg i mróz. Zaczęły powstawać miasteczka z namiotów przekazanych przez państwo tureckie, ale wciąż były to surowe warunki, zwłaszcza dla małych dzieci. Państwo dostarczało raczej żywnościowe, ale w postaci przysłowiowego chleba i wody. Razem z WCK, które ma zasadę, by gotować gorące posiłki, wydawaliśmy codziennie tysiące porcji. Ludzie od rana stali w kolejkach.



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI WOLNE MIEJSCE

Damian Soból opowiada o pracy WCK szwajcarskim studentom. Warszawa, sierpień 2023 r.

miejsu, a chwilę potem trzeba budować od początku działalność w kolejnym. To trudne, cała logistyka dostaw produktów i sprzętu. Właśnie w tym Damian się sprawdzał, umiając błyskawicznie zorganizować gdzieś np. chłodnię.

– W tym wszystkim obce było mu uczucie jakiejś dumy. Pomimo dyrektorskiej funkcji zachowywał się wciąż jak zwykły wolontariusz – mówi Rykowski. – Po każdym dniu pracy w Turcji mieliśmy wieczorne spotkania, które były jedyną możliwością do wspólnej rozmowy i podsumowań. Różne to były dni, nieraz obfityjące w problemy, gdy coś się psuło lub był za duży tłum. Damian zawsze miał dobrą, pogodną opowieść. Optymizm i wręcz lekkie szaleństwo. W niejednej głowie pewnie tłukło się pytanie: skąd on bierze tę energię i radość?

Gotowali *halal*, zgodnie z wymaganiami islamu. Rykowski: – Ludzie początkowo byli nieufni, pytali, czy posiłek na pewno nie zawiera wieprzowiny.

I dalej: – Rozmawialiśmy z miejscowymi duchownymi muzułmańskimi i policjantami. Słyszeliśmy od nich, że inaczej nie traktowaliby nas zbyt dobrze ze względu na odmienną religię, że bylibyśmy dla nich jak niewierni. Ale że ze względu na wszystko, czego doświadczyliby od wolontariuszy, będą o tym opowiadać dzieciom i wnukom. O Polakach, którzy przejechali trzy tysiące kilometrów, żeby gotować im gorącą zupę.

Spali mało. To – także – adrenalina. Od rana do nocy spędzali czas przy garnkach. Rykowski: – I co ciekawe, nikt z nas nie chorował, nie złapał nawet przeziębienia, choć całe dnie byliśmy na mrozie.

GAZA | Potem było Maroko, gdzie jesienią 2023 r. także trzęsła się ziemia. To na miesiąc przed atakiem Hamasu na Izrael i izraelskim atakiem odwetowym na Gazę, który trwa do dziś. Według pierwotnego planu Damian wraz z resztą wolontariuszy mieli udzielać pomocy uchodźcom palestyńskim tylko na granicy egipskiej. To brzmiało całkiem bezpiecznie. Potem zaczęły się problemy z przekraczaniem granicy i WCK zajęło się dostarczaniem posiłków już bezpośrednio w Strefie.

Mikołaj: – Wiedzieliśmy, z jakim ryzykiem się to wiąże. Choć zachowywane były wszelkie możliwe środki ostrożności, wszystkie potrzebne papiery i uzgodnienia oraz kontakt z izraelskimi żołnierzami.auta były oznakowane ze wszystkich stron. Nic nie zapowiadało tragedii.

Fundacja Wolne Miejsce chciała dołączyć do pracujących w Gazie. Rykowski: – Teraz, po śmierci siedmiu naszych przyjaciół z WCK, cały projekt w Gazie jest zawieszony. Będziemy czekać na rozwój wydarzeń. Mimo ustaleń i jasnych reguł mówiących o tym, że konwoje pomocy humanitarnej nie są zagrożeniem, Damian i jego sześciu współpracowników stracili życie. Nikt nie wysłał kolejnych ludzi na śmierć.

Jakie skutki masakra z 1 kwietnia może mieć dla pracy wolontariuszy? Rykowski: – Zapewne więcej osób będzie miało wątpliwości, czy w ogóle wyjechać. Nie wszystko będzie się mogło dziać tak jak do tej pory. Będzie więcej zabezpieczeń, więcej rygoru i więcej znaków zaopinionia. A przez to mniej działania.

RAKIETA | Ostatnia droga Damiana, Zomi, Jacoba, Johna, Jima, Jamesa i Saifeddina była jedną z rutynowych tras. Wracali już po tym, jak dostarczyli żywność. Mikołaj: – Najzwyklejsza codzienna trasa, z zachowaniem wszelkich procedur.

Izraelczycy ostrzelali z drona po kolei wszystkie trzy auta konwoju: – Gdy trafili pierwszy, wolontariusze przesiedli się do drugiego. Dostał ten drugi i wtedy do trzeciego, ostatniego. Sześciu wolontariuszy z całego świata i palestyński kierowca. Ostatnia rakietka zabiła wszystkich.

Rykowski: – Gdy usłyszałem pierwsze wiadomości, sądziłem, że to była jakaś przypadkowa rakietka. Nie mieści się w głowie, żeby strzelać do konwoju wiozącego żywność i wolontariuszy.

© ANTONINA PALARCZYK



PENG ZHAOZHI / EAST NEWS

Dzieci w miasteczku Zhijia u podnóża gór Liupan Shan, do których w 1935 r. dotarła komunistyczna armia Mao Zedonga. Prowincja Ningxia Hui, Chiny, maj 2014 r.

Wielki renesans wielkiego narodu

MARIA WIŚNIEWSKA Z TAJWANU

Młodzi są rozczarowani brakiem życiowych perspektyw, ale nadal wierzą, że partia komunistyczna prowadzi Chiny w dobrą stronę. Jakim sposobem Xi Jinping przekonuje do siebie społeczeństwo, skoro wyczerpuje się dotychczasowy model rozwoju?

JAK DONOSIŁA LOKALNA GAZETA, 22 MARCA niebo nad pasmem górskim Liupan Shan było wyjątkowo bezchmurne i wiał ciepły wiosenny wiatr. Tego dnia czterystu uczniów ze szkoły podstawowej z miasta Pingliang, strojnych w czerwone chusty, odwiedziło miejsce pamięci Wielkiego Marszu.

To jedno z wydarzeń, które składają się na mit założycielski współczesnych Chin: od jesieni 1934 r. do jesieni 1935 r. kilkadziesiąt tysięcy komunistycznych partyzantów, walczących z rządem w Pekinie, przemierzyło ponad 10 tys. kilometrów, uchodząc przed kolejnymi próbami okrążenia. Połowa zginęła, ale partyzancka armia ocalała, a Komunistyczna Partia Chin (KPCh) ugruntowała swoją pozycję. Właśnie podczas tego marszu na jej czele stanął Mao Ze-

dong – kilkanaście lat później twórca komunistycznego państwa.

Podekscytowane dzieci słuchały więc historii o „męczennikach rewolucji”, recytowały patriotyczne wiersze i spróbowwały typowego posiłku żołnierzy chińskiej armii czerwonej: kleiku ryżowego i surowych warzyw (co, jak notował autor artykułu, całkiem im smakowało).

Dziennikarz skonstatował, że dzięki temu doświadczeniu uczniowie lepiej rozumieją trudności „ciężko wywalczonego szczęścia”, a wycieczka pomoże w zaszczepieniu „czerwonego genu” i zasilaniu patriotycznego ducha wśród najmłodszych.

Mobilizacja młodych mas

Położone w północno-zachodnich Chinach pasmo Liupan Shan ma w komu-

nistycznej wizji historii Chin znaczenie symboliczne. W 1935 r. było jednym z ostatnich przystanków wspomnianego Wielkiego Marszu. Mao Zedong napisał wówczas wiersz ku chwale Liupan Shan. „Wielki Sternik”, jak się go dziś nazywa, rozpyływał się w nim nad czystym niebem i widokiem czerwonych flag, które leniwie powiewały na grzbietach gór.

Dziś Liupan Shan jest jedną z tzw. baz edukacji patriotycznej. Ich cel to – zgodnie z notatką departamentu propagandy KPCh – inspirowanie i mobilizacja mas, szczególnie młodych, do zjednoczenia się wokół partii pod egidą jej przewodniczącego Xi Jinpinga.

Na liście takich miejsc uznanych za posiadające szczególne walory patriotyczne – liczącej blisko sześćset pozycji – najwięcej jest tych związanych z historią partii, a zwłaszcza z wygraną przez komunistów wojną domową z Kuomintangiem w latach 1927-49. Są więc na niej niezliczone cmentarze „męczenników rewolucji”, obiekty upamiętniające ważne bitwy oraz rodzinne miejscowości partyjnych osobistości.

Jednym z miejsc ostatnio dodanych do listy jest majestatyczne Muzeum Partii Komunistycznej w Pekinie, które otwarto w 2021 r., w trakcie – *nomen omen* – lockdownu. Dużym zainteresowaniem cieszą się tam podobno kurtka i czapka, które Mao miał na sobie, gdy 1 października 1949 r. na pekińskim placu Tiananmen proklamował powstanie Chińskiej Republiki Ludowej (ChRL).

Niekłopotliwe aspekty historii

→ Mianem „bazy edukacji patriotycznej” pochwalić mogą się jednak także obiekty reprezentujące zupełnie inne czasy – jak dom rodzinny Konfucjusza (przewodniczący Xi lubi cytować w swoich przemowach tego filozofa, żyjącego 2,5 tys. lat temu). A także sala pamięci Li Baia, jednego z największych poetów z czasów dynastii Tang, postrzeganej jako złoty okres rozwoju chińskiej kultury (to z kolei VII-X wiek naszej ery). Albo miejsca poświęcone kulturze obrzeży dzisiejszych Chin – zwłaszcza w jej niekłopotliwych dla partii aspektach, jak Muzeum Medycyny Tybetańskiej w Qinghai, na pograniczu Tybetu i Sinciangu.

Na listę wciągnięto wreszcie imponujące projekty inżynieryjne – takie jak Zaporę Trzech Przełomów na rzece Jangcy (największa hydroelektrownia na świecie) czy Daxing, nowe pekińskie lotnisko zaprojektowane przez brytyjskie biuro architektoniczne Zahy Hadid i otwarte w 2019 r. z okazji 70-lecia istnienia ChRL.

W oficjalnej narracji, jak też w postrzeganiu wielu Chińczyków partia komunistyczna jest odpowiednio dziedzicem, obrońcą oraz twórcą także i tych aspektów chińskości. A skoro partia reprezentuje tak szeroki wachlarz elementów stanowiących Chinę, to wszelka jej krytyka jest również obrazą ludu.

Renesans chińskiego narodu

Według nowego prawa o edukacji patriotycznej, które weszło w życie z początkiem 2024 roku, wszelkie takie aktywności – także wspomniana na początku szkolna wycieczka – mają służyć promocji „wielkiego renesansu narodu chińskiego”, ambitnej wizji określającej rządzący Xi Jinpinga.

Triumfalny powrót Chin na pozycję światowego lidera ma dokonać się do roku 2049, czyli na stulecie istnienia ChRL. Przy czym kierownictwo partii mówi też o przystankach na drodze do pełnego renesansu – m.in. o roku 2027 (stulecie powstania KPCh) i 2035 (stulecie zakończenia Wielkiego Marszu).

Wymienione daty porządkują cele w przeróżnych sektorach. Np. do roku 2027 Chinę mają dokonać pełnej modernizacji Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (co według amerykańskiego wywiadu oznacza gotowość do inwazji na Tajwan), a do roku 2035 – przełomu w rozwoju techno-

logii strategicznych, takich jak mikroprocesory.

W założeniach wielki renesans nie może obejść się bez zjednoczenia Tajwanu, wyspy, którą Pekin postrzega jako integralną część Chin. Najchętniej kierownictwo partii dokonałoby tego pokojowo, ale Xi nie wyklucza użycia siły. Scenariusz inwazji wymagać będzie zaś nie tylko dyscypliny wojska, ale całego społeczeństwa, które na własnej skórze odczuje skutki potencjalnej wojny.

„Niektórzy mieli problemy”

Wielka i odległa wizja wymaga od Chińczyków także cierpliwości, bo w kraju narastają kłopoty. Odbicie gospodarcze po pandemii rozczarowuje: w 2023 r. wzrost PKB wyniósł 5,2 proc., co jest najniższym wynikiem od 1990 r. (wyłączając lata covidowe). Xi Jinping przyznał w przemówieniu noworocznym, że w 2023 r. gospodarka borykała się z wieloma wyzwaniami, a „niektórzy ludzie mieli problemy ze znalezieniem pracy i zaspokojeniem podstawowych potrzeb”.

W istocie Chinę stoją przed szeregiem problemów strukturalnych, które sprawiają, że lata „cudu gospodarczego” to pieśń przeszłości.

Pierwszym z nich jest demografia. Odejście od „polityki jednego dziecka” w 2016 r. oraz ustalenie w 2021 r. nowego limitu (jest nim posiadanie trojga dzieci) na razie nie przynoszą oczekiwanych skutków. Liczba ludności w wieku produkcyjnym spada w Chinach już od dekady i proces ten zapewne będzie tylko przyspieszać. Obecnie na 100 osób w wieku 20-64 lat przypada 20 seniorów, a według prognozy Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w 2050 r. będzie to już blisko 50 seniorów.

Trzeba zaznaczyć, że Chinę nie wypadają pod tym względem najgorzej: w połowie stulecia w Polsce współczynnik ten ma wynieść ponad 60, a w Japonii aż 80 seniorów na 100 osób w wieku produkcyjnym (za to dobrze wygląda prognoza dla Indii, gdzie ta proporcja ma wynieść 22:100).

Modele się wyczerpują

To, że gdzie indziej może być gorzej, jest jednak marną pociechą. Szybkie starzenie się społeczeństwa w połączeniu z rosnącymi płacami podważa model gospodarczy oparty na relatywnie taniej sile ro-

boczej, która była paliwem dla chińskiej gospodarki w ciągu ostatnich 40 lat.

Wyczerpuje się też model rozwoju oparty na silnym stymulowaniu inwestycji infrastrukturalnych. Ich skalę pokazuje choćby takie porównanie: w połowie ostatniej dekady, w ciągu trzech lat Chinę wylały więcej betonu niż Stany Zjednoczone w całym wieku XX.

Jednak rynek jest już przesycony i liczne inwestycje są dziś albo mało opłacalne, albo wręcz niepotrzebne. *Think tank* Rhodium Group szacuje, że w Chinach jest 23-26 mln niesprzedanych mieszkań (czyli tyle, ile pomieściłoby całą populację Włoch). Marnotrawstwo skutkuje zaś ogromnym zadłużeniem, które wynosi dziś blisko trzykrotność chińskiego PKB.

Pekin usiłuje obecnie zreformować model gospodarczy: nowymi filarami rozwoju mają być innowacje i wysokie technologie. Piętrzące się problemy niekoniecznie oznaczają więc, że gospodarka musi pograć się w trwałym kryzysie. Zmiana modelu wymaga jednak sporej restrukturyzacji, która zajmie trochę czasu. W plany chińskich władz może uderzyć też pogłębiająca się wojna handlowa z USA i emancypacja Europy od zależności względem Chin.

Tymczasem koszty spowolnienia ponosić będzie społeczeństwo.

Leżeć do góry brzuchem

Koszty te widoczne są już teraz.

W marcu 2023 r. bezrobocie wśród mieszkańców miast w wieku 16-24 lat przekroczyło 20 proc., co jest wynikiem dwukrotnie wyższym niż przed pandemią. Wprawdzie potem, od grudnia, bezrobocie w tej grupie się zmniejszało i oficjalnie wynosi dziś 14,9 proc., ale spadek ten związany jest przede wszystkim ze zmianą metodologii liczenia.

Przed bezrobociem nie chroni nawet wyższe wykształcenie, a właściwie wręcz przeciwnie: ponad 70 proc. w tej grupie bezrobotnych to absolwenci uniwersytetów. Bo choć praca jest, to niezgodna z oczekiwaniami ambitnej młodzieży. Nie pomaga tu silna ręka Pekinu, który od 2020 r. zaostrza regulacje prywatnych firm np. w sektorach technologii i edukacji, które są atrakcyjnym pracodawcą dla absolwentów.

W efekcie wśród młodych rośnie poczucie rezygnacji. Lata ciężkiej nauki coraz mniej się opłacają, a awans społeczny,



KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

Przed Muzeum Partii Komunistycznej w Pekinie, październik 2022 r.

jakiego dokonali ich rodzice czy dziadkowie, jest coraz mniej osiągalny. Podobnie jak na Zachodzie, młodym często niełatwo jest nawet utrzymać poziom życia, w którym sami się wychowali – ich skromne marzenia o znalezieniu pracy i mieszkania oraz założeniu rodziny wydają się coraz bardziej poza zasięgiem.

W obliczu takiego braku perspektyw wśród chińskiej młodzieży coraz popularniejsze staje się praktykowanie tzw. *tang ping* (dosłownie: „leżenie płasko”): spędzają całe dnie w domu, śpiąc czy grając w gry komputerowe. Młodzi wybierają wyzbycie się pragnień i obojętne nastawienie wobec życia zamiast morderczej kultury pracy, która i tak niekoniecznie przynosi korzyści.

Młodzi, przełknijcie gorycz

Przemawiając w zeszłym roku na uczelni w prowincji Hebei, Xi Jinping wezwał studentów, by „porzucili pychę i wygodę” i „przełknęli gorycz” (przewodniczący użył tu idiomu *chi ku*, który oznacza ciężką i niewdzięczną pracę). W ślad za przywódcą poszły redakcje gazet, nawołując młodych do „podjęcia walki” i „poświęcenia na rzecz renesansu narodu chińskiego”. Przekaz jest jasny: młodzi powinni skupić się na celach zbiorowych, a nie na realizowaniu indywidualnych aspiracji.

Po części wezwanie to trafia na podatny grunt. Mimo niezbyt optymistycznych perspektyw osobistych młodzi Chińczycy deklarują, że są dumni ze swojego kraju i dostrzegają ogromny postęp, który dokonał się za ich życia. Jeszcze parę lat temu regularnie można było usłyszeć od nich opowieści o niebywałym tempie rozwoju ich rodzinnych

miast – z dnia na dzień powstawały osiedla, centra handlowe, stadiony, parki. To wszystko sprawiało, że ich własne życie wydawało się łatwiejsze i przyjemniejsze.

Dziś, gdy zapyta się te same osoby o najważniejsze zmiany w ich codziennym życiu, najczęściej słyszy się o przemianach technologicznych: o nowym systemie płatności bezgotówkowych czy poprawie bezpieczeństwa dzięki wszechobecny kamerom.

Bezpieczeństwo za posłuszeństwo

„Chiny są bardzo bezpieczne” – to mantra, od której zaczyna się wiele rozmów. W przekonaniu mieszkańców Państwa Środka stan ten kontrastuje nie tylko z latami 90. XX stulecia w ich własnym kraju, ale przede wszystkim z sytuacją za granicą.

Najczęściej przytaczane są tu Stany, w mediach państwowych przedstawiane jako kraina chaosu, nierówności i zagrożeń, a także kraje europejskie, jak Francja czy Niemcy. Pewnego razu mój znajomy, skonfrontowany z tematem konsekwencji obecności kamer dla wolności jednostek, odpowiedział: „Czemu w przestrzeni publicznej ktoś miałby oczekiwać prywatności?”.

Poczucie bezpieczeństwa w zamian za rezygnację z osobistej wolności: czy tak ma wyglądać nowy układ władza-obywatele, zajmujący miejsce coraz bardziej odchodzącego w przeszłość układu, który za posłuszeństwo zapewniał awans materialny i społeczny? Przy czym taki nowy układ miałby być – jak już wspomniano – podlany sosem chińskiego nacjonalizmu, serwowanego pod różnymi postaciami edukacji „patriotycznej”.

Na młodych to działa. W odróżnieniu od starszych pokoleń młodzi Chińczycy zwykle mają bardzo małą wiedzę o burzliwej i krwawej historii wieku XX, a wzmocniona kontrola społeczna ery Xi Jinpinga, ze ścisłą cenzurą i rygorystycznym ideologicznym, ucina w zarodku jakiekolwiek próby dyskusji.

Jednocześnie w obliczu rosnących napięć geopolitycznych partia dba o to, aby obrzydzić Chińczykom swych wrogów. Częstym motywem, lansowanym w mediach społecznościowych, są np. memy wytykające rzekomą hipokryzję Zachodu, który ma naruszać wartości, jakie sam niesie na sztandarach – takie jak równość czy prawa człowieka (szczególnie duży wysyp tego typu treści miał miejsce w trakcie protestów ruchu Black Lives Matter).

Brak apetytu na zmiany

Czy w takich warunkach frustracja młodych może uderzyć w stabilność reżimu?

Wielu obserwatorów chce widzieć w narastających problemach oznakę możliwego upadku Chin. Zwolennicy tej teorii wychodzą z założenia, że powszechne poparcie dla rządów KPCh było możliwe dzięki skokowej poprawie jakości życia w ostatnich 40 latach. Skoro więc teraz Chiny mają kłopoty, układ ten może runąć, a niezadowoleni Chińczycy mogą się zbuntować. Zwłaszcza że spowolnienie gospodarcze uderza w młody segment społeczeństwa, w powszechnym wyobrażeniu ten najbardziej wywrotowy (pamiętamy protesty studentów na placu Tiananmen w 1989 r.).

Dowodów na słuszność tej tezy jej zwolennicy szukali ostatnio – przez chwilę – pod koniec 2022 r., gdy w kilkunastu miastach odbyły się protesty przeciw drakońskiej polityce „zero covid”. W skali całego kraju ich potencjał od początku był jednak niewielki i wygasł jeszcze szybciej, niż się spodziewano – dziś próżno szukać po nich jakichś trwałych śladów.

Choć może trudno to zaakceptować, ogromnej większości Chińczyków – urodzonych w systemie autokratycznym i otoczonych wszechobecną propagandą – rządy jednej partii po prostu nie wadzą. A garstka zbuntowanych, choćby zdeterminowana, systemu nie podważy.

© MARIA WIŚNIEWSKA



ZDJĘCIE: EKRANU

Pożar totalitarnej Moskwy – końcowe sceny filmu „Mistrz i Małgorzata” w reżyserii Michaiła Łokszyna

Diabeł Woland w putinowskiej Rosji

WOJCIECH KONOŃCZUK

Reżyser, który krytykuje napaść na Ukrainę, za państwowe pieniądze nakręcił w Rosji antyreżimowy film. Co więcej, antytotalitarna i najlepsza w historii ekranizacja „Mistrza i Małgorzaty” została dopuszczona do kin i odniosła sukces. Jak to możliwe?

ARCYDZIEŁO MICHAŁA BULHAKOWA – ten największy światowy bestseller rosyjskiej literatury wieku XX (tylko po polsku ukazało się niemal 40 wznowień!) – zawsze było czymś więcej niż tylko książką. Od jego pierwszego wydania w 1966 r. (wtedy jeszcze w wersji ocenzonej) trwają spory, o czym właściwie jest ta powieść, która elementy realizmu magicznego łączy z ostrzeżeniem przed totalitaryzmem, a romans z satyrą i mistycyzmem.

Gdy w 2017 r. ogłoszono start projektu nowego filmu na kanwie „Mistrza i Małgorzaty”, w rosyjskich mediach powróciły tradycyjne już dyskusje, czy tę powieść da się w ogóle przełożyć na język kina. Szczególnie biorąc pod uwagę nie nazbyt udane wcześniejsze ekranizacje. Tym razem miało być inaczej. I było.

NOWA ODSŁONA | Budżet projektu wyniósł ok. 20 mln dolarów, a większość środków wydzielił rządowy Fundusz Kina. Reżyserem filmu został Michaił Łokszyn, czy może raczej Michael Lockshin: amerykański reżyser mieszkający

w Los Angeles, który dzieciństwo spędził w Związku Sowieckim, a lata szkolne i studenckie w jelnynowsko-putinowskiej Rosji. Jego rodzice – znani biolodzy i członkowie amerykańskiej partii komunistycznej – w 1986 r. poprosili Moskwę o azyl polityczny.

Nowa filmowa odsłona „Mistrza i Małgorzaty” miała stać się międzynarodowym sukcesem, głoszącym wielkość kultury rosyjskiej. Jednak polityczne okoliczności spłatały Kremlowi nieprzyjemnego figla.

Gdy w lutym 2022 r. Rosja najechała Ukrainę, zdjęcia do filmu były na ukończeniu. Łokszyn nie zawahał się jednak przed nazwaniem agresji agresją, a zbrodni zbrodnią. Wtórowali mu od twórcy głównych ról: Jewgienij Cyganow i Julia Snygir.

Władze zaczęły mnożyć przed projektem najróżniejsze problemy. Reżyser przyznaje, że „były próby cenzury. W końcu jednak stał się cud i cenzury w filmie praktycznie nie ma lub jest ona minimalna”. Początkowo premierę planowano na koniec 2022 r., następnie kilkukrotnie ją przekładano. Wreszcie

w końcu stycznia 2024 r. film trafił do rosyjskich kin.

GWAŁT WŁADZY | Łokszyn dodaje, że cuda były dwa. Po pierwsze, film nie trafił „na półkę”. Po drugie, cenzura nie wycięła jego politycznych momentów.

Gdy ogląda się dziś ten film, każda kolejna scena „Mistrza i Małgorzaty” potwierdza te słowa. A wraz z nimi rośnie zdumienie. Szybko staje się jasne, że choć wielkie filmowe widowisko opowiada o państwie sowieckim z lat 30. XX w., to narzucają się zupełnie inne analogie. Czy prześladowanie myślących inaczej, brak wolności słowa, konformizm i strach przed władzą, podejrzliwość i duch totalitarny nie brzmią znajomo w Rosji roku 2024? W takim kraju szatan Woland, którego brawurowo gra niemiecki aktor August Diehl, okazuje się wręcz obrońcą wolności, zdrowego rozsądku i zwykłej przyzwoitości.

Łokszynowski „Mistrz i Małgorzata” wyśmiewa się z władzy sowieckiej, ale widz może mieć nieodparte wrażenie, że uderza w zupełnie inny reżim. Czyż nie brzmią dwuznacznie słowa, że „wszelka władza jest gwałtem zadawanym ludziom”?

W dzisiejszej Rosji, podobnie jak w tamtej komunistycznej, próba drwin i krytyki jakiegokolwiek władzy, choćby tej z przeszłości, stanowi poważne niebezpieczeństwo. I jak czytać słowa Iwana Bezdornego, powieściowego literata na usługach reżimu, który deklamuje: „Po co nam do raj? Pojedziemy do krymskiego kraju!”. Albo: „Naftowa lawa – to nasza duchowa strawa!”. Także wojenne i rocznicowe parady na ulicach stalinowskiej Moskwy wywołują *déjà vu*.

Trudno o lepszy komentarz niż słowa Wolanda, że świat się zmienia, ale ludzie pozostają tacy sami.

ROSJA OGLĄDA | W styczniu miliony Rosjan poszły więc do kin – i już po trzech tygodniach wyświetlania budżet filmu zwrócił się dwukrotnie. Kolejna niespodzianka to zadziwiająco zgodne głosy mediów kremlowskich (a przynajmniej ich części) i opozycyjnych. Rządowa „Rossijskaja Gazeta” pod wrażeniem filmu oddała chwałę Łokszynowi, pisząc, że „wszedł w dialog z klasykiem i w swojej brawurowej beczelności wychodzi z tego zwycięsko”. Wtórował jej emigracyjny portal Meduza: „Aż trudno w to uwierzyć, mówiono przecież o przekleństwie i niemożliwości ekranizacji tej powieści, ale zupełnie niespodziewanie wyszło świetnie. Cała Rosja ogląda »Mistrza i Małgorzatę«”.

Przedstawiciele Kremla najwyraźniej zdecydowali się sprawy niewygodnego filmu nie komentować. Uczynili to za nich, choć niezbyt intensywnie, czujni propagandyści. I tak Władimir Sołowjow nazwał film antysowieckim i antyrosyjskim, pytając: „Jak w ogóle możliwe było jego dopuszczenie do pokazu!?”.

Inni wzywają do ukarania winnych (w wypadku reżysera byłoby to trudne, mieszka w USA; za to aktorzy są w Rosji). W tym ukarania tych, którzy przyznali nań państwowe pieniądze. Najbardziej gorliwe prokremlowskie kanały w sieciach społecznościowych domagają się pociągnięcia reżysera i aktorów do odpowiedzialności karnej. Atmosfera z epoki stalinowskiej, którą tak wirtuozersko opisał Bułhakow, sama się narzuca.

NIEWIELKI WENTYL | Tym bardziej zasadne jest pytanie, dlaczego Kreml nie zdecydował się zakazać filmu. Być może uznano, że z legendarnymi dziełami kultury trzeba postępować ostrożnie. Albo że co jakiś czas warto odkręcić niewielki wentyl, który spuści trochę złego „powietrza”. Nawet za cenę pewnych wizerunkowych niedogodności.

Publikacja „Mistrza i Małgorzaty” nie zmieniała Związku Sowieckiego. Nowa ekranizacja tej wielkiej powieści nie zmieni putinowskiej Rosji. A jednak jawnie opozycyjne odczytanie tego dzieła oraz historia dopuszczenia tego filmu do obiegu w totalitaryzującej się Rosji – to opowieść godna ducha powieści Bułhakowa.

Można mieć nadzieję, że finalna scena walącej się złej Moskwy okaże się prorocza. ©



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

Mamy się czym pochwalić:
od piętnastu lat współorganizujemy
Conrad Festival i od dziesięciu – **Copernicus Festival**. Wyprodukowaliśmy dwa filmy dokumentalne: „**xABo: Ksiądz Boniecki**” i „**Ukos światła**”. Prowadzimy akcję „**Lekcje czytania**” i pomagamy rozwijać „**Podkast Tygodnika Powszechnego**”.

Nasz nowoczesny projekt technologiczny **rE-medium** wspiera suwerenność wydawniczą „Tygodnika Powszechnego”, a niedługo będzie wspomagać inne niezależne polskie media.

**Wspólnie z Tobą chcemy
krok po kroku zmieniać
świat na lepsze. Naprawdę**

**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU
FUNDACJI
TYGODNIKA POWSZECHNEGO**

» KRS 0000 125 605



R. SATISH BABU / AFP / EAST NEWS

Wszystkie łodzie Indii

MAREK RABIJ

W zaczynających się wyborach indyjski premier Narendra Modi odniesie zapewne trzecią z rzędu wygraną. O czwartą może być już trudno.

TO NIE TYLKO NAJWIĘKSZA DEMOKRACJA świata, ale także najwolniejsza. Może trudno, aby było inaczej, gdy uprawnionych do głosowania jest 969 milionów. Wybory do Log Sabha, izby niższej parlamentu Indii, rozpoczyna się w piątek 19 kwietnia, potrwać mają ponad miesiąc, a oficjalne wyniki będą znane dopiero 4 czerwca. W międzyczasie, w sześciu turach, do urn ruszą mieszkańcy 28 indyjskich stanów i ośmiu terytoriów związkowych, by wybrać 545 deputowanych spośród 8050 kandydatów zgłoszonych przez aż 2660 partii.

Święto demokracji obsługiwać będzie 15 mln urzędników. W stanie Himaćal Pradeś komisja rozstawi urnę na wysokości 4650 metrów nad poziomem morza. W gminie Malkangiri w stanie Orisa członków komisji poinstruowano z kolei, by po zamknięciu lokali maszyny do głosowania przenieśli pod osłoną nocy przez dżunglę do okręgowej komisji – wywiad ostrzega, że silna w tej okolicy partyzantka maoistowska będzie polować na drogach na auta z urzędnikami.

W kończącej się kampanii wszystkie komitety wydadzą równowartość 14,2 mld dolarów – dwa razy więcej niż przed pięciu laty. Wynik będzie jednak z grubsza taki sam jak w 2019 r. Większość sondaży wygraną daje Sojuszowi Narodowo-Demokratycznemu (NDA), w którym pierwsze skrzypce gra rządząca od 2014 r. Indyjska Partia Ludowa (BJP). Z niej wywodzi się premier Narendra Modi.

DUMNI Z OJCZYZNY | Ostatnie tygodnie kampanii Modi poświęcił przypomnieniu rodakom, ile mu zawdzięczają. Linia rządzących trzyma się opowieści o gospodarczej *prosperity*, która uniosła łodzie wszystkich mieszkańców bez względu na pochodzenie i wyznanie. Ukrócenie biurokracji, zwiększenie wydatków centralnych, a zwłaszcza sztuczne utrzymanie niskich cen energii i niskich stóp procentowych – wszystko to zaowocowało szybkim wzrostem PKB, który w trakcie rządów Modiego uległ podwojeniu z 2,04 do prognozowanych na koniec roku 4,11 bilionów dolarów.

Indie są już piątą gospodarką świata. Od niedawna są też najludniejszym krajem globu, a w 2023 r. z powodzeniem przeprowadziły – jako piąty kraj na świecie – udane lądowanie na Księżycu. Kosmos odgrywa ważną rolę także w tej kampanii. Modi na plakatach pozuje w towarzystwie astronautów, którzy niebawem spędzą na orbicie trzy dni w pierwszej misji załogowej w dziejach kraju. Obecność Indii w kosmosie ma podkreślać ich awans do globalnej ekstraklasy i ilustrować ostateczne odrzucenie brzemienia kolonializmu.

„Możecie być dumni z ojczyzny” – wołał Modi podczas jednego z ołbrzymich wieców, jakie państwo organizuje na potrzeby kampanii. Opozycja, zjednoczona w bloku o akronimicznej nazwie INDIA

Studentka zachęca rówieśników do udziału w wyborach, Cennaj, Indie, marzec 2024 r.

(Indyjski Narodowy Sojusz na rzecz Równości i Rozwoju), ostrzega, że partia Modiego zaprzęgnęła do kampanii niemal wszystkie instytucje centralne.

DZIELIĆ, BY RZĄDZIĆ | Poczucie jedności i dumy, oferowane Indusom w wyborczym pakiecie, ma jednak granice. Prawicowo-nacjonalistyczne ugrupowania, nadające ton koalicji Modiego, podbijają bębenek szowinizmu.

W marcu jego partia zafundowała twardemu elektoratowi prezent w postaci nowelizacji ustawy o obywatelstwie. Zmiany pozwalają ubiegać się o nie uchodźcom z Pakistanu, Bangladeszu i Afganistanu, którzy żyją w Indiach co najmniej od 31 grudnia 2014 r., pod warunkiem że są hindusami, buddystami, sikhami, dżinizmami lub chrześcijanami, tj. wyznawcami religii uważanych przez indyjską altprawicę za kultury endemiczne. Ustawa nie wymienia muzułmanów, którzy też żyją tutaj od stuleci i stanowią 14 proc. populacji, ale w narracji rządzących są ciałem obcym.

Opozycja zwraca uwagę na jeszcze jedną linię podziału, którą zarysowała dekada rządów Modiego. Formalnie Indie są krajem, który zdelegalizował klasyczny podział na varny, zwane w Polsce kastami. Najniższy szczebel tej społecznej drabiny zajmują dalici: najubożsi, wykonujący najgorzej płatne profesje (usuwanie nieczystości, pochówki). W narracji rządu, odwołującej się do ideału równości, nie ma miejsca na podziały kastowe. W praktyce zaś Modi i jego ludzie konserwują prastare podziały, odwołując się do historii.

PEKNIĘCIE | Odpowiedź na pytanie, jaki odsetek Indusów stanowią dalici, miał przynieść niedawny spis powszechny. Jednak władze utajniły tę część wyników z obawy, że publikacja wywoła zamieszki. Ta milcząca część kraju, setki milionów najuboższych, z coraz większym trudem kupuje jednak egalitarną narrację Modiego. W marcu krajem targały protesty drobnych rolników, których zmiany klimatu pozbawiają źródła utrzymania.

Coraz bogatsze i coraz silniejsze Indie z opowieści Narendry Modiego to nie ten sam kraj, w którym przyszło im walczyć o przetrwanie. ©P



ZAPOMNIJ O SIELANKACH I CEPELII

Te historie są o nas

NOWE WYDANIE SPECJALNE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” JUŻ W SPRZEDAŻY.
Szukaj w miejscach z dobrą prasą lub zamów na zamowienia@tygodnikpowszechny.pl

NIKIFOR NASZEJ LITERATURY

Edukację zakończył na przedwojennej szkole powszechnej,
co nie przeszkodziło mu zostać pisarzem.

Jan Papuga, niesyty wrażeń łązik, mile morskie zamieniał w literaturę.
Od jego śmierci mija 50 lat.

ALEKSANDRA RADECKA

PREKURSOR POWOJENNEGO PISARSTWA marynistycznego, polski Jack London, trochę Stachura, a trochę Himilbach – tak go opisywano. Istotnie, swoimi przygodami mógłby zapełnić niejednen scenariusz filmowy.

Tadeusz Konwicki, który po wojnie gościł go w warszawskiej kawalerce, pisał z sympatią: „Mocno zbudowany jak prawdziwy marynarz, mówił jakimś dziwnym, trochę sepleniącym głosem i zawsze o sprawach bardzo poważnych, jak na przykład o tym, że za kimś się ujął w drodze, chciał kogoś obronić przed krzywdą, i wysiadł z pociągu w pół drogi i został, i musiał czekać na następny. Referował nam też swoje sprawy literackie, dla których przyjeżdżał do stolicy. Lubili tu go wszyscy”.

Zresztą znali go (i zwykle lubili) literaci z różnych zakątków Polski – w zaczepnej naturze „morskiego wilka” tkwił jego urok. Zapamiętali go rybacy z okolic Szczecina, który od połowy 1946 r. stał się jego domem. Krępy i niski (162 cm wzrostu), we flanelowej koszuli, krótkich spodenkach i sandałach na bosych stopach, z chlebaćkiem. Dziwak, oryginał. Mawiał, że świat jest po to, by go oglądać – i tej zasady trzymał się całe życie. Jak u Josepha Conrada: „Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem, i tak zawsze aż do końca”.

W ŚWIAT | Wieś Zbyszek pod Łodzią: tu rodzi się w 1915 r., w chłopskiej rodzinie. Dzieciństwo i wczesną młodość spędza na peryferiach Łodzi, do której przenieśli się rodzice. Robotnicza dzielnica Chojny, słynąca z rozbojów i łobuzerki, to jego pierwsza szkoła życia.

Po śmierci matki (umiera, gdy on ma dziewięć lat) często znika z domu. Kończy sześć klas szkoły powszechnej. Siódmą uzupełni dopiero w 1938 r. i na tym skończy edukację. Jako nastolatek angażuje się w harcerstwo: buduje kajaki, organizuje harcerską przystań. No i przyłącza się, z przekonania, do Komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej. Ojcu to się nie podoba, pięściami próbuje wybić synowi z głowy komunizm. Ten krzyczy: „Muszę robić to, co robię, bo inaczej zostanę bandytą”. Wielu chłopaków z dzielnicy wybiera bandyterkę.

Gdy w Łodzi trwają aresztowania członków KZMP, myśli o ucieczce z miasta. „Najlepsi moi koledzy »wpadali« jednak i szli do więzienia. Wiedziałem, że i mnie to czeka. Byłem jednak słaby, a świat wydawał mi się piękny” – szczerze wyzna po latach.

Ucieka nietypowo, bo do wojska: do Marynarki Wojennej. Chce jak najszybciej wypłynąć w morze. „Czytałem Karola Marksa i Jacka Londona. Chciałem mieć

taką brodę jak Marks i podróżować jak London” – powie później.

DO HAJFY | Ale przygodę z morzem znacznie dopiero po odświeżeniu wojska: najpierw w Gdyni i Wolnym Mieście Gdańsku próbuje zamustrować się na statku. Bezskutecznie. Wpada na pomysł, by ruszyć do rumuńskiej Konstancy i tam dostać się na „Polonię”. Od 1933 r. ten transatlantyk co dwa tygodnie płynie z Rumunii do Hajfy, a na pokładzie ma żydowskich emigrantów do Palestyny.

Do Konstancy, ponad 1500 km, Papuga dociera pociągami na gapę, statkiem rzeczynym, trochę też pieszo. Kapitan Jan Stankiewicz, przez załogę zwany „Bykiem” lub „Tygrysem”, przyjmuje go. Zaczyna od pracy w kuchni. Osobno gotuje się dla polskich pielgrzymów do Ziemi Świętej, a osobno dla emigrantów żydowskich. Papuga haruje ponad 10 godzin dziennie, w kółko obiera ziemniaki. „Miałem ziemniaczaną skórę i bałem się, że mi kartofle wyrosną na dłoniach” – napisze. Później trafia pod pokład jako pomocnik palacza.

W końcu ma dość, ucieka ze statku i wraca do domu. Znowu w Łodzi, pracuje jako listonosz i gazeciarz. W marcu 1939 r. robi sobie portretowe zdjęcie w pracowni fotograficznej „Sztuka” przy Zamenhofa. Ma 24 lata, pozuje w marynarce i pod krawatem. A potem – znowu na morze.



WITOLD CHROMIŃSKI / ARCHIWUM RODZINNE

Jan Papuga, Szczecin, 1966 r.

PRZEZ AMERYKĘ | Wybuch wojny zastaje go na szkunerze „Marie-Alice”, gdy ten zawija do szwedzkiego Göteborga. Papuga nie kocha rządu II Rzeczypospolitej, chce dostać się do Związku Sowieckiego, ale to mu się nie udaje. Trafia do więzienia. Wypuszczony, mustruje się na szwedzkim statku „Blankaholm”, który pływa do Ameryki.

Podczas postoju w Norfolku rodzi się w nim pragnienie objechania Stanów. Porzuca statek i rusza na włóczęgę: od Wirginii przez Nowy Jork, Nowy Meksyk, Teksas, Georgię, Florydę, aż pod granicę meksykańską. Pewnie przekroczyłby ją, zachęcony przez tajemniczego handlarza koni wizją zdobycia złota, ale zostaje aresztowany.

Dziennikarz, któremu rok po wojnie opowie o tym, przytacza za Papugą nie-

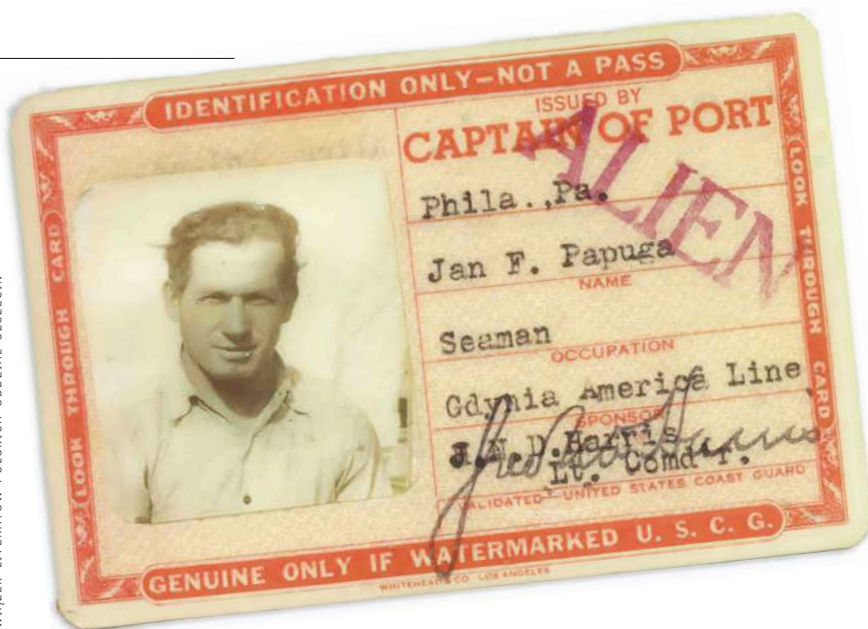
wiarygodne epizody. W Nowym Jorku miał widzieć kuzyna Winnetou, w Nowym Meksyku pić wódkę z Indianami, w Wirginii trafić do polskiej wioski i bawić się w rytmie krakowiaków i mazurów. Zwiedza też Arizone i miasto artystów Santa Fe. Ostatnie przystanki to więzienia w El Paso i na Ellis Island, Wyspie Łez, dokąd go odtransportowano.

W KONWOJACH | Myśl o pisaniu pojawia się, jak to bywa, w chwili nieoczekiwanej. „Po prostu mówiąc... w więzieniu amerykańskim, gdzie mnie przymknęto za włóczęgostwo. Zaczęłam się zastanawiać nad swoim życiem. Czym ono było? Czy nie ucieczką od towarzyszy z suterren łódzkich, ucieczką od walki społecznej? Ale jak do niej wrócić? W więzieniu czytałam dużo. Było to w El Paso. Pod wpły-

wem długich rozmyślań i lektury zaczęła mnie nurtować myśl, aby opisać jeden z fragmentów mojego życia. Napisałem to pierwsze w życiu moim opowiadanie literackie i posłałem do polskiego »Nowego Świata« wychodzącego w Ameryce Północnej. Wydrukowali je. Dostałem nawet honorarium – 5 dolarów. Oczywiście wziąłem się zaraz do napisania drugiego opowiadania. I to też wydrukowano” – będzie potem wspominać.

Od 1942 r. pisze już regularnie – i pływa w konwojach. Trwa wojna. Jest marynarzem na obcych statkach, a w latach 1943-1945 na polskich: „Lublin”, „Bałtyk”, „Kraków”, „Sobieski”. Ma szczęście, że przeżyje – odsetek strat wśród marynarzy pływających przez Atlantyk w konwojach, atakowanych przez u-booty, jest wysoki.





Przepustka Jana Papugi uprawniająca do wstępu na teren portu w Filadelfii

→ **DO ŁODZI** | Zapisane na kartkach opowiadania zanoszą w Londynie do redakcji „Wiadomości Polskich, Politycznych i Literackich” (to kontynuacja międzywojennych „Wiadomości Literackich”). Pierwsi na jego talencie poznają się redaktorzy piśma, Antoni Słonimski i Mieczysław Grydzewski. Obaj patronują polskiej kulturze na emigracji.

W grudniu 1945 r. londyńskie wydawnictwo Orbis wydaje zbiór opowiadań Papugi pt. „Najpiękniejszy rejs”. To proza „uszyta bosmańskim ścięciem z żaglowego płótna” – oceni później Bohdan Czeszko, dodając: „nieporadna i surowa stanowiła na ówczesnym rynku wydawniczym dostatecznie zauważalny i oczywisty kontrast do prezentowanej powszechnie prozy profesjonalistów”.

Gdy po wojnie decyduje się wrócić do pojałtańskiej Polski, Grydzewski daje mu list polecający do Pawła Herta – pisarza, który przeszedł Syberię, wrócił do kraju, wstąpił do komunistycznej PPR i zamieszkał w Łodzi. „Grydz” uznaje, że będzie on dla Papugi najlepszym nauczycielem pisania.

Rodzinne miasto Papugi jest miejscem odradzania się literackiego życia. Związek Zawodowy Literatów zajmuje budynek przy Bandurskiego. Papuga bywa tam, bierze udział w spotkaniach towarzyskich. Hertz pisze o tym w liście do Jarosława Iwaszkiewicza: „Papuga, który był u mnie parę dni temu, z którym piłem długo w noc wódkę (...), proponował mi wspólne kupno jachtu i wielką podróż morską. Żałowałem, że nie mam siedemnastu lat i że się nie nadaje na Rimbauda”.

PISARSKIE OLIMPY | Literaci bawią się w „Klubie Pickwicka” przy Traugutta, w kawiarniach przy Piotrkowskiej, jak „Fraszka” czy „Mocca”. Wśród tych ludzi, uważanych za pisarską elitę, Papuga czuje się „jak oskubany ptak”, który „nie może się niczym podeprzeć”. Nie uważa się za pisarza, do tego dopiero aspiruje. Brak mu oglądy. Przywiózł rękopisy opublikowanych w Londynie opowiadań, no i ten list, w którym Grydzewski rekomenduje „natuszczyka”. Ale nazwisko „Grydza” to wystarczający powód, by przyjrzeć się Papudze. Hertz wspiera początkującego literata.

O jego wojennych opowiadaniach, wydanych w Polsce pt. „Szczury morskie”, Tadeusz Konwicki pisze, że „reportaże Jana Papugi są drugą, po Fiedlerze, próbą odtworzenia życia i walk polskiej marynarki w służbie aliantów. Papuga jednak opisał raczej dzieje poszczególnych, samotnych marynarzy polskich”. I dalej: „Jeszcze jedna charakterystyczna cecha odróżniająca tę książkę od opowiadań Fiedlera. Marynarze nasi (...) są w małym stopniu żołnierzami – biorą udział w wojnie z przypadku, wojna toczy się koło nich jako jeszcze jeden żywioł, czyhający na życie buńczucznych, prymitywnie odważnych ludzi morza – wiecznych łazików, kochających swój zawód”.

W tym czasie Papuga publikuje w „Kuźnicy”, „Dzienniku Bałtyckim”, „Odrodzeniu”. Jeździ do Szczecina i Sopotu, by tam w Domu Literatów wystąpić na tzw. wieczorach czwartkowych. Między Łodzią, Szczecinem a Sopotem upływa mu niemal cały rok 1946. Co jakiś czas wraca do łódzkiej klatki przy Pięknej, gdzie mieszkają ojciec i siostra.

DO SZCZECINA | Po raz pierwszy trafia tam wiosną 1946 r. Przybywa jako autor „Szczurów morskich”, by w ponie-mieckim Szczecinie włączyć się w akcję „repolonizacji kulturalnej”, ogłoszoną przez ministerstwo kultury. Miasto wydaje się mekką dla takich jak on, przed wojną żyjących na peryferiach. Daje szansę awansu.

Na początku jest to dla niego *terra incognita*, jeszcze nieoswojona, ale on to lubi. Szczecin przypomina poranione zwierzę. Przygnębia widok ruin, na odbudowę czeka ok. 50 mostów. Papuga znajduje dla siebie lokum przy Libelta (podanie o przydział składa w listopadzie, zrealizowany w styczniu 1947 r.). Urządza się i zaprasza przyjaciół literatów.

Choć w porównaniu z łódzkim adresem warunki są luksusowe, szuka lepszego miejsca. Marzy mu się coś bliżej Bałtyku, w przyrodniczej głuszy, gdzie można zakotwiczyć łódkę, łowić i pisać. Znajduje to na wyspie Karsibór, między Zalewem Szczecińskim a Starą Świną. Idealna dla marynisty. Idealna, by założyć literacką osadę.

KU UTOPII | O historii powstawania falansteru, wspólnoty ludzi równych i wolnych, tak opowie później dziennikarzowi: „Nurkując jak bóbr po Odrze i jej kanałach, wyszukałem wreszcie na drodze do Świnoujścia, w Karsiborzu, wspa-niałe osiedle rybackie, całkowicie opuszczone. Wyobraź sobie: cztery kilometry do najbliższej wsi, ośmiopokojowy, wspa-niały dom z budynkami gospodarskimi, z pięknym pomostem, z własnym nabrzeżem, krytym basenem i ślipem do naprawy kutrów”.

Literacką przystań zakłada z niejakim Wojciechem Świerkiewiczem, który z czasem okaże się, o zgrozo, Ludwikiem Kalksteinem – poszukiwanym agentem Gestapo, oskarżonym m.in. o wydanie Niemcom dowódcy AK generała Roweckiego. Pod zmienionym nazwiskiem Kalkstein działa w szczecińskiej prasie. Długo nikt nie zna jego przeszłości, jest dobrym kłamcą (zdemaskowany zostanie dopiero w 1953 r.). Naiwny Papuga ulega jego czarowi.

Pomysł falansteru literackiego na wyspie Karsibór odbija się od urzędów i koń-



ARCHIWUM PRYWATNE SYNA JANA PAPUGI

Jan Papuga (przy mikrofonie) na spotkaniu z twórcami filmu „Rachunek sumienia”. Film, powstały na fali „odwilży” w PRL, opowiadał o losie żołnierza AK niesłusznie skazanego w czasach stalinowskich. Klub „13 Muz” w Szczecinie, 1964 r.

czy klęską. Ale Papuga nie porzuca planów. Utopię próbuje urzeczywistnić jeszcze parę razy, w różnych miejscach i czasie. W Bieszczadach (w planie jest wieś Wołosate), w Lubinie, na Wolinie. Nie udaje się ani razu, ale o każdej z tych przygód napisze. Jego marzenie o miejscu, gdzie żyją artyści, „dzielne chwaty”, przypomina ruch hippisowski. Choć tu realia są inne, trudniejsze.

DO CHIN | „Każdy nim zniknie, chciałby poczuć się jak wielka wszystko obejmująca rzeka” – napisze w opowiadaniu „Powrót na morze”. W Szczecinie uchodzi „za Londona do kwadratu” – tak ujmie to dziennikarz, któremu Papuga udzieli ostatniego wywiadu przed śmiercią.

Ale do tego jeszcze daleko. Na razie w portowym mieście ma urzeczywistnić wzór pisarza-samouka, który w socjalistycznej Polsce osiąga sukcesy. I początkowo tak jest. W 1949 r. dostaje nagrodę miasta Szczecina. Bierze udział w szczecińskim zjeździe ZLP. Przedwojenny komunista, teraz członek PPR i PZPR, jest zwolennikiem nowego ustroju.

Na początku lat 50. jako reporter wędruje do Chin, choć w oficjalnej dokumentacji figuruje w funkcji starszego marynarza. Podróż kończy się awanturą i wyrzuceniem z partii. Z dokumentów wynika, że w Chinach kolejny raz w swojej marynarskiej karierze schodzi ze statku – planuje sobie podróż do Korei, na którą ZLP nie udzielił mu zgody.

Wraca do Szczecina w atmosferze skandalu, a o powodach usunięcia go z partii krążą legendy. Nie dementuje ich, pisze. Nieopublikowana do dziś po-

wieść „Przebudzenie” jest relacją z tej wyprawy.

ODMOWY | Od czasu wyprawy do Chin w szczecińskiej prasie utwory Papugi pojawiają się coraz rzadziej. A on włóczy się ulicami, samotny i przybity. Jedynie Franciszek Gil, przyjaciel, daje mu poczucie sensu. Jest jego mentorem i kompanem do żartów.

Papuga próbuje pisać, głównie socrealistyczne reportaże. Nie pasują do ducha czasu – trwa „odwilż” Gomułki. Z wydawnictw odsyłana jest powieść „Czterech z Albatrosa” (to pierwotny tytuł „Okrutnego świata”). Odmowy traktuje jak osobistą porażkę. Niektórzy wieszczą, że będzie „autorem jednej książki”.

W tej trudnej dla niego życiowo sytuacji jak grom z jasnego nieba w światek literacki uderza wieść: Papuga się ożenił, z młodszą o 12 lat absolwentką Politechniki Szczecińskiej, Ireną. Znajomi kręcą głowami. Znali jego umiłowanie wolności i niezaradność życiową. A on nie tylko się żeni, w 1957 r. rodzi mu się syn. Jednak mimo prób nie udaje mu się utrzymać rodziny. Rola męża i ojca go przerasta. Pozostaje pisanie.

DO AFRYKI | Przełom następuje, gdy do Szczecina przyjeżdża Michał Misiorny: od 1964 r. jest krótko prezesem Szczecińskiego Oddziału ZLP. Czyta wszystko, co Papuga napisał, zaprzyjaźnia się z nim, zostaje redaktorem jego prozy. I oto, po dwudziestu latach, w 1965 r. Wydawnictwo Poznańskie wydaje zbiór jego opowiadań „Guadalajara, Guadalajara!”. A on dostaje stypendium literackie – rejs do Afryki.

Jest szczęśliwy. Znowu budzi się w nim natura włóczęgi. Wszyscy, którzy go znają, wiedzą, że pewnie i tym razem zjedzie ze statku, by zrealizować plan przejścia Afryki w poprzek od wybrzeża do wybrzeża. Tak jest – i ta podróż życia kończy się katastrofą. Nie ma wiz, które pozwoliłyby na trampowską przygodę. Gdy nie uzyskuje ich w ambasadzie w Nigerii, ryzykuje wędrowkę bez nich. Zatrzymany już na początku, znowu trafia do więzienia.

Jest rok 1967, Papuga ma 52 lata. W kameruńskiej celi przetrwa dzięki agentowi handlowemu współpracującemu z PŻM, Robertowi Debouno. Ten płaci za jego wyżywienie z własnej kieszeni. Po powrocie do Szczecina Papuga powie o nim: „jedyny ludzki człowiek”.

MASZYNA | Wraca zmieniony. Ma stygmat nieznośnego włóczęgi. Afryka była jego ostatnim wielkim niespełnionym marzeniem. Ale nie poddaje się, pisze „Papierową dżunglę”, powieść o swojej walce z urzędnikami („papierowymi lwami”), którzy stanęli na drodze do realizacji planów. Przepisy, pieczątki to według niego hamulce wolnego życia.

Przyjaciółka, z którą spędza ostatnie lata – szczecińska malarka Janina Matysik – powie potem, że „Papierową dżunglę” pisał nawet w szpitalnym łóżku. Zabrakło, jak twierdził, pięćdziesięciu stron. Jego śmierć – ma 58 lat – zaskakuje wszystkich. Wcześniej nie skarżył się na zdrowie, wzorem był dla niego silny mężczyzna.

Czytelnikom Jan Papuga – ten Nikifor polskiej literatury, jak niektórzy go nazywali – pozostawił swoją prozę: między rokiem 1946 a 1987 wydano siedem jego książek, w tym cztery już po śmierci.

Nie gromadził rzeczy. Została najcenniejsza: maszyna do pisania.

© ALEKSANDRA RADECKA

Autorka jest polonistką w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych w Kaliszu Pomorskim, absolwentką Podyplomowego Studium Dziennikarstwa UW. Píše biografie Jana Papugi.

CZY UCZYMYSIĘ NA BŁĘDACH

Przekonanie, że przeciwności,
trudne wydarzenia i wnioski wyciągane
z popełnianych błędów prowadzą do mądrości,
jest głęboko zakorzenione w wielu kulturach.
A co mówią na ten temat badania psychologów?

EWA SMOŁKA

WPISANIE W GOOGLE HASŁA *famous failures* (ang. znane porażki) skutkuje wyszukaniem wielu artykułów niezmiennie opisujących... historie sukcesów. Znajdziemy wśród nich Beyoncé, która jako dziecko przegrała w programie młodych talentów, czy Winstona Churchilla, który dwukrotnie nie dostał się do Królewskiej Akademii Wojskowej. W takich historiach początkowe porażki przerodziły się w sukcesy, a autorzy często już w tytule zapowiadają, że mają one czytelników zainspirować.

W takich zestawieniach nie chodzi jednak tylko o to, że porażki na starcie nie wykluczają późniejszego sukcesu, co ilustrują przytoczone historie. Często można natrafić na silniejszą opinię, iż to właśnie niepowodzenia ten sukces budują. Bo to, co trudne i nieprzyjemne, zawiera podobno ważne lekcje. Czy tak jest w rzeczywistości?

Lekcja mądrości

Przekonanie, że przeciwności i trudne wydarzenia prowadzą do mądrości, jest głęboko zakorzenione w wielu kulturach. Trudno tu jednak o uniwersalne wnioski, również ze względu na to, że istnieją różne rodzaje trudności.

Uważa się często, że bolesne wydarzenia życiowe prowadzą do zaburzenia dotychczasowego postrzegania siebie i świata. Takie „zachwianie sensu” z kolei tworzy konieczność reewaluacji, zbudowania nowych perspektyw patrzenia na siebie i życie. Heidi Igarashi ze współpracownikami przeprowadziła wywiady z mężczyznami i kobietami w średnim i starszym wieku, z których wynikało, że większość badanych w obliczu trudnego zdarzenia życiowego (takich jak śmierć bliskiej osoby, rozwód, utrata pracy, choroba) istotnie doświadczyła tego rodzaju zachwiania dotychczasowych znaczeń i przekonań. Co więcej, z badań tych, opisanych w 2018 r. w czasopiśmie „The Journals of Gerontology”, wynika, że owe trudne wydarzenia rzeczywiście mogły prowadzić do mądrości rozumianej jako rozwój samowiedzy i współczucia, większa akceptacja niepewności, a także większa zgoda na złożoność i niejasność życia. Istotne było jednak, czy trudnym doświadczeniom towarzyszył określony rodzaj kontaktów społecznych, w kontekście których mogły

nastąpić refleksja i zdobywanie nowych perspektyw.

Życiowe trudności często spadają na nas niezależnie od naszych decyzji czy wyborów. Inną świetną okazją do nauki, jak również można często usłyszeć, są popełniane przez nas błędy. Nie są one czymś, co nam się po prostu przydarza, więc może się здаwać, że niosą szczególną szansę na lepsze działanie w przyszłości.

Widząc, że jakieś działanie nie przynosi skutku (np. nie da się w taki sposób uruchomić danego urządzenia, załatwić jakiejś sprawy), dopasowujemy swoje zachowanie i próbujemy czegoś innego. Takie uczenie się na podstawie prób i błędów – zastępowanie zachowania, które nie pozwoliło osiągnąć celu, innym – jest typowe nie tylko dla ludzi, ale również dla zwierząt. Uczymy się powtarzać to, co prowadzi do pożądanego celu, i rezygnować z tego, co nie działa. Jednak co, jeśli sytuacja jest bardziej skomplikowana? Czy badania naukowe uniwersalnie wspierają powszechne w kulturze przekonanie, że uczymy się na błędach?

Mierzenie się z porażką

Badaczki motywacji oraz uczenia się na błędach, Lauren Eskreis-Winkler oraz Ayelet Fishbach, zaprojektowały grę „mierzenia się z porażką” i wykorzystały ją w serii eksperymentów, w których osoby badane miały wybierać poprawną odpowiedź na zadawane pytania z dwóch dostępnych opcji. Przy czym pytania mogły być trudne: dotyczyły np. znaczenia jakiegoś piktogramu z egzotycznego języka. W praktyce badani często więc musieli zgadywać.

W fazie uczenia się, od razu po udzieleniu odpowiedzi na pytanie, badani otrzymywali informację zwrotną – czy odpowiedzieli poprawnie, czy nie. Z logicznego punktu widzenia obie te wskazówki miały taką samą wartość informacyjną: pozwalały dowiedzieć się, która z dwóch odpowiedzi jest prawidłowa.

W fazie eksperymentalnej gracze odpowiadali na pytania dotyczące tych samych treści, które były prezentowane w fazie uczenia się. Tym razem pytania miały inną formę, ale ważne było to, że w fazie uczenia się można było poznać na nie odpowiedź – dzięki informacji o tym, czy udzieliło się wówczas poprawnej czy błędnej odpowiedzi. Autorki badań interesowało, czy dla skuteczności uczenia się

Festiwal surferów
Quiksilver w południowo-
zachodniej Francji.
30 września 2023 r.

→ znaczenie będzie miało to, jak uczestnicy badań odpowiadali w fazie testowej.

Okazało się, że badani znacznie mniej uczyli się na podstawie błędnych odpowiedzi (i informacji zwrotnej o odpowiedzi poprawnej) niż na podstawie odpowiedzi poprawnych (i uzyskania potwierdzenia). Prawidłowość ta utrzymywała się, kiedy nauczanie się na podstawie błędu wiązało się z nagrodą pieniężną, kiedy pytania dotyczyły różnych dziedzin, w tym dziedziny znaczącej dla badanego, a w niektórych wariantach eksperymentu badani nie uczyli się na błędach zupełnie niczego.

Jednym z wyjaśnień tych zjawisk może być to, że wyciągnięcie wniosku z negatywnej informacji zwrotnej jest bardziej skomplikowane niż z potwierdzenia prawidłowej odpowiedzi. Informacja zwrotna o prawidłowej odpowiedzi nie wymaga interpretacji: znamy prawidłową odpowiedź. Informacja zwrotna o błędnej odpowiedzi, nawet jeśli jasno wskazuje na prawidłowe rozwiązanie, wymaga zaangażowania zasobów poznawczych: zrozumienia, że jeśli ta odpowiedź jest błędna, to druga musi być prawidłowa.

Gdyby jednak brak uczenia się na błędach można było wyjaśnić tą potrzebą opracowania informacji zwrotnej (czyli większym obciążeniem poznawczym), powinniśmy oczekiwać podobnych prawidłowości w sytuacji, gdy badani mieli szansę uczyć się, obserwując, jak inne osoby biorą udział w eksperymencie. Tak jednak nie było: kiedy osoby badane przechodziły fazę uczenia się polegającą na obserwowaniu kogoś innego grającego w grę „mierzenia się z porażką”, uczenie się na podstawie błędów było równie efektywne, co uczenie się na podstawie prawidłowych odpowiedzi. Na podstawie tych badań moglibyśmy pokusić się więc o następujące podsumowanie: tak, uczymy się na błędach – ale najłatwiej na cudzych.

Dlaczego w grze „mierzenia się z porażką” ludziom tak trudno było wyciągać wnioski ze swoich błędów i informacji zwrotnych o nich? Autorki tej gry wskazują, że kluczową różnicą między tymi dwiema sytuacjami może być zaangażowanie własnego ja (ego). Informacje

o błędach zagrażają ego, dlatego też ludzie wycofują się w sytuacji niepowodzenia. Niepowodzenia mogą mieć negatywny wpływ na poczucie kontroli („nieważne, jak się staram, nic to nie daje”).

Jedna z koncepcji psychologicznych – tzw. model kluczowych motywów społecznych – przyjmuje, że jesteśmy z natury motywowani do wzmacniania własnego ja (czyli m.in. widzenia siebie w pozytywnym świetle), a także posiadania wpływu na otoczenie, podobnie jak jesteśmy motywowani do tego, aby przynależeć do grupy czy rozumieć swoje otoczenie. Obserwowanie cudzych błędów pozwala „pozbyć się ego” z sytuacji i rzeczywiście skupić się na nauce i wyciąganiu wniosków. Czy jest jednak coś, co może ułatwić ludziom uczenie się na własnych błędach?

Uratować ego

Kiedy orientujemy się, że popełniliśmy błąd, możemy dewaluować siebie, swoje poczucie skuteczności i kontroli („nie uda mi się”). Alternatywnie, możemy zacząć dewaluować zadanie, w którym ponieśliśmy porażkę: zacząć postrzegać je jako mniej ważne w ogóle albo nieistotne dla siebie. Na taką utratę zaangażowania szczególnie narażeni są początkujący w jakiejś dziedzinie. Osoby zaawansowane w danej dziedzinie są bardziej odporne na negatywne informacje zwrotne, gdyż mogą się oprzeć na przekonaniu o swoich kompetencjach czy wiedzy.

Są jednak inne sposoby niż bycie ekspertem, chroniące przed utratą zaangażowania w konfrontacji z błędem. Samo postrzeganie błędów jako szans na naukę, czy też postrzeganie, że mamy możliwości, aby poradzić sobie z trudnościami, może ochronić ego przed demotującym wpływem informacji o błędzie. Ludzie, którzy nie patrzą na błędy jak na diagnozę swoich możliwości, ale część procesu, rzadziej poddają się w obliczu niepowodzenia.

Kyla Haimovitz i Carol Dweck zbadały przekonania grupy rodziców na temat porażek, chcąc rozróżnić rodziców, którzy uważają, że porażka jest czymś niszczącym, od rodziców wierzących, że porażka może być wzmacniająca. Jed-

nym z wniosków płynących z ich badań (opisanych w 2016 r. w „Psychological Science”) było to, że te rodzicielskie postawy dotyczące porażek mają wpływ na przekonania dzieci dotyczące własnych zdolności poznawczych.

W skrócie, dzieci rodziców, którzy widzą porażki jako zagrażające, mają tendencję do tego, aby patrzeć na swoje zdolności poznawcze jako z góry ustalone, co z kolei wiąże się z tym, że w obliczu trudności kwestionują swoje zdolności, poddają się i w konsekwencji osiągają mniej. Natomiast dzieci, które patrzą na swoje zdolności poznawcze jako coś, co można kształtować poprzez pracę i odpowiednią strategię, przy napotkaniu trudności często wkładają więcej wysiłku, co w ostateczności ma większą szansę doprowadzić je do osiągnięcia i nauczania się więcej. Jednym z czynników, który prowadzi dzieci do takiej właśnie postawy, jest przekonanie rodziców, że porażka nic nie przekreśla i może nawet czegoś nauczyć.

Nie tylko ludzie

Istnieje więc wiele uwarunkowań sprawiających, że trudno jest się uczyć na błędach własnych, jednocześnie wydaje się, że stosunkowo łatwo jest uczyć się na błędach innych.

Ludzie regularnie naśladują i powtarzają zachowania innych osobników swojego gatunku. Uczenie się od innych pozwala na znacznie szybsze poznanie sposobów osiągnięcia danego celu niż postępowanie metodą prób i błędów. Prawie wszystko, co robimy, wykracza poza wiedzę, jaką mogliśmy nabyć sami w zakresie własnego doświadczenia: opieramy się na wiedzy i technologiach wypracowanych przez pokolenia.

Jednak wbrew temu, co jeszcze do niedawna twierdzono, ta zdolność uczenia się od innych złożonych rozwiązań, których jednostka sama nie jest w stanie opracować, nie jest zarezerwowana tylko dla ludzi. Dotyczy to także całkiem złożonych zachowań. Makaki japońskie na wyspie Kojima stworzyły i, na przestrzeni kilkudziesięciu lat, udoskonały techniki mycia batatów z piasku i moczenia ich – najwyraźniej dla smaku – w słonej wodzie. W marcu tego roku Edwin van Leeuwen i współpracownicy wykazali w „Nature”, że szympansy potrafią nauczyć się od innego osobnika (wytrenowanego w tym zadaniu)

rozwiązania kilkuelementowej łamigłówki, którego nie były w stanie znaleźć same. W tym samym numerze „Nature” ukazał się raport z badania przeprowadzonego przez zespół Larsa Chittki, który pokazał, że nawet trzmiele w analogiczny sposób mogą nauczyć się otwierać pudełko z jedzeniem (obserwując wytrenowanego trzmieľa). Wiele zwierząt jest ewolucyjnie wyposażonych do uczenia się od innych przedstawicieli swojego gatunku.

Równie istotne dla efektywnego działania – a czasem przetrwania – może być niepowtarzanie zachowania, które miało niepożądane skutki, i zastosowanie innego – czyli uczenie się na błędach innych. Co więcej, łatwo sobie wyobrazić, że niepowtarzanie błędów może być nawet bardziej znaczące dla przetrwania niż uczenie się zachowań przynoszących dobre efekty. Również takie uczenie się na błędach innych nie jest unikalnie ludzkie. Hika Kuroshima wraz ze współpracownikami postanowili zbadać, czy małpy kapucynki potrafią uczyć się na błędach innych. Kiedy kapucynki obserwowały, jak inna małpa otwiera pojemnik ze smakołykiem nieskutecznie, potrafiły wywnioskować prawidłowe rozwiązanie na podstawie porażki innego osobnika. Nie uczyły się jednak na błędach, kiedy popełniał je eksperymentator – człowiek.

Na światło dzienne

Uczenie się poprzez obserwowanie i modyfikowanie zachowania innych jest potrzebne do przetrwania osobników i tworzenia kultury. Zaś istotnym aspektem uczenia się od innych jest uczenie się na ich błędach.

Żeby to mogło nastąpić, musimy jednak mieć dostęp do błędów innych ludzi. Jako ludzie posługujemy się mową, więc nie musimy nawet obserwować, jak ktoś popełnia błąd, czy być w danej sytuacji – wystarczy, że o tym usłyszymy. Jednak ludzie mają dobre powody, aby o błędach nie mówić. Częściowo pewnie są to te same powody (zagrożenie dla ego), które sprawiają, że tak trudno jest się uczyć na własnych błędach. Lecz wydaje się, że na ujawnianie lub ukrywanie błędów znacząco muszą wpływać także inne czynniki – związane z tym, jak błędy postrzegane są w danej strukturze i jakie wiążą się z nimi konsekwencje.



NANO CALVO / GETTY IMAGES

Ludzie, którzy nie patrzą na błędy jak na diagnozę swoich możliwości, ale część procesu uczenia się, rzadziej poddają się w obliczu niepowodzenia.

Czynniki kulturowe – to, jak traktuje się błędy w danej organizacji, instytucji, rodzinie – mają duży wpływ na to, czy ludzie są skłonni swoje błędy ujawniać. Postrzeganie błędów jako szans na naukę, a także przejrzyste ich raportowanie, jest bardziej powszechne w organizacjach o określonej kulturze, charakteryzującej się normalizacją błędów i niepowodzeń. W takich organizacjach niepowodzenia postrzega się jako normalne wydarzenia, część drogi do osiągnięcia celu. Takie postrzeganie niepowodzeń i błędów wspiera myślenie o porażce i przeanalizowanie jej rzeczywistych przyczyn. Kultura normalizacji błędów sprzyja również przejrzystości w raportowaniu błędów i zagrożeń: przedstawianiu wszystkich faktów, a także własnego w nich udziału. To z kolei zmniejsza szansę na to, że nieujawniane błędy będą powtarzane przez innych.

Przykładem takiej kultury może być *just culture* – system postępowania z błędami stosowany np. w lotnictwie. Podstawowe założenie *just culture* jest takie, że błędy ludzkie są nieuniknione. W związku z tym zarządzanie systemem musi uwzględniać ten czynnik poprzez stałe monitorowanie i doskonalenie. Błędy postrzegane są w kontekście działania całej organizacji – nie tylko w kon-

tekście działania jednej osoby. Wady organizacji są natomiast postrzegane jako szansa na doskonalenie. Problemy, błędy i zagrożenia rozpatrywane są więc w kategoriach szukania rozwiązań, a nie winnych. Od pracowników wymaga się niezwłocznego raportowania błędów i zagrożeń, gwarantując atmosferę zaufania – nawet nagradzając takie raporty. Aby to działało, potrzebne są jasne i powszechnie znane zasady wyznaczające to, co dopuszczalne i niedopuszczalne. Człowiek bowiem ponosi odpowiedzialność, jeśli świadomie naruszył zasady bezpieczeństwa, ale nie jest karany za nieumyślne błędy. To ostatnie kryterium wydaje się szczególnie znaczące w kulturze mającej wspierać odpowiedzialność za swoje czyny i transparentność.

Docenmy błędy

Kiedy ludzie odwracają uwagę od niepowodzeń i popełnionych błędów, pozbawiają się możliwości nauki i wyciągania wniosków z istotnej części swoich doświadczeń. Ludzie z łatwością dostrzegają wartość w prawidłowym rozwiązaniu, mają natomiast tendencję do niedostrzegania informacji kryjącej się w rozwiązaniu błędnym. Nawet jeżeli w danym problemie informacja o niewłaściwym rozwiązaniu wnosi obiektywnie najwięcej, wciąż mamy tendencję, by nie doceniać jej wartości. Poza emocjonalnymi obciążeniami związanymi z opowiadaniem o błędzie i niepowodzeniu, jest to prawdopodobnie kolejny ważny powód, dla którego o niepowodzeniach rozmawia się znacznie mniej niż o sukcesach: ich wartość informacyjna czy edukacyjna nie jest tak oczywista.

Ujawnienie własnego błędu może wiele kosztować. Ale jeśli nie będziemy ujawniali tego, co poszło nie tak, inni nie dowiedzą się, czego należałoby unikać. Pod tym względem historie osób, które odniosły sukces, zawierające opis ich błędów czy porażek, mogą stanowić zdecydowanie więcej niż inspiracyjną ciekawostkę. Kiedy błędy i niepowodzenia są ujawniane, kiedy się o nich mówi, społeczeństwo korzysta. Można więc pomóc ludziom i organizacjom uczyć się na błędach i niepowodzeniach poprzez tworzenie kultury, która traktuje błędy jako szansę dla wszystkich. Kultury, w której oplaca się przyznawać do błędów.

© EWA SMOŁKA

Prenumerata „Tygodnika Powszechnego”?

Nareszcie dobry pomysł na wiosnę!



TYGODNIK POWSZECHNY

Tak, wiemy,
ta oferta to
dość dużo słów,
ale zaufajcie nam,
warto doczytać ją
do końca! Zresztą
– będzie ciekawie,
bo w „Tygodniku
Powszechnym”
wiemy, jak
przykuwać uwagę.

Szanowni Państwo,
Drodzy Czytelnicy!

Wraz z nadejściem kalendarzowej
wiosny przedstawiamy
świetną ofertę prenumeraty
„Tygodnika Powszechnego”.

Ale uwaga! Adresujemy ją do nowych
Prenumeratorek i Prenumeratorów
i jest ograniczona czasowo – potrwa
tylko cztery tygodnie, a konkretnie
od Wielkiej Środy 27 marca
do 23 kwietnia (włącznie), dlatego
warto skorzystać z niej od razu. Niby
dużo czasu, ale wiadomo, że wiosna
mija szybciej niż inne pory roku,
prawda? Szkoda byłoby zmarnować
taką okazję! (Mówimy o wiosnie
oraz o prenumeracie).

Zachęcamy Was do prenumeraty,
ponieważ to dzięki Wam, naszym
Czytelniczkom i Czytelnikom,
jesteśmy suwerenni. Przetrwanie
pisma zależy od Was, a nie od
władz politycznej czy
zawirowań w światowej gospodarce.

Prenumerując „Tygodnik Powszechny”,
macie pewność, że znacząco
przyczyniacie się do tego, że nasze
publikacje są niezależne, a autorzy
mają swobodę pisania i robią to
tak, jak lubią, czyli obiektywnie,
z szacunkiem dla faktów, podejmując
sprawy najważniejsze.

Stając się naszymi prenumeratorami,
współuczestniczycie w naszej
misji, a brzmi ona tak:
„Odważnie prowadzimy Czytelniczki
i Czytelników przez świat.
Zachęcamy do patrzenia na
rzeczywistość z różnych perspektyw.
Poszerzamy horyzonty myślenia
i wolności. Traktujemy prawdę
jako wartość nadrzędną.
Szanujemy innych i nie zamykamy się
na dialog. Wierzymy, że świat da się
naprawić”.

No ale co z tą naszą propozycją?
Przejdźmy do konkretów, bo przecież
obiecaliśmy Wam świetną ofertę
prenumeraty, skrojoną specjalnie
na wiosnę 2024.

TWOJA PIERWSZA PRENUMERATA. TAK JĄ ZAMÓWISZ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Mateusz
Chmielowski w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ

CENA

Z WYSYŁKĄ
EKONOMICZNĄ

Z WYSYŁKĄ
PRIORYTETOWĄ

■ Kwartał – 13 wydań plus jedno Wydanie Specjalne gratis!	160 zł	200 zł
■ Rok – ~~52 wydania~~ 60 wydań , czyli 2 miesiące gratis!	550 zł	680 zł
■ Rok – ~~52 wydania~~ 60 wydań , czyli 2 miesiące gratis w ofercie POKOLENIA*	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



HUMOR I FURIA

Przez dwie dekady Terry Pratchett niepodzielnie rządził brytyjskimi księgarniami. Napisał ponad 50 bestsellerów, które sprzedawały się w ponad 100 milionach egzemplarzy. Właśnie ukazał się po polsku zbiór jego młodzieńczych opowiadań.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



JEFF MORGAN 12 / ALAMY / BE&W

WKORYTARZU MUZEUM ARCHEOLOGICZNEGO w angielskim Salisbury w 2017 r. wisiały dwa obrazki. Opowiadały całą historię straty i rozpacz, jaka wiązała się z chorobą, która dotknęła jednego z najpopularniejszych pisarzy w historii języka angielskiego.

Pierwszy z nich, pochodzący z przełomu lat 80. i 90. zeszłego wieku, przedstawia średnio-wiecznego księcia na koniu. Jego płaszcz powiewa za nim jak pawie pióra, jego zbroja wydaje się lśnić tysiącem metalowych krążków. Uprząż konia, potężnego rycerskiego perszerona, jest bogato zdobiona heraldycznymi wzorami.

Drugi obrazek, datowany na 2010 r., był prostą próbą narysowania zegara – zakończoną niepowodzeniem. Cyferblat nie pokrywa się z obrysem. Wskazówka, położona gdzieś z boku tarczy, wydaje się nie wskazywać żadnej godziny. A dwa zdania, napisane drżącą ręką poniżej, są zupełnie nie do odcyfrowania.

Tak, w ciągu zaledwie 20 lat, mózg autora obu ilustracji, Terry'ego Pratchetta, zdradził jego samego.

Walec parowy

„Możesz poruszać takie tematy, jak natura wiary, polityka, a nawet wolność dziennikarska, ale jeśli dodasz do tego jednego nędznego smoka, zostaniesz nazwany pisarzem fantasy” – dziwił się Terry Pratchett podczas odbierania Medalu Carnegie w 2002 r.

Wystawa w Salisbury, zorganizowana wkrótce po śmierci pisarza w 2015 r., zawierała setki artefaktów – od miecza z domieszką żelaza meteorytowego, osobiście wykutego przez niego w ogrodku po otrzymaniu tytułu szlacheckiego (bo co to za szlachcic bez miecza), po list napisany przez 19-letniego Terence'a do J.R.R. Tolkiena (zachwyca się w nim nie „Hobbitem” czy „Władcą Pierścieni”, ale „Kowalem z Podlesia Większego”).

Najbardziej osobliwy z nich znajdował się jednak w gablocie tuż obok obu wspomnianych ilustracji: to pogięty kawałek elektronicznego złomu. Wszystko, co pozostało po niedokończonych powieściach, opowiadaniach, esejach. Umierający Pratchett, obawiając się losu Tolkiena, którego notatki posłużyły do wydawania nieskończonej liczby zbiorów, opracowań i „odnalezionych” opowieści, zażyczył sobie, by twardy dysk z jego komputera, zawierający niedokończone teksty, został publicznie rozjechany walcem ➔

Terry Pratchett na swojej farmie w okolicy Salisbury. Wielka Brytania, 2012 r.

→ drogowym. W 2017 r. ceremonialnego zniszczenia dokonał zabytkowy, parowy walec „Lord Jericho”. Zdaniem asystenta pisarza Roba Wilkinsa, maszyna wymazała w ten sposób 10 niedokończonych, zatytułowanych powieści i niezliczoną liczbę pomysłów, które mogły stać się założkami kolejnych.

Mogłoby się wydawać dziwne, że autor kojarzony zazwyczaj z literaturą lekką, łatwą i przyjemną – komediowymi, parodystycznymi powieściami o wiedźmach, smokach i golemach – mógł tak bardzo troszczyć się o czystość swojego literackiego dziedzictwa. Tyle że literatura Pratchetta (on sam mówił, że o „popelnianie literatury” „bywa oskarżany”), pomimo komicznego sztafazu, była czymś o wiele więcej.

Wielka Broda w niebie

„Problem polega na tym, że uważamy, że przeciwieństwem śmiesznego jest to, co poważne. W rzeczywistości, jak zauważył G.K. Chesterton, przeciwieństwem śmiesznego jest to, co nie jest śmieszne, a przeciwieństwem poważnego to, co nie-poważne. Benny Hill był zabawny i nie-poważny; Rory Bremner jest zabawny i poważny; większość polityków jest poważna, ale niestety nie zabawna. Humor ma swoje zastosowania. Śmiech może przedostać się przez dziurkę od klucza, podczas gdy powaga wciąż dobija się do drzwi” – tłumaczył Pratchett podczas odbierania Medalu Carnegie w 2002 r.

Przez ponad 20 lat Pratchett niepodzielnie rządził brytyjskimi księgarniami. Napisał ponad 50 bestsellerów – sama seria „Świat Dysku” składa się z 41 powieści – które po przetłumaczeniu na 43 języki sprzedały się w ponad 100 milionach egzemplarzy. Debiut, książkę „Dywan”, opublikował w 1971 r. w wieku 23 lat. Sprzedała się na tyle dobrze, że rzucił karierę lokalnego dziennikarza.

Pierwsze książki – jak wydany w 1983 r. „Kolor magii” czy jego kontynuacja „Blask fantastyczny” były zabawne, popularne, ale trudno było zarzucić im dużą głębię. Autor szybko jednak znudził się prostym parodiowaniem fantastycznych schematów. Już trzecia powieść serii „Świat Dysku”, wydane w 1987 r. „Równoumagiczne” jest historią o równoprawieniu i walce o prawa kobiet. Wydany w tym samym roku „Mort” – o śmierci, obowiązku i odkupieniu.



■ POCIĄNIĘCIE PIÓRA.

ZAGINIONE OPowieści
przetł. Piotr W. Cholewa,
Prószyński Media,
Warszawa 2024
W naturze wszystko zatacza kręgi. Najwyraźniej w literaturze też. Książka, która może być ostatnią zawierającą „nowe” opowieści jednego z najpopularniejszych pisarzy ostatnich 30 lat, jest powrotem do jego korzeni. ©

W kolejnych książkach Pratchett coraz odważniej sięgał do problemów naszej rzeczywistości, uwypuklonych przez fantastyczne dekoracje. Opowiadał o naturze władzy, sprawiedliwości, zemsty, żałoby.

I religii, bo wiara była dla Pratchetta tematem kluczowym dla zrozumienia człowieczeństwa. Choć on sam był, jak to nazywał, „tradycyjnym ateistą, pogniwanym na Boga za to, że ten nie istnieje”, tematy religii powracały w jego tekstach regularnie. Arcydziełem tego wątku jego twórczości są „Pomniejsze Bóstwa”. Powieść, w której Wielki Bóg Om – gniewne, potężne bóstwo, którego wyznawcy bezwzględnie prześladowują niewiernych – budzi się pewnego ranka pod postacią małego, bezbronnego zółwia. Bóg przekonuje się, że pomimo iż jego Kościół jest wszechmocny i pełen przepychu, brakuje w nim jednej rzeczy: już nikt nie wierzy w niego samego. Zamiast tego wyznawcy Oma wierzą w instytucję. Religia zajęła miejsce boga.

Ostatnim, który zachował prawdziwą wiarę, jest młody i niezbyt bystry nowicjusz Brutha. Dzięki niemu Om przechodzi ewolucję – od brutalnego bóstwa rodem z greckich mitów czy bardziej krwawych części Starego Testamentu, do współczującego, troskliwego opiekuna najsłabszych.

„Wiele listów, które otrzymuję na temat tej książki, można podzielić na dwie kategorie: 1) od pogan, którzy twierdzą, że atakuje ona religie »Wielkiej Brody w niebie« i 2) chrześcijan, którzy twierdzą, że to niesamowicie prochrześcijańska książka – pisał. – Podejrzewam, że prawdą jest to drugie, bo Brutha jest przy-

kładem tolerancji, współczucia, miłosierdzia, wytrwałości i wiary, a te są obecnie uważane za cnoty chrześcijańskie (czyli takie, o których współcześni chrześcijanie sądzą, że powinni je posiadać)”.

Imiona monstrum

„Grzech, młody człowieku, jest wtedy, kiedy traktujesz ludzi jak rzeczy. W tym samego siebie” – napisał w powieści „Carpe Jugulum”. Współczucie, tolerancja, miłosierdzie i wytrwałość – to cechy wielu spośród centralnych postaci powieści Pratchetta. Nawet jeśli tymi postaciami są upadły anioł Crowley z „Dobrego Omenu” czy cyniczny policjant Vimes z serii powieści o Straży Miejskiej fantastycznej aglomeracji Ankh-Morpork. Ale jest jeszcze jedna cecha, która łączy te postaci i ich autora: furia. Głęboki, nie dający się ugasić gniew na niesprawiedliwość świata.

„Wydaje mi się, że ta złość wynika z głębokiego poczucia Terry’ego dotyczącego tego, co jest sprawiedliwe, a co nie. To właśnie poczucie sprawiedliwości leży u podstaw jego książek – pisał tuż przed śmiercią Pratchetta jego przyjaciel i współautor „Dobrego Omenu”, Neil Gaiman. – Burzy się przeciw głupocie, niesprawiedliwości i krótkowzroczności. A ręka w rękę ze złością, jak anioł i demon odchodzący w stronę zachodzącego słońca, idzie miłość: do człowieka, w całej jego omylności; do naszych skarbów, do opowieści, a ostatecznie i we wszystkim – umiłowanie godności ludzkiej”.

Ten bunt nasilał się przez całe życie autora. Jego późniejsze książki, choć wciąż pełne jego błyskotliwego humoru, są coraz mroczniejsze. Zwłaszcza od chwili, gdy w 2007 r., w wieku 59 lat dowiedział się, że cierpi na rzadką wersję choroby Alzheimera, która stopniowo odbierze mu zdolność tworzenia. Mówił w nich o niewolnictwie, terroryzmie, fanatyzmie i wszechogarniającej chciwości. Furia nie jest już czymś skrywającym się głęboko pod forniem humoru. Jak wulkan wybija się na powierzchnię, jakby autor, świadomy zbliżającego się końca, chciał jeszcze raz, z pełną siłą powtórzyć swoje lekcje. Bohaterowie, jak to bywa w fantasy, zabijają potwory. Ale potwory to nie mityczne monstra. Potworami jesteśmy my sami. Chciwość, żądza władzy, a przede wszystkim obojętność na cierpienie innych. To u Pratchetta w monstrum może zmienić każdego.

Ludzkie historie

Juwał Noah Harari całkiem niedawno pisał, że podstawą sukcesu naszego gatunku jest umiejętność wyobrażania sobie nieprawdy. Tworzenia „porządku wyobrażonego”, w którym normy społeczne wynikają z wyznawania tych samych mitów. Mitów takich jak przekonanie o istnieniu uniwersalnych i odwiecznych zasad. „Jedynym miejscem, w którym takie uniwersalne zasady istnieją, jest płodna wyobraźnia *homo sapiens* oraz mity, jakie ludzie wymyślają i sobie opowiadają. Zasady te nie mają wartości obiektywnej (...) Porządki wyobrażone nie są niecnymi spiskami ani czczymi mrzonkami. Są raczej jedynym sposobem, w jaki wielka liczba ludzi może ze sobą skutecznie współpracować” – pisał w „Sapiens: od zwierząt do bogów” (2017). Słowem: to historie, które opowiadamy sobie – i o sobie – leżą u podstaw tego, co to znaczy „być człowiekiem”.

Podobnie myślał Pratchett, dlatego pewnie nie czuł potrzeby tłumaczenia się z tego, że jest „tylko” pisarzem fantasty. Nazywał fantastykę „ur-literaturą” – twórczością, która leży u podstaw całej naszej kultury i cywilizacji. Epos o Gilgameszu, „Iliada” i „Odyseja”, wielkie mity i religijne teksty – one wszystkie opowiadają o ludziach, ich słabościach, ich walce, uwypuklając ją dzięki zastosowaniu nadprzyrodzonych, fantastycznych elementów. Jak pisał Chesterton, rolę fantastyki jest wzięcie tego, co codzienne i znajome, a co za tym idzie już dla nas niewidzialne, i pokazanie tego z nowego punktu widzenia tak, by odbiorca zobaczył to na nowo. Pratchett dodał do tego ogromną dawkę humoru. Choć skończył zaledwie liceum, mistrzostwo, z jakim posługiwał się językiem, stawia go w jednym rzędzie z arcy mistrzami brytyjskiej satyry, od Swifta i Dickensa, przez Wilde’a i P.G. Wodehouse’a. I tak jak u nich, humor pozwalał mu buntować się przeciw niesprawiedliwości bez popadania w sentymentalizm.

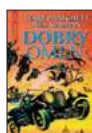
Od postawienia diagnozy w 2007 r. do śmierci w 2015 Pratchett zdążył ukończyć 15 powieści i zbiorów opowiadań. I pracował nad kolejnymi. Eksperymentalne terapie nie przynosiły rezultatów, a nigdy nie ukrywał, że jest zwolennikiem eutanazji i sugerował, że kiedy nie będzie już widział przed sobą przyszłości, wybierze właśnie taką drogę. „W pełni cieszę się życiem i mam nadzieję, że będę

Pratchett: od czego zacząć?



■ POMNIEJSZE BÓSTWA

Historia Boga, który przekonuje się, że niemal nikt w niego nie wierzy. Książka, która mogła być prostym szyderstwem z religii, jest poruszającą, głęboką opowieścią o naturze wiary, dobra i zła. Jednocześnie jest też jedną z najzabawniejszych książek w bibliografii autora. Trudno bowiem oskarżyć o pompatyczność powieść zawierającą barową bójkę między greckimi filozofami, podczas której istotną rolę odgrywa pingwin.



■ DOBRY OMEN

Gdy Niebo i Piekło postanawiają wreszcie poważnie zabrać się za Armageddon, w obronie ludzkości stają anioł i demon, którym na Ziemi w sumie całkiem się podoba. Nie spieszy im się też spędzać wieczności z harfą – lub, zależnie od tego, kto wygra wojnę – z widłami i garnkiem smoły. Błyskotliwa powieść, napisana wspólnie z Neilem Gaimanem, doczekała się ostatnio niezwykle popularnej ekranizacji. Warto jednak zacząć od oryginału.



■ MORT

Śmierć jest jedną z najciekawszych, najważniejszych i najbardziej... ludzkich postaci w książkach Pratchetta. Ponury Żniwiarz troszczy się o swoje „zboże” i okazuje głębokie zainteresowanie ludzkością z jej wszystkimi wadami oraz dziwactwami. Czasami jednak potrzebuje chwili oddechu. „Mort” to historia młodego chłopaka, który zostaje stażystą Śmierci. I radzi sobie najlepiej jak potrafi – czyli nieszczególnie.

to kontynuować jeszcze przez jakiś czas – pisał w 2009 r. – Ale mam też zamiar, zanim nadejdzie koniec gry, umrzeć, siedząc na krześle we własnym ogrodzie ze szklanką brandy w dłoni i Thomasem Tallisem na iPodzie – muzyka Thomasa potrafi choć trochę przybliżyć ateistę do Nieba – i może drugą brandy, jeśli starczy czasu”.

Mimo stopniowo pogarszającego się stanu, którego ilustracją był ów rysunek z pośmiertnej wystawy, pracował

niestrudzenie aż do końca. Według asystenta Roba Wilkinsa, ostatnie słowa spisał 5 grudnia 2014 r.: „Spędziliśmy dzień pracując nad jego biografią, kiedy zupełnie niespodziewanie powiedział mi: »Rob, Terry Pratchett nie żyje«. Odpowiedziałem »Terry! Popatrz na to, co napisałeś dzisiaj. To fantastyczne«. Odpowiedział: »Nie, nie, Terry Pratchett nie żyje«. Odszedł 12 marca 2015 r. Nie w ogrodzie ani w bibliotece, ale w swoim łóżku. Otoczony rodziną, z kotem Pongo śpiącym na poduszce obok.

Epilog Pratchett zamieścił na Twitterze: „Terry wziął Śmierć pod rękę i wyszedł z nim przez drzwi, na czarną pustynię w nieskończonej nocy. Koniec”.

Dobre buty

Ale to nie był koniec. Choć nie będzie już nowych czy raczej „odnalezionych utworów” Pratchetta (nie licząc zbiorów opowiadań, zamieszczonych przez młodego autora w rozmaitych czasopismach), to, co zdołał napisać za swojego życia, nadal jest czytane – i bywa ważne.

Nie chodzi tylko o ekranizacje, takie jak fenomenalnie popularna wersja „Dobrego Omenu” przygotowana przez Gaimana na potrzeby Amazona. Dwa lata temu brytyjska aktywistka Jack Monroe stworzyła – z błogosławieństwem rodziny autora – „indeks butów Vimesa”, który ma być wyznacznikiem tego, jak nierówność ekonomiczna i inflacja nieproporcjonalnie dotykają najuboższych. Nazwa bierze się z przemysłu Sama Vimesa – bohatera powieści „Straż, Straż”, który na przykładzie własnych dziurawych butów tłumaczy sobie, dlaczego biedni nie mogą wyrwać się z biedy. „Dobre buty wytrzymały lata, długie lata. Bogatego stać na wydanie pięćdziesięciu dolarów na parę butów, w których po dziesięciu latach wciąż będzie miał suche nogi. Tymczasem biedak, którego stać tylko na tanie buty, wyda w tym czasie sto dolarów – a nogi i tak stale będzie miał przemoczone” – pisał.

„Terry był nauczycielem. Takim, który sprawia, że się śmiejesz, ale jednocześnie zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co brałeś dotąd za pewnik, jest całkowicie błędne” – pisał Neil Gaiman. – Czuję gniew z powodu utraty przyjaciela i zastanawiam się, co Terry zrobiłby z tym gniewem. A potem podnoszę pióro i zaczynam pisać”. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Pawilon

PIOTR KOSIEWSKI

Oświęcim znajdzie się na liście miejsc ważnych dla każdego zainteresowanego twórczością wielkiego artysty. Tylko czy przyjazd tu po to, by kontemplować jego dzieła, nie jest zaprzeczeniem samej ich idei?

NA TERENIE MIĘDZYNARODOWEGO Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu wzniesiono pawilon, w którym znalazł się cykl obrazów Gerharda Richtera „Birkenau”. Wszystko jest w tym przypadku znaczące i prowokujące do dyskusji: lokalizacja, temat prac, wreszcie osoba artysty.

Richter to nie tylko najslawniejszy niemiecki artysta ostatnich dekad, ale i najgłośniejszy wśród żyjących dziś malarzy. W swym kraju stał się osobą-institucją, a szczególny status potwierdziło zamó-

wienie jego pracy do holu wejściowego dawnego gmachu Reichstagu, który po zjednoczeniu ponownie stał się siedzibą niemieckiego parlamentu. Richter zaprojektował monumentalne, ponad 20-metrowe dzieło oparte na niemieckich barwach narodowych – czerni, czerwieni i złocie. Zamówienie to znacząco ostateczne uznanie Richtera za narodowego artystę. W 2023 r. w Neue Nationalgalerie otwarto imponującą wystawę „Gerhard Richter. 100 prac dla Berlina” (będzie czynna do 2026 r.). Żaden inny niemiecki twórca nie doczekał się podobnego w swej skali uhonorowania.

Nie bez znaczenia dla postrzegania Richtera są ceny, jakie osiągają jego dzieła na rynku aukcyjnym. W 2015 r. w londyńskim Sotheby's jego „Abstraktes Bild” z 1986 r. został sprzedany za 46,3 mln dolarów. To była najwyższa cena, jaką uzyskała praca żyjącego artysty. W 2022 r. w nowojorskim Sotheby's pejzaż morski „Seestück” z 1975 r. sprzedano za 30,2 mln dolarów. Rok później na aukcji Christie's w Nowym Jorku „Abstraktes Bild” z 1993 r. osiągnął kwotę 36,5 mln dolarów.

Realizm kapitalistyczny

Richter urodził się w 1932 r. w Dreźnie. Dorastał w Reichenau (obecnie Bogaty-

nia), a potem w Waltersdorf, wsi przy granicy z Czechami. Jego dzieciństwo i dorastanie przypadło na czas wojny. Na froncie zginęli jego wujkowie Alfred i Rudi. Zamordowano siostrę matki – Marianne Schönfelder. Ojciec trafił do niewoli. Sam Richter w wieku 10 lat został wcielony do Deutsches Jungvolk, jednak nie zdążył służyć w Hitlerjugend.

Z wojny zapamiętał przemarsze wojsk, rozpacz bliskich na wiadomości o śmierci wujków, zabawy znalezionymi gdzieś karabinami, ale też bombardowanie stolicy Saksonii w lutym 1945 r. Po latach wspominał to jako szczególne wydarzenie: „W nocy wszyscy wyszli na ulicę naszej wioski odległej o 100 kilometrów. Drezno było bombardowane, teraz, w tej chwili!”. I to powiększona do monumentalnych rozmiarów reprodukcja obrazu Richtera przedstawiająca pojedynczą świecę – jako symbol odrodzenia – została zawieszona nad Łabą w 50. rocznicę alianckich bombardowań jego rodzinnego miasta.

Po wojnie Waltersdorf znalazł się w sowieckiej strefie. Gerhard Richter starał się o przyjęcie na studia w drezdeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przyjęto go dopiero w 1951 r. Po jej ukończeniu otrzymał nawet publiczne zamówienia. Jednak w 1961 r., dwa miesiące przed budową muru berlińskiego, z żoną Ma-



rianne uciekł do RFN. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie. W 1963 r., m.in. z poznanym na uczelni Sigmarem Polke, kolejnym ważnym malarzem dla niemieckiej sztuki ostatniego półwiecza, wziął udział w wystawie „Leben mit Pop – eine Demonstration für den kapitalistischen Realismus”. Uznano ją za manifest „realizmu kapitalistycznego”, będącego odpowiedzią zarówno na realizm socjalistyczny, jak i na amerykański pop-art. Młodzi artyści proponowali własną wersję realizmu, krytycznego wobec konsumpcjonizmu, krytycznego politycznie i społecznie. Twórczość Richtera zwróciła uwagę krytyków, ale też publiczności.

W latach 60. zaczyna tworzyć obrazy na podstawie czarno-białych fotografii. Znajduje je w książkach i czasopismach. Sięga również po rodzinne zdjęcia. Maluje zwierzęta i samoloty, portrety ludzi, miejskie, ale także alpejskie pejzaże. Najczęściej utrzymane w czarno-białej tonacji. Przedstawione na nich osoby czy rzeczy są często rozmazane, przetarte, jakby fotografie uległy przemyciu, a jednocześnie obrazy są perfekcyjnie wykonane, jakby artysta chciał stworzyć u oglądającego złudzenie kontaktu ze zdjęciami właśnie.

Richter sięga też do przeszłości swojej rodziny. Maluje portret wujka Rudiego

w mundurze Wehrmachtu czy ciotkę Marianne, uśmiechniętą, zajmującą się małym dzieckiem – padła ofiarą akcji T4, której celem było wymordowanie osób z niepełnosprawnością umysłową i fizyczną. Na podstawie znalezionej zdjęcia wykonuje również portret Wenera Heyde, lekarza-psychiatry, jednego z głównych organizatorów tej akcji.

Strzępy

Richter poruszał tematy rzadko wtedy obecne w niemieckiej sztuce. Przypominał o czasach nazistowskich, ale też dokumentował banalną codzienność RFN. Jakby próbował ująć wszystkie wymiary widzialnej rzeczywistości, zarówno ważne, jak i trywialne. Według tej zasady zaczął też w 1962 r. tworzyć „Atlas”, w którym przez dekady zbierał pochodzące z różnych źródeł fotografie, reprodukcje czy wycinki z gazet. „Starałem się zmieścić w nim wszystko, co znajdowało się gdzieś między sztuką a śmieciami, a co wydawało mi się jakoś ważne i szkoda było to wyrzucić” – tłumaczył po latach. W swej wizualnej encyklopedii zamieścił ponad cztery tysiące zdjęć, które odzwierciedlają różne fazy życia i twórczości artysty.

Już w latach 60. powstają szare monochromatyczne obrazy, w których artysta gra jedynie z różnymi fakturami kładzio-

Pawilon Gerharda Richtera „Birkenau” z zewnątrz i wewnątrz. Międzynarodowy Dom Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, 9 lutego 2024 r.

nej farby. A w 1976 r. po raz pierwszy nadaje swojemu obrazowi tytuł „Malarstwo abstrakcyjne”. „Abstrakcja to odskocznia od codzienności” – mówił potem. Przez kolejne dekady powstają płótna, które są wynikiem nakładania, a potem usuwania warstw farby, a na płótnie widać ślady narzędzi, ale też prace np. starannie odzwierciedlające wzorniki kolorów. Tworzył również dzieła z tafli szkła lub luster, czasami zabarwianych na inne kolory.

Jego twórczość prowokuje pytania o to, czym dziś może zajmować się malarstwo. Czy może ono pełnić funkcje społeczne i polityczne? W 2008 r. Richter zobaczył we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” reprodukcje czterech zdjęć z Birkenau przedstawiających m.in. nagie kobiety w drodze do komory gazowej czy palenie zwłok pod gołym niebem. Wykonali je z ukrycia członkowie Sonderkommando w sierpniu 1944 r. Fotografie te to jedyne takie znane świadectwo nazistowskich zbrodni popełnianych w Birkenau. Nie mówią one „całej prawdy” o horrorze, który tam miał miejsce – pisał Georges Didi-Huberman w głośnej książce „Obrazy mimo wszystko”. To tylko „malutkie próbki tak bardzo skomplikowanej rzeczywistości, krótkie chwile w kontinuum, które trwało co najmniej pięć lat. Ale są dla nas – dla naszego dzisiejszego spojrzenia – samą prawdą, tj. jej pozostałością, ubogim strzępem”.

Richter sporządził malarskie kopie tych fotografii. Później postanowił wykorzystać te obrazy jako podłoże do „Birkenau”. Jakby poprzez ten gest chciał powiedzieć, że w malarstwie figuratywnym nie sposób oddać grozy tego, co przedstawiają zdjęcia z 1944 r. Ostatecznie w 2014 r. powstała końcowa wersja tego cyklu: cztery wielkoformatowe abstrakcyjne płótna (260 na 200 cm każde). Pierwszy raz publicznie pokazano je w 2015 r. w drezdeńskiej Galerii Nowych Mistrzów. Od tego czasu były wielokrotnie eksponowane, m.in. w nowojorskim Metropolitan Museum of Art. Obecnie można je obejrzeć na wystawie „Gerhard Richter. 100 prac dla Berlina”.

W „Birkenau” Richter ponownie stawia kluczowe pytania o pamięć o Holokauście ➔



Gerhard Richter „Birkenau”, edycja fotograficzna, wydruk na metalu.

Poniżej: Gerhard Richter w Reichstagu podczas inauguracji serii malarskiej „Birkenau”.

Berlin, 4 września 2017 r.

→ i o niemiecką odpowiedzialność za tę zbrodnię. Także – o rolę malarstwa. Czy może ono nadal zmuszać do refleksji nad przeszłością i nad teraźniejszością? Przy czym, jak podkreśla wybitny historyk sztuki Benjamin H.D. Buchloh, artysta boleśnie zdaje sobie sprawę, że percepcja jego twórczości jest podporządkowana ekonomicznemu, bardzo spekulacyjnemu myśleniu. To ono zdominowało jego publiczne postrzeganie.

Wypatrywanie

O pracach odwołujących się do niemieckich zbrodni myślał wcześniej. W latach 90., przygotowując pracę dla Reichstagu, chciał wykorzystać fotografie dokumentalne z obozów nazistowskich, jednak ostatecznie porzucił ten pomysł. Dopiero w 2017 r. znalazła się tam fotograficzna edycja na szkło „Birkenau” (artysta od dawna traktuje takie edytorskie powtórzenia jako równorzędne dzieła). W 2020 r. inną edycję tego cyklu postanowił udostępnić Międzynarodowemu Komitetowi Oświęcimskiemu jako stały depozyt na wystawę w Oświęcimiu. Ostatecznie zdecydowano, że znajdzie się ona w specjalnie w tym celu zbudowanym



SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

pawilonie na terenie Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży, w miejscu niesąsiadującym bezpośrednio z obozem. Budynek, zaprojektowany przez samego artystę, niedawno udostępniono zwiedzającym.

Wzniesiono prosty, surowy pawilon, z jedną dużą salą wystawową. Na jednej ze ścian zawieszono cykl „Birkenau”. Na przeciwległej – osmiometrowe szare lustro. Są tu też kopie czterech zdjęć, które były impulsem dla powstania prac Richtera. W jednym miejscu znalazły się historyczne dokumenty i dzieła artysty. Jedne i drugie odbijają się w lustrzanych taflach, niepełne, trochę zniekształcone.

Patrzmy na abstrakcyjne prace utrzymane w odcieniach brązu, szarości i czerni, zieleni i czerwieni. Jednak pod warstwami farb, w obrazach, według których wykonano edycje, nadal tkwią przedstawienia namalowane przez artystę na podstawie zdjęć z 1944 r. Nie sposób uciec od pokusy wypatrywania ich śladów – widoków brzoźowego lasu, w którym wzniesiono obóz, ciał ofiar, płomieni. Patrzmy jednocześnie na odbicia prac Richtera w lustrze, jeszcze mniej wyraźne, przemieszane z postaciami zwiedzających. Przede wszystkim zaś na reprodukcje tych czterech zdjęć – nie do końca wyraźnych, bo robionych z ukrycia. Zapisu jedynie śladów dramatu, który w tym miejscu się rozgrywał.

Pawilon jest opowieścią o pamiętaniu i zapomnianiu, o fragmentaryczności naszej pamięci, niepewności i trudności. Jest jednak niebezpieczeństwo, że zostanie on uznany za pomnik wzniesiony samemu artyście. Na pewno bowiem Oświęcim znajdzie się na liście miejsc ważnych dla każdego zainteresowanego twórczością Richtera. Tylko czy przyjazd tu, by kontemplować dzieła artysty, nie jest zaprzeczeniem samej idei pawilonu?

Jest wreszcie jeszcze jedna ważna kwestia: artysta niemiecki mierzy się ze zbrodnią popełnioną przez jego współplemieńców. I robi to w tak szczególnym miejscu, jak Oświęcim, na terenie kraju, który padł ofiarą tej polityki. To bardzo trudna i budząca wiele emocji decyzja. Wiele zależy teraz od Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży – to jego działania w znacznej mierze zadecydują, czy pawilon będzie czymś więcej niż kolejną turystyczną atrakcją.

© PIOTR KOSIEWSKI



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Książki wczesnego ostrzegania

MONIKA OCHĘDOWSKA

Czy literatura może z wyprzedzeniem sygnalizować konflikty i kryzysy? Tak, tę kwestię zbadała międzynarodowa grupa literaturoznawców, wśród których jest prof. Monika Wolting.

ZACZĘŁO SIĘ OD LISTU, KTÓRY DZIESIĘĆ lat temu Jürgen Wertheimer, profesor literatury porównawczej z Uniwersytetu w Tybindze, wysłał do Ursuli von der Leyen (ówczesnej ministry obrony Niemiec, dziś przewodniczącej Komisji Europejskiej). Wertheimer napisał o działającej w Nigerii organizacji terrorystycznej Boko Haram, której celem stawały się szkoły. Boko Haram oznacza w języku hausa, że „wszystko, co zachodnie, jest złe i przeklęte”. Za „zachodnie”, bo utworzone przed ponad stu laty przez Brytyjczyków, dżihadyści z Boko Haram uważają samo nigeryjskie państwo, któremu wypowiedzieli wojnę (zob. teksty Wojciecha Jagielskiego o Boko Haram na powszech.net/bokoharam).

Wertheimer otrzymał zaproszenie z ministerstwa obrony i po dwóch latach rozmów literaturoznawców z politykami narodził się projekt Cassandra, którego celem stało się testowanie założenia, że analizowana pod pewnym kątem literatura mogłaby stać się systemem wczesnego ostrzegania przed podobnymi kryzysami jak ten w Nigerii.

Pierwszym zadaniem naukowców było udowodnienie, że powstanie Boko Haram oraz wojna w Kosowie byłyby możliwe do przewidzenia na podstawie literackich analiz. Jak się okazało, wczesne

sygnały w publikacjach pojawiły się na dobre 10 lat przed rozpoczęciem konfliktów. To dalece wyprzedzało istniejące systemy prognozowania zagrożeń.

Zadaniem zespołu miało być odtąd stworzenie metody, dzięki której literaturę można by wykorzystać do selekcji strategicznych danych, tak by powstała „mapa emocjonalna regionów kryzysowych”, zwłaszcza w Afryce i na Bliskim Wschodzie. Naukowcy opracowali system oceny ryzyka na bazie dziewięciu wskaźników. Były to: zasięg tematyczny, cenzura tekstu i cenzura spotykająca autora, reakcje mediów, ewentualne skandale towarzyszące publikacji, nagrody przyznane autorowi i samej książce, strategia narracyjna.

W 2017 r. uwagę literaturoznawców skupionych wokół projektu Cassandra zwróciła Algieria – kraj, który przeszedł dość spokojnie przez arabską wiosnę i był klasyfikowany jako „stabilny”. Trendy obecne w algierskiej literaturze wskazywały jednak na coś odwrotnego. Wiele spośród 300 poddanych analizie tekstów poruszało tematy podważające ówczesne status quo. Dwa lata później, w lutym 2019 r., w stolicy kraju, Algierze, i kilku innych miastach, wybuchły protesty obywatelskie, których kulminacją stała się dymisja prezydenta.

MONIKA OCHĘDOWSKA: W jednej z powieści Nicholasa Moyera znajdujemy dialog, w którym Sherlock Holmes wyznaje swojemu rozmówcy: „Szykuje się wojna w Europie, przecież to oczywiste”. Na co ten reaguje zdziwiony: „Skąd taki wniosek?”. „Ze stosunku między baronową Leinsdorf a jej przybranym synem” – odpowiada zuchwale detektyw.

MONIKA WOLTING: Tak, dokładnie w taki sposób staramy się pracować w zespole projektu Cassandra, choć nasze odkrycia nie są może tak sensacyjne. To żmudna praca literaturoznawców dostarczających analizy tzw. pokładów emocjonalnych przeczytanych tekstów. Przekazujemy je w ręce ludzi, którzy patrzą na nie, mając już na biurkach raporty socjologów, strategów militarnych itd. Dopiero na podstawie tych wszystkich materiałów powstaje teoria o potencjale konfliktu w jakimś regionie.

Dlatego najczęściej czytam książki dwa razy – raz dla przyjemności, a drugi raz według określonych kryteriów, wykluczając przy tym pokusę interpretacji.

Interpretacja jest niebezpieczna?

W interpretacji funkcjonujemy jako konkretni ludzie: zdradzamy swoją →

NEWSHA TAVAKOLIAN / MAGNUM PHOTOS / FORUM



Uczennice w muzułmańskiej szkole Future Prowess w Maiduguri. Nigeria, 19 października 2017 r.

→ tożsamość, osobowość, poglądy, stajemy się po prostu częścią czytanego tekstu. A jako naukowcy badamy to, co myślą, jak działają i jakimi emocjami kierują się inni.

I odpowiedzi na te wszystkie pytania znajdują się w fikcji?

Literatura jest bazą wiedzy o tym, co ukryte. Zdradza, o czym nie chcemy mówić głośno. To czyni z niej rodzaj sejsmografu. Praca autorek i autorów książek polega poniekąd na obserwowaniu tego, co dzieje się wokół, na podglądaniu i podsłuchiwanie ludzi albo na wyobrażaniu sobie tego, co naprawdę mogą myśleć ludzie, kiedy coś mówią. Na podstawie oglądu rzeczywistości autorzy i autorki tworzą swoje figury – postaci literackie. Czasami – o czym każdy z nas na pewno wielokrotnie słyszał – naprawdę nie wiemy, jaki będzie efekt końcowy, czyli finał historii. Ich figury rozwijają swoje życie, wchodzą w przeróżne konflikty. Działania tych figur stają się łańcuchem powiązanych ze sobą zdarzeń. Dla nas ciekawe jest właśnie obserwowanie tego, jak taka figura w ramach opowieści się rozwija. Jak działa, myśli, o czym śni.

Śledzą Państwo sny bohaterów literackich na użytek swoich analiz?

Tak, na przykład w powieściach Olgi Tokarczuk niezwykle istotne dla fabuły jest to, o czym śnią postaci. Ale oczywiście nie sądzimy, że pisarze i pisarki są jasnowidzami i mogą za sprawą swoich bohaterów czy ich snów spojrzeć w przyszłość. Potrafią po prostu rozpoznać pewne struktury myślowe i zapisać je w formie opowieści, a my próbujemy wejść w te opowieści za pomocą swojego klucza.

Jak działa ten klucz?

Szukamy w powieściach – albo wierszach czy piosenkach, bo te też badamy – słów określających emocje i nastroje społeczne, takich jak strach, niepokój, złość, ale także głód albo odczucie braku czegoś. Interesuje nas ból odczuwany przez bohaterów. Albo to, czy bohater wdaje się w kłótnie z innymi figurami. Czy ma sąsiadów, czy jest w małżeństwie albo związku – udanym, nieudanym? Niezwykle ważna jest także figura samego narratora, bo to on prezentuje nam świat.

I co dalej?

Mamy w literaturze nowy trend, który nazywam „**zranioną wolnością**”.

Pojawia się bohater niepodążający za żadnym przywódcą, kierowany wyobrażeniem o nieograniczonej autonomii.

Następnie porównujemy przeczytane teksty z tymi, które ukazały się 10-20 lat wcześniej. Sprawdzamy, czy doszło do jakichś zmian, co jest inaczej, czy jakieś tendencje słabną albo się nasilają.

A jeśli tak?

Jeżeli na przykład wcześniej nie było tak dużo tekstów o głodzie, strachu, nawiści albo niechęci, zaczynamy się tym głębiej interesować. I wtedy następuje najfajniejszy element pracy, bo kontaktujemy się już z konkretnymi ludźmi z danego regionu – autorami i autorkami, wydawnictwami, badaczami i badaczkami. To przywilej pracowników naukowych: możemy mieć kontakty wszędzie, wystarczy napisać do wybranego uniwersytetu na drugim końcu świata i na bank ktoś się odezwie, a reakcje i relacje są bardzo przyjazne. Dzięki tym kontaktom dowiadujemy się też o nowych tłumaczeniach albo książkach nigdy niewydanych.

Czyli analizują Państwo także te książki, które nigdy nie trafiły do rąk czytelników?

Tak i tutaj prosimy o pomoc koleżanki i kolegów, którzy podpowiadają, o czym są te książki. Czasem staramy się sięgnąć do manuskryptu, zdobyć kontakt do autorów. Jesteśmy w stanie czytać książki po angielsku, niemiecku, francusku, rosyjsku. Do innych języków potrzebujemy współpracowników, ale często mamy już po prostu „swoich ludzi” i chętnie korzystamy z recenzji.

To, co napisze recenzent, też ma znaczenie?

Tak, ponieważ recenzje ukierunkowują lekturę, wskazują nam różne zjawiska. Interesuje nas przede wszystkim to, jak recenzenci przedstawiają historię, co uznają na przykład za jej główny wątek.

To powiem jak recenzentka: w polskiej literaturze nieustannie obecna jest historia, głównie wojenna, ale też – szczególnie w twórczości dzisiejszych trzydziesto- i czterdziestolatków – transformacja ustrojowa. Mamy mocny zwrot ludowy, popularna jest eseistyka autobiograficzna dotycząca awansu klasowego, sporo piszemy o Ziemiach Zachodnich.

Brzmi to jak próba odnalezienia siebie w jakimś konkretnym miejscu, poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, gdzie i kim jestem. Własną tożsamość możemy odzyskać – czy uzyskać – przede wszystkim poprzez opowiedzenie sobie historii poszczególnych regionów, miejsc, domów, przedmiotów. Swego czasu robiła to Olga Tokarczuk i myślę, że to, o czym Pani mówi, jest podążaniem w wytyczonym przez nią kierunku. Wyróżnieni Międzynarodowym Bookerem „Bieguni”, którzy – co ciekawe – w języku niemieckim funkcjonują pod tytułem „Niepokój”, opowiadają przecież o tym, że choć szukamy, nie możemy znaleźć swojego miejsca w świecie.

A teraz zerknijmy do Andrzeja Stasiuka – on z kolei rozwijał w swoich książkach obraz Europy Środkowo-Południowej różniący się kulturowo od Europy Zachodniej czy Wschodniej. Nazwał ten region zapomnianym, uznanym za biedny i nieinteresujący, ale to w nim upatrywał dla nas szansy.

W języku niemieckim jest takie fajne powiedzenie, że mamy coś „na wysokości oka”. Oznacza ono, że nie czujemy się ani lepsi, ani gorsi od innych, że nikt na nas nie spogląda z góry. O to, jak sądzę, chodziło Stasiukowi – Polska nie musi cały czas zawstydzona spoglądać na Zachód, bo Zachód ma nas właśnie „na wysokości oka”. Zrozumienie tego byłoby kluczowe i wyzwalające dla naszej literatury, ale to już zadanie dla autorów i ich figur.

Tymczasem żyjemy – jak napisał ostatnio psycholog społeczny Michał Bilewicz – w Traumalandzie, a figury polskiej prozy są tęskniącymi

za Zachodem dziećmi lat 90.

Dlaczego nie dorastamy albo inaczej – nie wyrastamy z tego?

Prawdopodobnie nasze marzenia z dzieciństwa czy młodości, a więc właśnie czasów transformacji, okazują się niespełnione i próbujemy je – mając trzydzieści, czterdzieści lat – wciąż zrealizować. Ale myślę, że to jest dobra droga – przejście przez nią pozwoli na porządne zakorzenienie. Kiedy wiemy, gdzie jest nasz dom, możemy spokojnie wyjść w świat.

Proszę pamiętać, że literatura nie działa od razu, potrzebuje czasu na refleksję. W latach 90., o których Pani mówi, szybko popłynęliśmy z prądem zmian, nie patrząc na to, co za nami. Nie było, także w literaturze, próby mierzenia się z przeszłością. Może dopiero teraz nadszedł moment spojrzenia za siebie. Jest jeszcze coś: kiedy współczesna literatura opowiada zdarzenia wcześniejsze, to tylko te zdarzenia należą do przeszłości, emocje są dzisiejsze, jak najbardziej aktualne. Te dwie sfery należy odróżniać.

Jakie jeszcze nastroje można wyczytać ze współczesnej literatury?

Strach przed przyszłością. Wycofywanie się ze sfery publicznej do związków rodzinnych, przyjacielskich – w domu czujemy się najlepiej. Z drugiej strony mamy też figury odczuwające strach z powodu tego, że omijają je ważne zdarzenia i informacje ze świata. Teoretycznie możemy wszystko, ale nie mamy na to czasu, możliwości fizycznych albo intelektualnych. Monitorujemy social media, ale nie możemy być jednocześnie w tych wszystkich miejscach, które nas fascynują.

A jaki gatunek dominuje?

Zdecydowanie dystopie. Rosyjska literatura od wielu lat jest bardzo dystopijna. Weźmy powieści Sorokina, Jerojefiewa, Głuchowskiego – one są pełne dystopii. To opowieści o ludziach zawieszonych w pustce, którzy nie wiedzą, dokąd pójść, co zrobić, szukają jakiejś mocy, która przeprowadzi ich przez okres braku tożsamości. Dzieje się tak dlatego, że po rozpadzie Związku Radzieckiego nie wykształciła się w Rosji i jej literaturze nowa tożsamość, a to, co dzisiaj obserwujemy, to właśnie powrót do struktur XIX-wiecznej Rosji.



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. DR. HAB. MONIKA WOLTING

pracuje w Instytucie Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Zajmuje się estetyką i polityką, literaturą zaangażowaną, transkulturową i migracyjną, bada teksty literatury niemieckiej i polskiej. Jest członkinią zespołu pracującego nad projektem Cassandra.

Czy jest w literaturze na świecie jakiś wspólny element postrzegany jako zagrożenie?

Mamy zupełnie nowy trend, który można nazwać „zranioną wolnością”. Pojawia się w nim nowy bohater autorytarny – agresywny, destrukcyjny i wierzący w przesady, choć niepodążający za żadnym przywódcą. Kieruje się on nadmiernym wyobrażeniem o indywidualnej autonomii i wolności.

Bardzo często natykamy się też na opowieści o zagrożeniu zmianami klimatycznymi czy o dyktaturze zdrowia, niekoniecznie w związku z pandemią.

A co daje nam schronienie w dystopijnym świecie?

Dom i rodzina, o której już wspomniałam. Ale czy to jest pozytywne rozwiązanie? Nie wiem, to już byłaby interpretacja. Taka mała stabilizacja oznacza ucieczkę od polityki, rezygnację z wielkich tematów. Każdy uprawia swój ogródek, jak u Woltera, a to może być niebezpieczne.

Nie dostrzega Pani żadnych prób budowania wspólnoty?

Pojawiają się w literaturze postaci, które próbują samotnie ratować świat. Pojedyncze jednostki, które mają zupełnie inny system wartości niż społeczności, w których żyją, sprzeciwiają się wszystkiemu i walczą ze złem za pomocą swoich nadprzyrodzonych mocy albo sztucznej inteligencji.

O, nowy bohater romantyczny. Wiem, że będzie Pani uciekać od interpretacji, ale jestem ciekawa, co nam mówi o świecie nawrót narracji tożsamościowych, poszukiwanie w polskiej literaturze własnego miejsca?

Chyba mówi nam najwięcej o przyspieszeniu świata, które nas bardzo, bardzo męczy, fizycznie i psychicznie. Jest takie indiańskie powiedzenie, że dusza musi nadążyć za ciałem. Czasem – jak na wybieżce w górach – trzeba usiąść na kamieniu i poczekać na tę naszą towarzyszkę, pozwolić, by dusza dogoniła ciało. Myślę, że jesteśmy w momencie, kiedy musimy wreszcie usiąść na kamieniu.

A w polskiej literaturze był w ogóle moment, kiedy dusza dogoniła ciało?

Nawet jeśli był – nie nadaje się na powieść. Historia musi zawierać konflikt, on napędza figury do działania, musi wystąpić, żeby cokolwiek zaczęło się dziać.

Bo jeśli wszystko jest super, to pozostaje tylko coś zepsuć?

Tak, i dlatego utopie są w gruncie rzeczy niebezpieczne. Jeśli wychodzimy z założenia, że świat jest z natury poukładany, będziemy nieszczęśliwi, patrząc, jak wszystko wokół się rozpada.

A odwrócenie tej perspektywy mogłoby nas uszczęśliwić?

Życie ze świadomością ciągłego rozpadu na dłuższą metę także byłoby unieszczęśliwiające.

Odpowiem tak: snucie opowieści to bardzo stara potrzeba człowieka. Podczas opowiadania historii odnajdujemy siebie, swoją tożsamość, sens bycia w świecie. Może nawet przez moment jesteśmy szczęśliwi. I nie chodzi tu o konstatację tego stanu. Po prostu myślę, że kiedy figury opowiadają swoje historie, naprawdę są szczęśliwe.

©P Rozmawiała MONIKA OCHEŃDOWSKA

Kolekcja chwil

ANITA PIOTROWSKA

Wim Wenders napisał odę do analogowego, bezpośrednio doświadczanego życia. To zdecydowanie jego najlepszy fabularny tytuł od trzech dekad.



Japońska przygoda Wima Wendersa, niestrudzonego wędrowca kina, rozpoczęła się jeszcze w latach siedemdziesiątych. Odbyła się pod znakiem Yasujiro Ozu, którego niemiecki reżyser był wielkim admiratorem. Tym pierwszym wędrownikom poświęcił później dokument „Tokyo-Ga” (1985), gdzie tropił ślady uniwersalnej „rodziny człowieczej”, zaklętej w czarno-białych kadrach swego mistrza. Podczas kolejnych wypraw, m.in. przy okazji „Notatek o strojach i miastach” (1989), tamten pierwotny obraz stopniowo się zacierał. Dawne swojskie Tokio coraz bardziej przypominało zdehumanizowane miasto przyszłości.

Mimo to uzbrowiony w polaroid filmowiec uwieczniał zmieniającą się metropolię, zaliczył nawet niezapomnianą noc w hotelu kapsułowym. W trakcie tych pielgrzymek korzystał też pewnie z publicznych toalet, często intrygujących Europejczyków technologią, architekturą, dizajnem, wkomponowaniem w otoczenie. Niedawno wybudowano siedemnaście takich popisowych przybytków w ramach lokalnego projektu społecznego i w związku z tokijską olimpiadą. Początkowo Wenders miał nakręcić o nich zleceny dokument, ale fabularne „Perfect

Days” nie są bynajmniej peanem na cześć japońskich sanitariatów. To skromna oda do życia dobrze przeżytego czy raczej przeżywanego codziennie. Takiego, które satysfakcjonuje, tocząc się swoim trybem domyślnym, aczkolwiek warto czasem przełamać ów bezpiecznie powtarzalny „dzień świstaka”.

Tylko czy może być coś mniej rutynowego niż codzienność czyszciciela miejskich szaletów? Tymczasem Harayama (nazwany tak przez Wendersa na cześć głównego bohatera „Jesiennego popołudnia”, ostatniego filmu Ozu) zdaje się lubić swoją pracę. Mogłoby się wydawać, że pucując ubikacje, osiąga coś w rodzaju zen. Albo – jak chciała polska badaczka przyziemnych rytuałów – zagląda w „szczeliny istnienia”.

Pewnego dnia w takiej właśnie szczeliny mężczyzna znajduje kartkę z zabawą w kółko i krzyżyk, w której ochoczo bierze udział. I jest to jedna z nielicznych społecznych interakcji, jakich będziemy świadkami. Albowiem Tokio nie od dziś uchodzi za miasto ludzi pędzących i samotnych, gdzie istnieją nawet specjalne bary oferujące płatne towarzystwo, niekoniecznie o charakterze erotycznym. Zresztą pandemiczne ograniczenia i nawyki upodobniły wiele innych miast na świecie do japońskiej stolicy.

Tyle że bohater filmu Wendersa nigdzie się nie spieszy, a jego samotność zdaje się doskonale oswojona. Będąc intrygującym i milczkiem (aktor Kōji Yakusho to wirtuoz bezsłownej gry), prowadzi Harayama życie intensywne, lecz niekoniecznie urozmaicone. Wypeł-

niają je kupione w antykwariacie książki, puszczone z kaset stare piosenki i zdjęcia drzew, wykonywane oczywiście oldskulowym aparatem. W schludnym mieszkanku na przedmieściach, otoczony własnoręcznie sadzonymi roślinami, „król toalet” przypomina mnicha.

Wenders i jego współscenarzysta Takuma Takasaki skupiają się na tych prostych czynnościach, oszczędzając nam innych szczegółów. Możemy podejrzewać, że człowiek w roboczym kombinie wypisał się kiedyś z głównego nurtu, za jaki zwykle uważa się karierę i rodzinę. Jego refleksy pojawiają się na chwilę w sennych przebitkach, a właściwie w czarno-białych instalacjach fotograficznych autorstwa Donaty Wenders, żony reżysera.

Po przebudzeniu Harayama zdaje się funkcjonować na autopilocie, żyjąc z dnia na dzień i równocześnie pod prąd. Czasem jednak ktoś zaistnieje obok niego mocniej i na dłużej: młody, hałaśliwy współpracownik, któremu całkowicie obcy jest etos sprzątacza, dawno niewidziana nastoletnia siostrzenica z zamożnego domu czy sympatyczna barmanka, którą gra Sayuri Ishikawa, znana od półwiecza jako gwiazda japońskiej piosenki w stylu enka, czerpiącej z rodzimej tradycji. W jednej ze scen wykonuje ona „The House of the Rising Sun” Animals i nie będzie to jedyny moment, kiedy Wenders ociepla „Perfect Days” staromodnym przebojem (do jeszcze innego nawiązuje tytuł filmu).

Ktoś powie: czy nie za dużo tego ciepła w historii o człowieku, który

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

PERFECT DAYS

– reżyseria

Wim Wenders,

produkcja

Japonia/Niemcy

2023.

Dystrybucja

Gutek Film.

W kinach

od 12 kwietnia.

Wim Wenders

jest mistrzem

i reformatorem

kina, nie tylko

niemieckiego.

Od 1967 r. tworzy

filmy fabularne

(„Paris, Texas”,

„Niebo nad

Berlinem”, „Million

Dollar Hotel”) i

dokumentalne

(„Buena Vista

Social Club”,

„Pina”, „Anselm”).

Jego „Perfect Days”

były japońskim

kandydatem

do Oscara

i otrzymały

nominację, a aktor

Kōji Yakusho

uhonorowany

został Złotą Palmą

w Cannes.

Na zdjęciu:

Aoi Yamada

i Kōji Yakusho

w filmie

„Perfect Days”.

wykonuje jedno z najbardziej wzdarganych i gorzej płatnych zajęć? Wszystko wskazuje na to, że bohatera stać na całkiem godne życie: na skromne lokum, zaspokojenie podstawowych potrzeb i drobne przyjemności. Jeśli wystarcza mu na nie z pensji oraz ma jeszcze czas i siłę, żeby kontemplować cienie drgających na wietrze liści albo czytać przed snem Faulknera, zaiste piękna to wizja, chociaż sceptyk dopatry się w niej pieknoduchostwa.

Podobnie jak prezentacje kolejnych efektownych toalet mogłyby załatwiać promocją nowej toaletowej turystyki. Zwłaszcza że niektóre tokijskie obiekty są dziełem projektantów o światowej renomie, na przykład Sou Fujimoto. Sporo też u Wendersa pozorze bezinteresownego wędrowania z kamerą, typowego dla twórcy „Spotkania w Palermo”. Nie po to jednak, by czymkolwiek nas olśniewać – lepiej celebrować wraz z bohaterem każdy zwykły/niezwykły moment.

„Teraz to teraz” – mówi tonem prostaczka i zarazem buddyjskiego mędrca. A Wenders, schowany za uniformem „wujka kłozetowego”, człowieka bez przeszłości i przyszłości, robi w filmie dokładnie to samo, czyli po prostu kolekcjonuje chwile. Bo czymże innym są te starannie opisane blaszane pudła ze zdjęciami wykonywanymi od lat przez Hirayamę, jeśli nie nawiązaniem do sposobu przechowywania tradycyjnej taśmy filmowej?

Reżyser „Lisbon Story” od wielu lat w wymysłonych bądź dokumentalnych opowieściach na gruncie kina i fotografii zajmuje się podobnym kolekcjonerstwem. W dramacie science-fiction „Aż na koniec świata” (1991) przepowiadał, na długo przed smartfonami, ogólnodostępnym internetem i pandemią, że masowe i coraz zmyślniej fabrykowane obrazy cyfrowe mogą nas zniszczyć. Trzy dekady później wygłasza już zupełnie wprost pochwałę analogowego, bardziej bezpośrednio doświadczanego życia, która w swoim niewymuszonym wdzięku potrafi być zaraźliwa.

I choć nigdy w tej rubryce nie „gwiazdkujemy” filmów, tym razem, mrugając okiem do jednego z bohaterów „Perfect Days”, trudno się powstrzymać: należy się minimum 8/10. To z pewnością najlepszy fabularny tytuł Wendersa od trzech dekad (zdecydowanie lepiej wychodzą mu ostatnio dokumenty), bo nienachalnie pogodny, rozsądnie małowówny, znajdujący w tym, co niby monotonne i banalne, najczystsze filmowe haiku. ©

Lektor:

Dar i przekleństwo



■ Marianne Hirsch, Leo Spitzer

DUCHY DOMU.**CZERNIOWCE W ŻYDOWSKIEJ PAMIĘCI**

Przełożył Adam Musiał.

Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, ss. 584.

CZERNIOWCE – STOLICA BUKOWINY, OD POCZĄTKU XIX w. w Cesarstwie Austriackim, potem w granicach Rumunii, ZSRR i teraz Ukrainy. Niegdyś tygiel kultur i języków, włącznie z polskim. Miasto pisarzy: Paula Celana, Rose Ausländer, Gregora von Rezzori, Aharon Appelfeld. „Podobnie jak stało się to z wieloma żydowskimi miastami unicestwionymi podczas II wojny światowej, legenda Czerniowców przeżyła ich koniec” – pisze Piotr Paziński. I dodaje: „Bodaj nigdzie indziej Żydzi tak prędko nie asymilowali się do austriackiej kultury ck monarchii i zarazem nie czuli, że są tak bardzo u siebie”. Zresztą miasto jako zespół budynków nie uległo unicestwieniu i stoją nadal synagogi (jedna czynna) oraz dawny Dom Żydowski, choć już kształt muzeum, które w nim powstaje, jest przedmiotem sporów.

„Pamięć jak wspaniały dar i jak nieustanne przekleństwo” – to słowa urodzonego w Czerniowcach Appelfelda, jednego z największych pisarzy izraelskich, który w Zagładzie stracił matkę, sam zaś przeszedł przez obóz. Carl i Lotte Hirschowie też pochodzą z Czerniowiec – w 1998 r. odwiedzili miasto po raz pierwszy od końca wojny, wraz z córką Marianne, amerykańską literaturoznawczynią, i jej mężem, historykiem kultury Leo Spitzerem. Potem były następne podróże, także do Transnistrii, obszaru między Dniestrem a Bohem, dokąd rumuńscy faszyci deportowali Żydów z Besarabii i Bukowiny.

Powstała książka, która ma kilka warstw: jest historią i rekonstrukcją tamtego „Wiednia Wschodu”, konfrontacją legendy ze współczesnością, odzyskiwaniem pamięci, ale też jej weryfikacją. Reportażem i zarazem podbudowanym teoretycznie studium antropologiczno-kulturowym, bogatym w fakty, dane i cytaty, zaopatrzonym w obszerną bibliografię, przypisy i indeksy. Książką bardzo osobistą, hołdem złożonym ostatniemu pokoleniu czernowitzerów – i solidnym źródłem informacji, w tym o ostatnim etapie istnienia tamtych Czerniowiec, budzących grozę obozach w Transnistrii, ale także rumuńskim burmistrzowi Traianie Popovici, który część czerniowieckich Żydów uratował. Książką dwojga badaczy, którzy dzięki obecności i pośrednictwu świadków doświadczają przeszłości niemal fizycznie, sami wchodzą w pejzaż pamięci. A my wraz z nimi. ©P

OLGA

Drenda:

Zabawy z nieprawdą



WIELE ZOSTAŁO NAPISANE, RÓWNIEŻ NA tych łamach, na temat wciągającego świata teorii spiskowych i ich wyznawców. Dlaczego są popularne, skąd się biorą, kto w nie wierzy i na ile mogą być wiarygodne – na te pytania będziemy prawdopodobnie odpowiadać w nieskończoność, również tworząc własne teorie okołospiskowe. O przyczynach i mechanizmach nie będę się tu rozpisywać, przyjmijmy po prostu, że teorie te bywają ciekawe z kreatywnego punktu widzenia, jako dzieła wyobraźni ludzkiej. Zwłaszcza wtedy, gdy w rolach głównych obsadza się zupełnie przypadkowych bohaterów. Jedną z wyjątkowo długowiecznych i rokokowych wręcz teorii dotyczy kanadyjskiej piosenkarki Avril Lavigne, która rzekomo – jak twierdzą ludzie, którzy odkryli tajemnicę – od lat nie żyje, a na scenie zastępuje ją sobowtórka imieniem Melissa. Obecnie na popularności w Stanach Zjednoczonych, szczególnie wśród uczniów, zyskuje teoria, zgodnie z którą Helen Keller albo nigdy nie istniała, albo w rzeczywistości widziała i słyszała, całe życie perfekcyjnie odgrywając niepełnosprawność.

Historia Helen Keller jest faktycznie onieśmielająca – to wręcz symbol ideałów XX wieku, wiary w potęgę nauki i determinacji. Przypomnijmy: jako głuchoniewidoma dziewczynka nauczyła się komunikować alfabetem Lorma (systemem punktów i linii rysowanych na dłoni) dzięki asystentce

Anne Sullivan. Ukończyła studia, podróżowała po świecie, pisała książki („Historia mojego życia” ukazała się w Polsce w 1902 r.). Na przełomie stuleci należała z pewnością do postaci najbardziej inspirujących, do „twarzy Ameryki” – kraju, w którym da się osiągnąć wszystko przy odrobinie siły woli. Mark Twain nazwał ją nową Joanną d’Arc i przewidywał, że jej sława przetrwa tysiąc lat. Jej życiorys utrwalił się dodatkowo w pamięci za sprawą świetnych kreacji aktorskich w filmie „Cudotwórczyni”.

Ale nieskazitelne, pomnikowe postacie zachęcają do tego, by nieco zadrapać ich gładki marmur. Nie jest to zjawisko godne pochwały, ale warto zdawać sobie sprawę z jego istnienia. Dlatego w USA przez wiele dekad krążyły dowcipy z gatunku wisielczego humoru – istnieje cała kategoria „Helen Keller jokes”. Później w amerykańskim internecie powstała też ironiczna, przewrotna „teoria spiskowa”, zgodnie z którą to Helen Keller miałaby sterować zakulisowo najgłośniejszymi katastrofami i zamachami w XX wieku, przebywając jednocześnie na kilku kontynentach („Jak to, Helen Keller nie istniała? A kto pilotował samoloty 11 września?”, głosi jeden z memów). Podobne wątki znalazły się wśród polskich memów o Janie Pawle II, również dla wielu całkowicie nieakceptowalnych – łączył je przewrotny, absurdalny z natury atak na postać, której doskonałość wydaje się nie do zniesienia.

Amerykańscy uczniowie, którzy rozpowszechniają teorie spiskowe o Helen Keller, zapewne również często chcą jedynie zastosować taktykę szoku i zdenerwować swoich nauczycieli. Gdy jest się w wieku szkolnym, tego typu zabawy czasem sprawiają przyjemność (to również niegodne pochwały, ale warto zapamiętania). „Zabawy dziecięce”, jak uczył Bruegel, bywają czasem okrutne. Ale nie sądzę, żeby uczniowie wątpili w kompetencje ludzi z niepełnosprawnościami. W końcu nietrudno znaleźć osoby głuchoniewidome z imponującymi osiągnięciami, zwłaszcza przy wsparciu technologii opartych na dotyku – jak prawniczka i działaczka na rzecz praw człowieka Haben Girma. To fascynujący ludzie. Wystarczy zresztą zajrzeć na YouTube. Jestem pewna, że nastolatki już dawno to zrobiły. Nie znaczy to jednak, że nie grozi im zaplątanie się we własne baśnie.

Igraniu z nieprawdą czasem trudno się oprzeć. Zyskujemy wtedy poczucie, że świat to nasz Tetris, który możemy sobie przestawiać, a czasem zastawić gdzieś zasadzkę. Wszystkim zalecam, w ramach pysznej rozrywki, ale i treningu umysłowego, lekturę kultowej powieści epoki posthipisowskiej – trylogii „Illuminatus” Roberta A. Wilsona i Roberta Shea: pozwala przetestować naszą podatność na pokusy spekulacyjnej wyobraźni. To jednak surfowanie przy niebezpiecznej pogodzie. Nie jest powiedziane, że nawet gdy czujemy się pewnie, nie utracimy kiedyś panowania nad deską. Sama poznałam bardzo inteligentnego skądinąd człowieka, który w pewnym momencie zawikłał się w prawdziwy bigos osobliwych teorii, nie umiając już zupełnie zweryfikować, na ile „ziarno prawdy”, którego wszędzie starał się doszukiwać, jest istotnie godne uwagi. Na pytanie, dlaczego poszedł taką drogą, jakby niwecząc wszystko to, czego nauczył się wcześniej, jego najbliżsi odpowiadali z rozbijającą szczerością: dla prowokacji i z przekory.

©

Biblioteka
Centralna
Polskiego
Związku
Niewidomych,
mozaika
Kazimierza
Gąsiorowskiego



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Chili dla świata

Wrzucamy do blendera *pęczek z grubsza posiekanej dymki, puszkę miechunki* (znaną także wśród renegatów polszczyzny jako tomatillo), *puszkę podpieczonych papryczek chili, cztery ząbki czosnku i garść liści kolendry*. Miksujemy wszystko na gładką masę. W dużym garnku o grubym dnie dusimy *dużą posiekaną w piórka cebulę*, dodajemy *pół kilo kurzych piersi* pokrojonych na małe kawałki, obsmażamy przez kilka minut z każdej strony, uważając, żeby nie przywarły. Dolewamy *pół litra bulionu* warzywnego lub na kurzym skrzydełku, zmiksowaną pastę, *puszkę ciecierzycy, tyżeczkę kminu i tyżeczkę oregano*, solimy, doprowadzamy do wrzenia, zmniejszamy ogień do minimum i gotujemy pod przykryciem dwie godziny. Na wydaniu zakwaszamy *sokiem z limonki* i posypujemy *siekaną kolendrą*. Podajemy oczywiście z *ryżem*, to ma być syjące.



„ZIELONE CHILI Z KURCZAKIEM RÓWNOWAŻY kwasowość i pikantność, bogate w ziołowe smaki, mocno rozgrzewa, świetnie się sprawdza w trakcie klęsk żywiołowych, ale równie dobrze umili przytulną kolację w domu” – puentowała pewna amerykańska gazeta, recenzując w zeszłym roku książkę kucharską firmowaną przez World Central Kitchen. Ten przepis jest ponoć najczęściej stosowany w jej akcjach, np. podczas pożarów w zachodnich stanach USA. Niech nam będzie wybaczone, jeśli większość z nas dowiedziała się o istnieniu tej nietuzinkowej organizacji dopiero, gdy w zeszłym tygodniu w strefie Gazy izraelskie wojsko zabiło siedmioro jej pracowników, w tym Polaka. Skoro już to wszystko się stało, to mówmy i piszmy. Rozgłos w takiej robocie jest potrzebny, by zbierać datki. Oby tylko nie budowany na śmierci.

Umie o niego zadbać założyciel, José Andrés (na zdjęciu podczas akcji pomocy humanitarnej w Ukrainie, grudzień 2023 r.). To celebrycki szef kuchni z uznanym dorobkiem w próżnościowej branży awangardowego fine diningu, uczeń Ferrana Adrii, który tzw. kuchnię molekularną wyniósł na księżycowe wyżyny absurdu. Pochodzi z Hiszpanii i wśród jego zasług jest udany transplant do Ameryki zwyczaju podawania w eleganckich miejscach *tapas*, czyli palety rozmaitych drobiazgów, po które się sięga ze wspólnego talerza lub dechy. Myśmy w Polsce to zjawisko zassali razem z wieloma innymi gastro-modami z Zachodu w epoce szybkiej modernizacji i traktujemy jako coś oczywistego, ale jeszcze 30 lat temu oczywiste to wcale nie było (pamiętam, że podobnie strukturalnie weneckie *cicchetti* były bardzo długo osobliwością regionalną, niepraktykowaną w szerszej kuchni włoskiej). Polacy, co prawda, w tej dziedzinie są zaiste gęsiami, i jeno koreczki serowe mają. Ale jest za to piękne polskie słowo, oddające istotę *tapasów* – „kąski”. Oddaję po-mysł nazwy dla knajpy za darmo.

Tygodnik Smaków – co piątek
w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakov



Tym bardziej warto docenić, że po latach rozbijania posiłku na drobne, atomizacji obiadu i rozszczepiania kolacji, Andrés wziął się za drugi biegun spektrum – jednogarnkowe, szybkie, łatwe w masowym wykonaniu jedzenie dla ludzi, którzy znaleźli się w nagłej potrzebie z powodu klęsk żywiołowych (zaczęło się od trzęsienia ziemi na Haiti w 2010 r.). Prosta, bogata w białko misha oparta na lokalnych smakach to podstawowa zasada działania WCK. Organizacja zawsze współpracuje z lokalnymi kucharzami i ochotnikami, żeby przyspieszyć dotarcie z jedzeniem „zrozumiałym” dla beneficjentów.

Na Haiti był to *arroz con pollo*, w Kalifornii i wielu innych stanach USA właśnie *chili verde*, w paru innych miejscach warianty tego samego pomysłu: kurczak (najprostsze do obróbki, tanie mięso) i/lub strączki plus jakieś warzywo, duszone z mocnymi przyprawami dla podkreślenia mdłego smaku, plus ryż, najbardziej uniwersalny zapychacz. Podobnie było i u nas, gdy garkuchnie WCK obsługiwały uchodźców w pierwszej fazie napaści Rosji na Ukrainę, ale widziałem, że we Lwowie ktoś z lokalnych kucharzy robił bogracz. W Strefie Gazy często pojawia się *mujadara* – przepyszna, dwuskładnikowa breja złożona z brązowej soczewicy ugotowanej z ryżem, przyprawiona kminem, podkreślona na wydaniu dużą ilością usmażonej na prawie czarno chrupkiej cebuli.

Dopiero, gdy sobie przełożymy nazwę na polski – Centralna Kuchnia Światowa – pocujemy solidną dawkę megalomanii założyciela. Cóż, tylko takim osobom udaje się zbierać pół miliarda dolarów rocznie, angażować tłumy, wynajmować samoloty i wielkie magazyny, wozic setki ton ryżu, negocjować bezpieczny transport z generałami (nie zawsze, jak widać, skutecznie). A niech i będzie narcyzem, byle głodnych szybko i skutecznie karmił. Znam też i ja miejsca, gdzie cisi ludzie karmią ofiary klęsk nieżywołowych, ale równie dotkliwych: biedy, bezdomności, samotnej bezradności na marginesach bogatego miasta.

Jeff Bezos ostatnio podpisał Andrésowi czek na 100 milionów. Ja ze swoją stówką nie pcham się tak wysoko, wpłacę ją na obiady, jakie pani Marta Sawicka od parudziesięciu lat wydaje ubogim w Krakowie (jeśli ktoś z was pamięta tekst o niej w „Tygodniku” sprzed dwudziestu lat, powiem: nic się nie zmieniło, tylko sił mniej, a głodnych więcej). W przeciwieństwie do światowej i centralnej, jest to działanie lokalne i osobne. Ale co najważniejsze, słowo „kuchnia” pozostaje w obu przypadkach to samo. ©P



DESZCZOWA KRAINA

PAUL SCRATON, REPORTER:

Bałtyk ma w sobie coś niesamowitego i niepokojącego. Jest zupełnie inny niż Morze Północne czy Irlandzkie, które znam z dzieciństwa. Nie tak powinno wyglądać i pachnieć morze...

MICHAŁ SOWIŃSKI: Kim są duchy, o których piszesz w książce?

PAUL SCRATON: „Duchy Bałtyku” skończyłem 7 lat temu i wtedy pewnie odpowiedziałbym na to pytanie inaczej. Tytuł wymyśliłem podczas jednej z wypraw w okolice Lubeki, gdzie w 1945 roku samoloty RAF-u przypadkowo zbombardowały ocalańców z obozu koncentracyjnego. W takich miejscach nigdy nie jest się samemu, przepełnia je obecność ludzi, którzy tam zginęli. Na początku więc chodziło mi o duchy historii, które spotykałem przemierzając północną część dawnego NRD. Potem jednak doszedłem do wniosku, że te duchy mieszkają przede wszystkim w każdym z nas, w naszej pamięci – tak więc nie tyle je spotykamy, co przynosimy ze sobą.

Twoje duchy są raczej przyjazne?

Postanowiłem przewędrować i opisać bardzo trudny kawałek świata, gdzie wydarzyło się wiele przerażających i dojmująco smutnych rzeczy. Duchy, które tam zamieszkują, wydają się neutralne, ale ich historie działają przynębiająco – a przynajmniej wzbudzają w człowieku melancholię. Do tego podróży zowałem głównie zimą...

...to wyzwanie, ale też trudno o lepszą porę nad Bałtykiem.

To prawda. Każdy brzeg ma dwa oblicza – letnie, gdy dużo tam turystów, śmiechu, zabawy, oraz czas poza sezonem, czyli przez większą część roku. Melancholia wyziera wtedy z każdego zakamarka. Niemieckie wybrzeże Bałtyku jest pod tym względem szczególne, bo II wojna światowa, a potem nowa, socrealistyczna rzeczywistość odcisnęła na nim niezatarte piętno.

Bałtyk to morze, po którym historia przetoczyła się ze szczególnym okrucieństwem.

Trudno nie myśleć o przeszłości, gdy się wędruje jego brzegiem. Choćby o tragicznym losie „Wilhelma Gustloff’a”, statku pasażerskiego, który Sowieci zatopili 30 stycznia 1945 roku na wysokości latarni w Stilo. Według różnych szacunków na pokładzie mogło znajdować się nawet 10 tysięcy ludzi, głównie cy-

wilów uciekających z Gdańska. To największa katastrofa morska w dziejach świata. Liczba ofiar była kilkakrotnie wyższa niż w przypadku „Titanica”, a niewielu o niej pamięta.

Na lądzie było jeszcze gorzej.

To prawda – na przestrzeni kilku lat miliony ludzi różnych narodowości zostały przepędzone w tę i z powrotem, wielu z nich umarło po drodze. Do tego krwawe walki na przełomie 1944 i 1945 roku. A dziś jeździmy tam na urlop cieszyć się piaskiem i bryzą. Nie potrafię uzgodnić tych dwóch porządków, mimo że sam w nich na zmianę funkcjonuję. Zimą zatapiam się w ponurej zadumie, a wiosną w te same miejsca przyjeżdżam z przyjaciółmi na biwak.

Na angielskim wybrzeżu masz podobnie?

W mniejszym natężeniu, ale tak. Moje ulubione miejsca z dzieciństwa również naznaczone są pomnikami upamiętniającymi rybaków i marynarzy, którzy zginęli na morzu.

W polskiej kulturze Bałtyk rzadko pojawia się w tym kontekście.

W niemieckiej również, choć zapewne z zupełnie innych powodów. Jestem Brytyjczykiem, który od lat mieszka w Niemczech, mam dwa paszporty. Gdy piszę o różnych miejscach, a wybrzeże jest tu szczególnym przypadkiem, zawsze mam z tyłu głowy, że moja perspektywa jest tylko jedną z bardzo wielu. Niby to banalne, ale bardzo często o tym zapominamy. Gdybyśmy razem pojechali do Gdańska i wzięli jeszcze ze sobą jakiegoś niemieckiego pisarza, a potem każdy z nas by opisał to, co zobaczył, wyszłyby z tego trzy zupełnie różne opowieści.

Szacuje się, że na dnie Bałtyku spoczywa ponad sto tysięcy wraków. Największe zagęszczenie na świecie.

Dlatego tak bardzo interesują mnie wszystkie przybrzeżne pomniki i inne materialne formy pamięci. Morza skutecznie ukrywają swoje tajemnice, swoje tragedie – próbujemy o nich →

Latarnia morska Warnemünd, okolice Rostocku, Niemcy.



→ pamiętać, ale zazwyczaj z marnym skutkiem. Kilka lat temu osuszano przybrzeżne bagna na granicy polsko-niemieckiej i odkryto wiele ludzkich szczątków. W pierwszej chwili pomyślano, że to żołnierze z czasów II wojny światowej, jednak po dokładniejszej analizie okazało się, że to ofiary wojny trzydziestoletniej – sprzed czterech stuleci. Dziś nikt już o niej nie pamięta, a dla wielu regionów Europy, szczególnie w Niemczech, była porównywalnie katastrofalna w skutkach jak oba wielkie konflikty XX wieku.

Derek Walcott w przejmującym wierszu „The Sea Is History” opisywał morze jako wielką kryptę, w której na wieki pochowane zostały setki tysięcy ludzi.

Jednak na końcu wiersza z dna zaczyna rozbrzmiewać echo Historii – i to pisanej przez duże H. Ale to prawda, krajobraz na lądzie już prawie wszędzie na świecie nosi ślad ludzkiej ręki, a gdy patrzymy na morze, jego powierzchnia wydaje się trwać w bezczasie. Dlatego większość z nas tak lubi spacerować po plażach – morze pozwala zapomnieć o teraźniejszości z całym jej bolesnym skomplikowaniem. Gdyby jednak ktoś wyciągnął korek i spuścił całą wodę z Bałtyku, naszym oczom ukazałyby się ciągnące po horyzont wraki i ludzkie szczątki.

Jak Anglik czuje się nad tym dziwnym, mało słonym morzem?

Długo się przyzwyczajałem, bo jest zupełnie inne niż Morze Północne czy Irlandzkie, które znałem z dzieciństwa. Bałtyk już na zawsze będzie miał dla mnie w sobie coś niesamowitego i niepokojącego. Nieustannie towarzyszy mi dziwne wrażenie, gdy idę jego brzegiem. Z tyłu głowy mam poczucie, że nie tak powinno wyglądać morze...

Dlaczego?

Właściwie nie ma tu przypływów ani odpływów, pachnie też inaczej, bo jest mało zasolony. Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza, ale ciągle pojawia się coś, co wytrąca mnie z poczucia swojskości. Ten ciągły, nie do końca uświadomiony niepokój na pewno wpłynął na moje pisanie, może nawet był jego źródłem, a przynajmniej jednym z wielu.

Jakie były inne?

Urodziłem się na wyspie, czyli skrawku lądu otoczonego morzem, a przez to granice mojej ojczyzny od tysiąca lat pozostają zasadniczo niezmiennie. Z tej perspektywy historia Europy Środkowej była dla mnie również czymś niesamowitym. Gdy byłem w Krakowie, w jednym z muzeów zobaczyłem interaktywną mapę Polski, która pokazywała, jak na przestrzeni wieków zmieniały się wasze granice. Ta dynamika – a przede wszystkim ludzkie traumy i tragedie z nią powiązane – zrobiły na mnie olbrzymie wrażenie.

Wybrzeże jako granica zarówno polityczna, jak i geologiczna daje poczucie bezpieczeństwa?

Tak, dlatego prawicowi populiści brytyjczyści tak dużą wagę przykładają właśnie do imigracji odbywającej się przez morze. Tak jakby te kilkadziesiąt małych stateczków miały w praktyce jakiegokolwiek znaczenie. Chodziło jednak o zbiorową wyobraźnię. Wybrzeże to święta granica Brytanii, nikomu nie wolno

jej przekraczać bez pozwolenia. Tak było w czasie wojen napoleońskich, podobnie w czasie obu konfliktów światowych XX wieku – i tak ma pozostać.

W książce piszesz o absurdalnej arbitralności granic w tej części Europy, na przykład polsko-niemieckiej koło Świnoujścia.

Zacząłem pracę nad „Duchami Bałtyku” zaraz po referendum brexitowym, które nie tylko w bezsensowny sposób odsunęło nas od reszty Europy, ale również nasiliło tendencje separatystyczne wewnątrz samego Zjednoczonego Królestwa. Mój świat, choć oczywiście w mniejszej skali, również przestał być stabilny. Oczywiście to nic w porównaniu z historią Polski czy Niemiec – na przykład Wrocławia, który niedawno odwiedziłem. Mieszanina kultur, języków i religii tego miejsca była dla mnie oszałamiająca.

Co jeszcze zwróciło Twoją uwagę tutaj?

Na przykład: budynki pocztowe z XIX wieku wyglądają podobnie w Niemczech, Polsce czy Słowacji, ale już powojenne bloki nie. Palimpsestowa struktura tej rzeczywistości zawsze mnie fascynowała – różnice w krajobrazie są na tyle subtelne, że pozwalają patrzeć i rozumieć tę przestań jako całość, ale jednocześnie są nieredukowalne, wytrącają z poczucia swojskości. Miasta, które kiedyś były niemalże bliźniacze, bo projektowane i budowane przez tych samych ludzi, zostały od siebie oddzielone przez historię – niczym dwóch braci – i rozwijały się zupełnie inaczej. Dlatego dziś stanowią swoje alternatywne wersje. Wrocław i Berlin to świetne przykłady.

Anglik wędrujący niemieckim wybrzeżem – idealna symetria z W.G. Sebaldem, Niemcem opisującym wschodnie wybrzeże Anglii.

To ciekawe, że pytasz akurat o Sebald, bo jego „Pierścienie Saturna” mam akurat na półce obok komputera, zaraz obok „Idąc rakiem” Güntera Grassa. Musiałem je tu postawić, gdy pisałem „Duchy Bałtyku”. To bez wątpienia dwóch najważniejszych dla mnie pisarzy.

Dlaczego?

Podróżowanie i pisanie to wbrew pozorom trudna sprawa. Od kilku lat jestem redaktorem internetowego magazynu „Elsewhere. A Journal of Place” i w tym czasie w moje ręce trafiło wiele tekstów tego typu – najczęściej autorstwa mężczyzn w średnim wieku, podróżujących wzdłuż brzegów mórz i oceanów całego świata, zapisujących swoje myśli i odczucia, robiących do tego czarno-białe zdjęcia... Wydaje mi się, że to za mało, choć oczywiście nieco niezręcznie mi to mówić, jako że sam robię wszystkie powyższe rzeczy. Chyba właśnie dlatego tak cenię Sebalda, bo dla niego spacer to z jednej strony czynność medytacyjna, z drugiej wysiłek intelektualny. Mam wrażenie, że im dłużej idzie, tym bardziej oddala się od tego, co przewija się przed jego oczami.

U Ciebie tak nie jest?

U Sebalda niewiele można się dowiedzieć o wybrzeżu hrabstwa Norfolk, jest za to dużo o flamandzkim malarstwie albo polowie śledzi na Morzu Północnym. Sebald nie opowiada o danym

miejscu, a raczej o tym, co dane miejsce opowiada jemu. Ja starałem się mocniej zakorzeniać swoją opowieść w przestrzeniach, które odwiedzałem. W „Pierścieniach Saturna” jest więcej Sebalda niż mnie w „Duchach Bałtyku”. Każdy pisarz podróżnik, choć nie przepadam za tym określeniem, przyjmuje inną strategię.

Wyjaśnisz?

Gdy staje się przed pustym krajobrazem, w środku wyludnionego miasteczka na końcu świata albo wobec sinego i zimnego morza, narasta w człowieku euforia, a jednocześnie przerażenie – bo jak to wszystko opisać, żeby nie kopiować tych, których się podziwia, ale jednocześnie złożyć im hołd, bo przecież tyle się im zawdzięcza?

Jaki cel Tobie przyświeca?

Próbowałem odtworzyć atmosferę odwiedzanych miejsc – mieszaninę melancholii, niesamowitości, zachwyty. Na świecie pozostało już niewiele miejsc, które nie zostały opowiedziane na setki różnych sposobów. W środku Europy, nawet jeżeli jest to pusty kawałek wybrzeża we wschodnich Niemczech, każde drzewo, kamień czy wydma były tysiące razy dotknięte czymś spojrzeniem. To wyzwanie, z którym trzeba się zmierzyć.

Przez całą Twoją książkę wieje wiatr i siąpi deszcz.

Bo tak przecież wygląda bałtyckie wybrzeże przez większą część roku. Ta pogoda tak mocno wgryzła się w moją wyobraźnię, że ciężko mi pomyśleć o tych miejscach inaczej. To mokra i wietrzna kraina.

Pełna też ruin z poprzednich epok.

Byłe NRD to szczególne miejsce, gdzie równolegle funkcjonują różne plany czasowe – zwłaszcza w architekturze. Nadmorskie domy wypoczynkowe często powstawały jeszcze w czasach III Rzeszy, na przykład jako luksusowe rezydencje dla partyjnych dygnitarzy. Potem zamieniano je w robotnicze domy wczasowe. Niektórym udało się przejść płynnie w rzeczywistość kapitalistyczną, większość jednak popada w coraz większą ruinę. Niemieckie wybrzeże Bałtyku to kraina małych, skłconych byle jak domków letniskowych, którym powoli kończy się okres przydatności. A mimo to trwają, często na przekór czasowi i zmianom społecznym czy gospodarczym. Ich właściciele zwożą do nich stare meble, pościelenie i sprzęty kuchenne, które wiodą tam niejako życie po życiu. To pewnie kolejna kategoria duchów, które chciałem opisać w tej książce.



PAUL SCRATON jest reporterem i redaktorem naczelnym internetowego magazynu „Elsewhere. A Journal of Place”. Po polsku w Wydawnictwie Czarne ukazały się dwie jego książki: „Dookoła. Pieszo po obrzeżach Berlina” (2023) i „Duchy Bałtyku. Podróż wzdłuż niemieckiego wybrzeża” (2024), obie w tłumaczeniu Barbary Gadomskiej. Od lat mieszka w Berlinie.

JERZY WYPYCH / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

W tym wszystkim pojawia się także współczesna polityka, szczególnie ta w brunatnej odsłonie.

Nie da się, a przynajmniej ja nie potrafiłbym, napisać książki o podróżowaniu przez współczesne Niemcy bez uwzględnienia tego kontekstu. Neofaszystowskie napisy na murach były powiązane z wojną w Syrii i kryzysem migracyjnym przez nią wywołanym. Opowiadam o konkretnych miejscach, ale również o konkretnym czasie.

Dzisiaj ta książka wyglądałaby inaczej?

Wydawcy z różnych krajów pytali mnie, czy chciałbym coś dodać w kolejnych edycjach, ale odmówiłem, bo uważam „Duchy Bałtyku” za zapis konkretnej rzeczywistości historycznej. Niemniej dziś pewnie zwróciłbym uwagę na inne rzeczy niż wtedy – zapewne wyszłaby mi jeszcze bardziej pesymistyczna panorama polityczna. Choćby z powodu wzrostu poparcia dla AfD, Alternatywy dla Niemiec, w nadbałtyckich landach.

Skąd to się bierze?

Niemiecka historia XX wieku pełna jest tragedii, o których przez dekady nikt nie chciał mówić. Pamięć o nich została wygnana z debaty publicznej, co oczywiście nie oznaczało, że zniknęła. Długo nikt się nią nie zajmował, aż w końcu sięgnęli i wplekli ją w swoją narrację prawicowi populiści. Znowu wrócę do Sebalda, tym razem do jego „Wojny powietrznej i literatury”, gdzie opisuje on, chyba jako jeden z pierwszych niemieckich pisarzy, ogrom cierpienia niemieckiej ludności cywilnej pod koniec II wojny światowej. I choć od wydania tej książki minęło już ćwierć wieku, temat ten wciąż pozostaje – poza skrajną prawicą – w strefie politycznego tabu. Podobnie jak opowieść o milionach wypędzonych po wojnie. Nie chodzi tu, jak sugerują niektórzy, o przepisywanie historii, ale o odpowiedzialnie zaadresowanie jej pomijanych do tej pory epizodów.

Na przykład?

Zrównanie z ziemią Drezna przez aliantów należałoby określić jako zbrodnię wojenną – i mówię to jako Anglik, czujący odpowiedzialność za historię swojego kraju. Zwłaszcza że sir Arthur Harris, człowiek, który podjął decyzję o tym nalocie, ma swój pomnik w centrum Londynu. W tej dyskusji nie chodzi dziś o walenie racji, ale o realną traumę milionów ludzi, która domaga się przynajmniej jakiejś formy pamięci.

Niektóre duchy trzeba egzorcyzmować?

A przynajmniej nauczyć się z nimi żyć tak, żeby nie zamieniały się w upiory.

©© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Moralność i miłość



PIŚ WYGRAŁO WYBORY PO RAZ DZIEWIĄTY – tak powiedział J. Kaczyński w wiosenny, niedzielny wieczór. Wywołał tym szalony entuzjazm zgromadzonych, którzy ów komunikat przyjęli owacją na stojąco. Jako żywo, ocena ta przypomniła nam niedysiejsze komentarze po przeróżnych śmiesznych wynikach reprezentacji polskiej w piłce nożnej. Wypowiedzi te – jak pamiętamy – miały na celu serc krzepienie. No więc mamy lepszą frazę, którą sami ukuli, korzystając z obecnych trendów komunikacyjnych: „partia nierządząca poniosła zwycięstwo”.

Już jakiś czas temu można było się zorientować, że mamy powszechny problem w analizowaniu różnic pomiędzy wygraną a przegraną, także w liczeniu ludzi obecnych na demonstracjach. To w kraju temat stosunkowo nowy, niełatwy, ocierający się o metafizykę. Po prostu, Polska jest krajem coraz bardziej magicznym i każdy chcący bądź próbujący twardo tu stać powinien się zastanowić nad emigracją.

Wypada jeszcze zauważyć, że wynik niedzielny to, owszem, imponujące zwycięstwo, ale nad moralnością. Zważywszy, że w ciągu ostatnich miesięcy zaprezentowano publiczności wiele wstrętnych sekretów z czasów rządów prawicy, można było mieć nadzieję na tzw. refleksję, że oto szalone złodziejstwo, szcucie na bliźnich, kumoterstwo i korupcja zasługują raczej na karę niż nagrodę. I co? I nic. To się jednak podobało. Brawo. A więc b. Gospodarz wygrał wybory, jest zadowolony, więc wszyscy są zadowoleni, więc może właśnie dlatego zajmujemy się dziś czymś innym, a nie liczeniem i snuciem wieszczb, jakże to będzie dalej. Zajmiemy się oto miłością i jej wyrażaniem na piśmie.

Zacząć jednak wypada od uwagi w sumie oczywistej. Oto najprężniej rozwijającym się w Polsce trendem w rozrywce

są podsłuchy i ujawnianie treści korespondencji. Służbowej i prywatnej. Korespondencja jest chroniona – teoretycznie – tak prawem, jak i obyczajem. Otóż obyczaj ten, a mamy tu na myśli nieczytanie cudzych listów, jest manierą przestarzałą i nieużywaną, prawo zaś – jak często u nas bywa – jest martwe. Tyle spostrzeżeń natury ogólnej oraz, nie bójmy się tego powiedzieć, nieoryginalnych, ale koniecznych po to, by móc wreszcie wydusić, że nas – jak tu zarumienieni siedzimy – bardziej niżli wyniki wyborów, bardziej niż dziewiąta z rzędu wygrana PiS czy umiejętności operowania liczbami przez J. Kaczyńskiego i jego akolitów, interesuje wrzenie, a mówiąc wprost, umiejętność kochania i wyrażania miłości przez jego najzgorzalszych wyznawców.

Każdy dziś w Polsce wie, że kobieta twarda w życiu publicznym jak stal z hut im. Lenina, a piastująca do niedawna szalenie eksponowane stanowisko w oświacie, pisać miała bardzo namiętne listy do mężczyzny zajmującego do niedawna eksponowane stanowisko w państwie, a będącego niejako wzorem polskiej gburowatości pierwszych dwu dekad XXI w. Listy te zostały podane do publicznej wiadomości przez nie wiadomo kogo. Nikt do dziś nie zakwestionował autentyczności tej twórczości. Wydaje się jednak, że stylistyka, wokabularz, parabole, klimat i temperatura wyznań, wszystko to tworzy niepodrabialny komplet, słowem, listy te zdają się prawdziwe w każdym sensie, w warstwie językowej i emocjonalnej.

Niewskazana jest inkrustacja naszej powierzchownej analizy listów kobiety twardej jak stal z hut im. Lenina dosłownymi cytatami. Nie można jednak przejść obojętnie wobec jednego zastosowanego elementu perswazji słownej. W wykradzionym liście zrobiło na nas duże wrażenie określenie „kocie ruchy” użyte wobec fizyczności mężczyzny zwanego jednak przez ostatnie dziesięciolecia „Psem”. To pokazuje potencjał, jaki w człowieku wyzwala miłość, która także jest pożywką dla pisarstwa zaangażowanego. Miłość, zarówno do bliźniego, jak i do partii – popatrzmy – jest zawsze bodźcem w odkurzeniu własnego języka, widzenia świata, w poszukiwaniu ciekawych porównań, zwrotów zapamiętanych często z dawnych, młodzieńczych lektur. Efekty są nieoczekiwane, a przyznajemy, że niektóre nam w ogóle nie przychodziły do głowy. A tu proszę. Bum. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



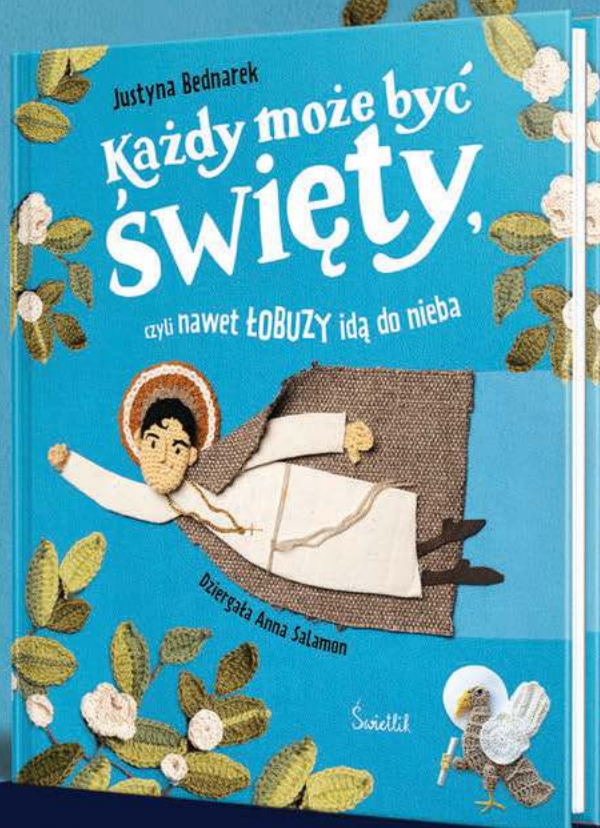
Poznajcie historie świętych z zupełnie innej strony!

Znana ze swojego barwnego języka autorka książek dla dzieci, **Justyna Bednarek**, bierze pod lupę... ŚWIĘTYCH!

Czy ich wybory zawsze były słuszne?
Czy nigdy nie popełnili żadnego błędu?

I co to w ogóle znaczy być świętym?

Tego dowiecie się z opowiadań, które przedstawiają mniej i bardziej znanych świętych pochodzących z różnych zakątków świata. Ich życiorysy mogą was naprawdę zaskoczyć i przekonacie się, że każdy może zostać świętym i **NAWET ŁOBUZY IDĄ DO NIEBA!**



MUZEUM ARCHIDIECEZJI WARSZAWSKIEJ
ORAZ WYDAWNICTWO ŚWIETLIK
ZAPRASZAJĄ NA WYSTAWĘ

Po nitce 18.04 — 19.05.2024
do świętości

Wystawa dzierganych ilustracji
Anny Salamon
dla dzieci i dorosłych.

MUZEUM
ARCHIDIECEZJI
WARSZAWSKIEJ



WARSAW
ARCHIDIOCESE
MUSEUM

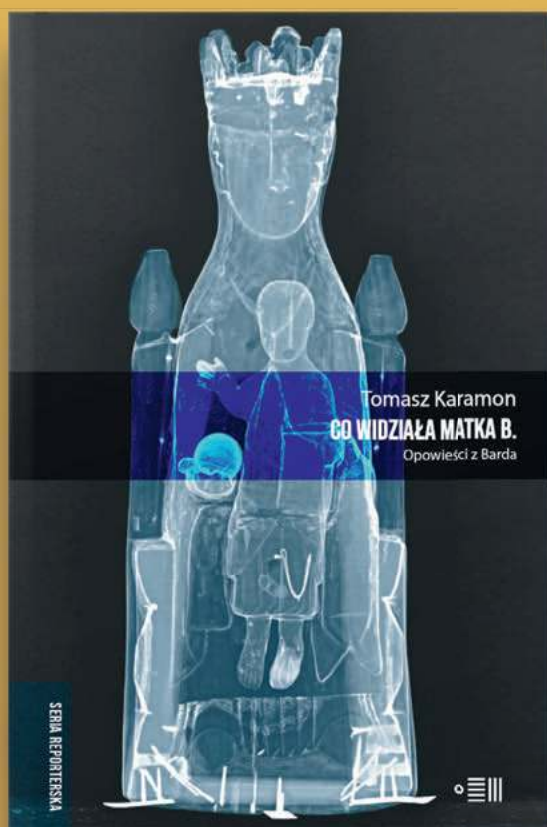
UL. DZIEKANIA 1
WARSAWA
WWW.MAW.ART.PL



REKLAMA

TOMASZ KARAMON CO WIDZIAŁA MATKA B. OPOWIEŚCI Z BARDA

ZOBACZ NA DOWODY.COM



GDYBY TYLKO MOŻNA BYŁO ZOBACZYĆ WSZYSTKO TO, CO WIDZIAŁY OCZY FIGURY PRZEZ WIEKI...